

kłamstwo

nie ukryjesz

minionego

prawdy

lata

na zawsze

SUE WALLMAN

ZIELONA
SOWA



**kłamstwo
minionego
lata**

SUE WALLMAN

Przekład: Patryk Dobrowolski

ZIELONA
SOWA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1. Cisowy Domek, ubiegłe lato

Rozdział 2. Teraz

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5. Cisowy Domek, przed Nikiem

Rozdział 6. Teraz

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13. Cisowy Domek, ubiegłe lato

Rozdział 14. Teraz

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17. Cisowy Domek, ubiegłe lato

Rozdział 18. Teraz

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28. Cisowy Domek, ubiegłe lato

Rozdział 29. Teraz

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Epilog

Przypisy

Tytuł oryginału: LYING ABOUT LAST SUMMER
Przekład: PATRYK DOBROWOLSKI

Redaktor prowadzący: SYLWIA KUREK
Redakcja: TERESA ZIELIŃSKA
Korekta: MONIKA PRUSKA
Projekt graficzny i DTP: Studio 3 Kolory
Projekt okładki: Studio 3 Kolory

Text © Sue Wallman, 2016

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2018
All rights reserved

Wydanie I

ISBN 978-83-8073-802-7

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
e-mail: wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Mojej siostrze Clare, która jest dla mnie inspiracją

1

Cisowy Domek, ubiegłe lato

Moja siostra nie używa słowa „zniknąć”, ale właśnie to ma na myśli. Kuca bosy przy basenie i woła:

– Skye, idź do swojego pokoju i zostań tam do czasu, aż cię zawołam.

Pokłóciła się z kimś, kto właśnie do niej jedzie, i stwierdziła, że łatwiej rozwiąże swój problem bez mojej obecności. Nie jestem tym zachwycona. Spędziłam już zbyt dużą część lata na nieprzeszkadzaniu jej w rozmowach telefonicznych i spotkaniach z nowymi znajomymi.

– Dlaczego nie mogę jeszcze popływać? – pytam. – Masz dla siebie cały dom aż do powrotu mamy – mówiąc to, opieram łokcie na gładkiej posadzce otaczającej basen i poprawiam gogle. Przez przyciemnione soczewki Luisa wygląda jak w starym filmie. Ma nieskazitelną twarz, a szorty i wiązana w talii bluzeczka podkreślają jej doskonałą figurę. – I chyba zapomniałaś, że ja też tu mieszkam – dodaję, patrząc na jej lśniące, pomalowane dwoma kolorami lakieru paznokcie u stóp.

– Wyłaź z basenu! – rozkazuje, po czym chwyta ręcznik i ubrania, które rzuciłam bezładnie na kostkę na ścieżce. – Koleś zachowuje się jak ostatni debil i nie chcę, żebyś w tym uczestniczyła. Nie wiem, jak się dowiedział, gdzie mieszkam, ale niedługo tu będzie. Proszę cię.

Przejęty ton jej głosu sprawia, że przestaję marudzić i wychodzę z basenu, po czym zdejmuję gogle.

– O co wam poszło? – pytam, biorąc od niej ręcznik, który następnie zarzucam na ramiona, a rogiem wycieram twarz.

Luisa wciska mi ubrania.

– To tylko drobne nieporozumienie.

Słyszymy odgłos wjeżdżającego na podjazd samochodu, trzeszczenie żwiru pod kołami, trzaśnięcie drzwiczek auta, a po chwili cichy dzwonek do drzwi domu. Luisa ani drgnie.

Mokrą stopą odciskam idealny ślad na ciepłych płytkach i patrzę, jak wyparowuje.

– Masz zamiar go wpuścić? – pytam.

– Może lepiej będę udawać, że mnie nie ma... – zastanawia się.

– Czy to nieporozumienie ma jakiś związek z Nikiem? – To lato byłoby znacznie spokojniejsze, gdyby Luisa nie zaczęła z nim chodzić.

Moja siostra sprawdza telefon.

– Można tak powiedzieć.

Słyszymy odgłos kroków na żwirze i Luisa patrzy na mnie spanikowanym wzrokiem. Boczna furtka nie jest zamknięta. Kiedyś była tam kłódka na szyfr, ale się zepsuła.

– Szybko! – woła. – Będziesz musiała schować się w przebieralni. – Popycha mnie w stronę niewielkiego budynku nieopodal basenu. – Nie wychodź, aż będzie po wszystkim. Obiecujesz? – Ścisną moje ramię, a ja odpowiadam skinieniem głowy. Po chwili jestem już w środku, a ona zatrząskuje za mną drzwiami.

Potrzebuję kilku sekund, by moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, a nos do zapachu chloru i elektrycznego sosnowego odświeżacza powietrza. Kładę ubrania i gogle na jednym z dwóch wiklinowych foteli. Mogłabym wziąć długi prysznic, poczekać, aż wchłonie się odżywka do włosów, i użyć całej ciepłej wody. Mogłabym przejrzeć zamkniętą gazetę, którą ktoś zostawił na stoliku do wyschnięcia. Ale nie potrafię się skupić. Chcę wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz.

Podchodzę do drzwi i staję w miejscu, gdzie nie dotykają framugi.

– Nie próbuj mnie zastraszyć – słyszę głos Luisy. Mówi takim tonem jak wtedy, gdy chce mi pokazać, że to ona jest starsza i o wszystkim decyduje. Powoli naciskam klamkę. Kiedy drzwi nie chcą się otworzyć, opieram się

ostrożnie o nie i uchylam je na tyle, by coś dojrzeć przez szparę. Luisa leży na leżaku po drugiej stronie basenu i robi coś z telefonem. Jej opalone nogi są zgięte w kolanach. – Mów, co masz do powiedzenia, i odejdz.

Z tego miejsca nie widzę jej rozmówcy. Mam nadzieję, że nie może sobie poradzić z furtką. Jego głos jest niewyraźny, ale po chwili słyszę kliknięcie zamka i coraz głośniejsze słowa:

– Dałem ci wiele szans. Ostrzegałem cię. Byłem bardzo wyrozumiały.

Otwieram drzwi nieco szerzej i widzę go zmierzającego dużymi krokami w stronę Luisy. Czarne dżinsy, obcisła zielona koszulka, ciemne okulary. Jest starszy od niej i od Nico. Dziwne... Wygląda znajomo.

Przed czym ją ostrzegał?

Luisa odsuwa się i zasłania przed nim, a moje serce zaczyna bić jak szalone. Co zrobię, kiedy sprawy wymkną się spod kontroli? Nie mam przy sobie telefonu. Gdybym chciała pobiec po pomoc, będę musiała przejść obok niego.

– Jesteś żaloszny – syczy Luisa.

„Nie, Lu. Proszę, nie prowokuj go”.

Nieznajomy przeklina jej prosto w twarz i niewyraźnie mamrocze coś o szacunku. Luisa przymyka oczy, ja robię to samo.

„Niech już sobie pójdzie”.

Słyszę głośny trzask, a następnie krzyk. Otwieram oczy. Luisa wstała z leżaka i patrzy na coś na kamiennej posadzce.

– Zobacz, co zrobiłeś z moim telefonem! – krzyczy.

Powinna go spławić. Ale facet szarpie ją za ramię.

– Puszczaj! – krzyczy Luisa drżącym głosem. Słyszę w nim strach.

– Wszystko zniszczyłaś – mówi mężczyzna.

Siostra gryzie go, na co on znów przeklina. Moje serce bije niewyobrażalnie mocno i wiem, że zaraz zrobi jej coś strasznego. Wycofuję się spod drzwi do ściany. Czas wrywa się z ram i spowalnia w przedziwny sposób, gdy umysł każe mi coś zrobić, ale ciało nie reaguje. Głos w mojej

głowie mówi: „Nie wychodź, aż będzie po wszystkim”. Opierając się plecami o ścianę, osuwam się na zakurzone płytki, chowam głowę między kolana i wdycham zapach chloru ze skóry. Słyszę krzyki. Rozdzierające uszy wrzaski. Huk. Plusk. Szczekającego w oddali psa. Krakanie wron.

2

Teraz

Potrzebuję ucieczki. Ale czy wakacje dla nastolatków w żałobie to najlepszy pomysł?

Mama skręca na podjazd ośrodka Morley Hill, a ja wyjmuję z uszu słuchawki.

– Wygląda cudownie, Skye – stwierdza. Powiedziałyby to samo, nawet gdyby miejsce przypominało obóz uchodźców, tak bardzo pragnie, by te wakacje się udały. Z zewnątrz ośrodek wygląda tak jak na zdjęciach na stronie internetowej, choć kolory nieco odbiegają od tych z broszury. Teren jest ogrodzony płotem, ale ponad nim widzę niektóre z budynków. W większości są utrzymane w dwóch stylach: domków imitujących drewno lub tanich sieciowych hotelików.

Gdy koła samochodu wjeżdżają na trzeszczący gruby żwir, gdzieś w oddali rozlega się szczekanie psa, a mama wpada w szal dobrych rad.

– Pisz do mnie co najmniej raz dziennie, dobrze? Mam nadzieję, że wykorzystasz obecność psychologów. Postaraj się uczyć na dodatkowe rozmowy. Jesteś pewna, że spakowałaś ładowarkę do telefonu?

Kiwam głową, kiedy trzeba, i zauważam u siebie nową fobię: szczekanie psów. Zwłaszcza w oddali. W recepcji znajdują się cztery stanowiska dla nowo przybyłych, z których tylko dwa są czynne. W liście, który dostałam, było napisane, że mam się zarejestrować przy stanowisku żółtym. Siedząca przy nim kobieta (krótkie siwe włosy, stara, ale nie bardzo, niefortunny dobór różowych okularów) uśmiecha się do mnie promiennie, przedstawia się jako Pippa i mówi, że jest szefową organizacji charytatywnej Bereaved Aid for

Kids, którą wszyscy nazywają w skrócie BAK-up. Następnie odhacza moje nazwisko na liście i informuje, że zostałam zakwaterowana w bloku D w pokoju numer 4, oraz podaje mi kod do drzwi wejściowych. Tyle powinno wystarczyć, ale mama twierdzi, że musi się upewnić, że zapisała w telefonie wszystkie numery alarmowe, i po raz kolejny przegląda formularze z najróżniejszymi zgodami, zanim oddaje je kobiecie.

Oznacza to, że nadal tam siedzę, gdy rejestruje się niska, szczupłutka dziewczyna. Wsiadła z taksówki, która podwiozła ją pod sam budynek. Mówi tak cicho, że nie słyszę jej imienia do czasu, aż Pippa odnajduje ją na liście i mówi:

– Aha, Fay, akurat mamy tu jedną z twoich współlokatorek – mówiąc to, wskazuje mnie ręką. – Skye, poznaj Fay.

– Cześć. Tak, jestem Fay. – Kiedy mówi, bierze krótkie, urywane wdechy i często mruży oczy. Jej letnia sukienka w biało-granatowe grochy podkreśla małe piersi i odsłania nieopalone paski po ramiączkach innej bluzki. – Strasznie się boję tych wakacji. Jestem beznadziejna we wszystkich dyscyplinach sportowych.

– Naprawdę? – Udaję zaskoczenie, choć dziewczyna rzeczywiście wygląda na marną sportsmenkę.

Uśmiecha się do mnie przesadnie miło i poprawia kucyk. Skoro się tu znalazła, musi mieć piętnaście lub szesnaście lat, ale trudno mi w to uwierzyć.

– Trzymajmy się razem!

Zastawiam się, kogo Fay straciła w swoim życiu.

Kiedy kilka miesięcy temu otrzymałam zaproszenie na ten obóz, wydawało mi się, że to świetny pomysł. Sześć dni i pięć nocy z dala od wszystkich. Ciągłe zajęcia gwarantujące niewiele czasu na rozmyślanie. Wszystko w pełni opłacone. Doskonała opcja, biorąc pod uwagę naszą sytuację finansową. Do dziś jakoś nie przejmowałam się faktem, że każdy inny uczestnik także stracił bliską osobę. Będę musiała się z nimi komunikować i być dla nich miła.

– Zaraz poproszę któregoś z opiekunów, aby zaprowadził was do pokoju – oznajmia Pippa.

– Idź sama – zwracam się do Fay. – Ja muszę jeszcze pożegnać się z mamą.

Tak się rani dwie osoby za jednym zamachem. Wcale nie chcę zbliżyć się do Fay. A na pewno nie od razu. Wiem też, że mama chciałaby zobaczyć nasz pokój, ale myślę, że zrobię jej przysługę. Mówię poważnie. W przeciwnym razie trudno byłoby jej odjechać. Po obejrzeniu pokoju chciałaby się rozejrzeć po okolicy, a potem zostałyby do czasu, aż będzie mogła poznać inne osoby z grupy.

Fay wychodzi z dwudziestokilkulatkiem w żółtej koszulce. Pippa wyjaśnia, że wszyscy opiekunowie naszej grupy noszą żółte koszulki. W tym tygodniu w ośrodku będą przebywać trzy grupy: żółta, niebieska i czerwona. Czerwoni, stanowiący najliczniejszą grupę, przyjechali wczoraj. To nastolatki z jakiegoś związku muzycznego. Rano ćwiczą w głównym korytarzu grę na instrumentach. Niebiescy to zwykłe dzieciaki, których rodzice zapisali na obóz wakacyjny. Żółty to kolor nastolatków, którym zmarł ktoś bliski. To kolor, w którym chyba nikt nie wygląda dobrze.

Zostawiam walizkę w recepcji, przy stanowisku Pippy, i wracam z mamą do samochodu. Spędzamy dłuższą chwilę w objęciach, a ja pozwalam, żeby uściskała mnie mocniej, niż powinna. Wciągając woń jej kwiatowych perfum, powstrzymuję atak kaszlu. Mama wsiada, ale nie może od razu ruszyć, ponieważ na podjazd wjeżdża właśnie ślimaczym tempem inny samochód. Oznacza to, że musimy dalej rozmawiać przez opuszczoną szybę.

– Mam nadzieję, że będziesz się tu doskonale bawić – mówi mama. – To wspaniały wyjazd. – Tak naprawdę ma nadzieję, że po powrocie do domu będę inną, lepszą osobą.

– Jasne – potwierdzam.

Przez przypadek napotykam wzrok chłopaka siedzącego w fotelu pasażera samochodu, który właśnie podjeżdża. Ciemne oczy, brązowa skóra, rozczochrane czarne włosy i błękitna koszulka polo. Macha do mnie. Wokół nie ma nikogo innego, więc nie mogę się mylić. Zanim decyduję, czy mam

odmachać, czy nie, jego samochód mija mnie i wjeżdża na parking.

Mama wklepuje coś nerwowo do nawigacji. Myśli, że nie wiem, co robi. Wcale nie jesteśmy daleko od Pitford. Upewnia się, że nawigacja nie poprowadzi jej w drodze powrotnej choćby w pobliże naszego starego domu. Tak samo zrobiła, gdy jechałyśmy tutaj. Czyta te swoje mądre poradniki i ciągle nawija o akceptacji, ale w praktyce wcale nie radzi sobie lepiej niż ja.

Biorę głęboki wdech, ale w głowie mam już obraz basenu przy Cisowym Domku. Czerwona woda. Luisa pod powierzchnią, twarzą w dół. Jej włosy rozłożone w wachlarz niczym wodorosty.

– Lepiej już pojedę, skoro zwolnił się podjazd – mówi mama. – Kocham cię.

– Ja ciebie też – opowiadam. Jest mi łatwiej być taką córką, jakiej sobie życzy, w momencie gdy wiem, że wjeżdża. Odprowadzam wzrokiem samochód, aż skręca na główną drogę, i ignoruję uczucie pustki w żołądku.

Po powrocie na recepcję widzę, że jest tam teraz o wiele więcej ludzi. Nowi się rejestrują, a czerwoni zbierają się do wyjścia, krzycząc na całe gardła. Oznacza to, że mogę się jeszcze trochę porozglądać, zanim pójde do pokoju D4 i dołączę do Fay.

Na ścianach widnieją ogromne fotografie dzieciaków w kaskach wiszących na linach lub pływających pontonami i ubranych w kamizelki ratunkowe. Poniżej wiszą mniejsze zdjęcia grup z nazwami szkół, na których wszyscy pokazują jakieś śmieszne znaki.

Przypominają mi o zdjęciu, które leży na dnie w pudle, w naszym nowym mieszkaniu, i nadal oczekuje na rozpakowanie. Zostało zrobione podczas wycieczki szkolnej na wyspę Wight, gdy miałam jedenaście lat. Pływaliśmy tam, urządzaliśmy biegi z przeszkodami, graliśmy bez końca w rounders^[1], a podczas gry w butelkę udało mi się pocałować Jaya Morrisa. Wtedy byłam typem sportsmenki. Wszyscy chcieli mnie mieć w swojej drużynie. Jay Morris nie musiał się wstydzić tego pocałunku.

Kiedy wracam po walizkę, Pippa zapisuje chłopaka, którego widziałam w samochodzie. Jego idealnie czysta markowa koszulka polo z wielkim logo

kontrastuje z byle jakimi spodenkami. Za bardzo się stara wyróżnić. Wykorzystując chwilę nieuwagi kobiety, chwytam walizkę, zanim zacznie nas sobie przedstawiać. Odchodząc, czuję na sobie jego wzrok i poprawiam workowatą koszulkę, którą naciągam aż na uda.

Za pomocą mapy na ścianie w budynku recepcji, pokazującej, co robić w wypadku pożaru, udaje mi się odnaleźć pokój D4. Droga jest dość prosta. Są tylko cztery bloki z pokojami, stojące jeden za drugim, a każdy posiada osobne wejście. Kiedy naciskam klamkę w drzwiach pokoju numer 4, okazuje się, że są zamknięte. Pukam i czekam chwilę, słysząc po drugiej stronie niezdarne próby pokonania zamka.

– Cześć! – Fay w końcu otwiera. – Witaj w naszym pokoju.

Dominującym kolorem – jedna ściana, zasłony i pościel – jest pomarańczowy. W pokoju stoją obok siebie trzy pojedyncze łóżka. Są ustawione bliżej, niż to sobie wyobrażałam. Na ścianie wisi oprawiona w metalową ramę mapa ośrodka. Łazienka jest biała i lśni czystością, choć mata antypoślizgowa, szara podłoga i specjalne poręcze kojarzą mi się ze szpitalem.

Fay zajęła już łóżko pod oknem i położyła na poduszce pluszowego królika, który wygląda, jakby został kilka razy przejechany przez samochód. Ja zajmuję łóżko stojące najbliżej łazienki i najdalej od Fay. Przy każdym łóżku znajduje się niewielka komódka oraz półka na walizkę w wąskiej szparze pomiędzy łóżkiem a ścianą. Rozpakowuję część swoich rzeczy i umieszczam je w komódce, podczas gdy Fay opowiada o swojej podróży, jakby wierzyła, że będą mnie interesowały jej historie o autobusach i taksówkach.

– Wydaje mi się, że będzie spoko – przerywam jej. – Nawet jeśli nie, przecież to tylko sześć dni, a połowa pierwszego prawie minęła.

Fay się uśmiecha. Widzę jednak, że nie jest już taka skora do trajkotania. Kiedy zabiera się za układanie w łazience swoich przyborów toaletowych, rozsiadam się z telefonem na łóżku, opieram o ścianę, a pod plecy podkładam poduszkę. Loguję się do darmowej sieci wi-fi i przeglądam różne strony. Po pewnym czasie, jak zwykle, łapię się na oglądaniu zdjęć Luisy.

3

Kiedy ktoś umrze, zdjęcia tej osoby ogląda się inaczej. Z jednej strony potrzebujesz sobie przypomnieć, jak wyglądała, z drugiej doszukujesz się w jej spojrzeniu ukrytych prawd i odpowiedzi na pytania, których nie możesz jej już zadać.

Moim ulubionym zdjęciem Luisy jest to, na którym skacze na gwiazdę do basenu przy Cisowym Domku, ale w kadrze widać tylko ją i bezchmurne niebo. Świeci słońce, trochę włosów wypadło jej z kucyka, jest uśmiechnięta. Zdjęcie wykonał kilka lat temu Toby, nasz sąsiad mieszkający w domu obok. Zrobił je tuż przed tym, jak ze sobą zerwali. Pewnie przeczuwał, że jego dni są policzone. Nawet ja wiedziałam, że nie uda mu się zatrzymać jej przy sobie na zawsze.

Robię zbliżenie na telefonie, aby się lepiej przyjrzeć twarzy siostry. Jest szczęśliwa, beztroska i piękna. Nadal wydaje mi się, że to niemożliwe, że umarła – przecież była tak pełna życia.

Fay wychodzi z łazienki i informuje mnie, że są w niej trzy półki i ma nadzieję, że nie mam nic przeciwko, że zajęła tę najniższą, gdyż nie jest zbyt wysoka.

Zagląda mi przez ramię, przykrzywiając głowę. Nawet nie próbuje ukryć, że interesuje ją mój telefon. Wychodzę z galerii. To prywatne zdjęcia.

– Pokażę ci zdjęcie mnie i mojego taty – oznajmia Fay.

„Szczęściara ze mnie”.

Rozpina wewnętrzną kieszonkę walizki i wyciąga fotografię w srebrnej ramce. Zanim mi ją podaje, przeciera szybką koszulką. Fotografia została zrobiona w restauracji. Stoją na niej mocno objęci. Jej tata to szczupły mężczyzna z rzadkimi włosami. Jego twarz jest poważna, ma ciemne, małe

oczy. Podobnie jak Fay.

– Jesteś do niego podobna.

– Dzięki. Wszyscy mi to mówią. Próbuję udawać, że nie umarł. Wmawiam sobie, że wyjechał i pracuje jako profesor gdzieś na drugim końcu świata.

– I to pomaga? – pytam, oddając jej zdjęcie.

– Trochę. – Przed włożeniem do walizki przeciera je jeszcze raz.

Na lunch mamy różne rodzaje sałatek i czekoladowe brownie z chrupiącym wierzchem i płynnym środkiem – moje ulubione. Siedzimy przy dwóch długich stołach w tak zwanej żółtej jadalni, która jest przypisana do naszej grupy. W rzeczywistości kolory w pomieszczeniu określiłabym raczej jako ponuro-grzybowe. Nie licząc śniadania, które mamy jeść w głównej jadalni, to tutaj będziemy konsumować posiłki i tu będą się odbywać zajęcia wyłącznie dla żółtych. Pozostałe części ośrodka są zarezerwowane dla innych kolorów.

W naszej grupie brakuje jednej osoby. Trzecia dziewczyna z naszego pokoju ma przyjechać późnym pociągiem i Pippa wyjechała po nią na stację. Przysiadam się do Fay, która rozgrzebuje sałatkę na talerzu i dziecinnym tonem opowiada o tym, że jest objęta specjalnym programem dla wybitnie zdolnych uczniów.

Mówi, że chciałaby zostać lekarzem, a kiedy zaczyna nawijać o praktykach w szpitalu, natychmiast myślę o moim bracie Oskarze. Ma dziewięć lat i cztery poważne operacje za sobą. Odsuwam krzesło z głośnym szuraniem i idę po drugie brownie.

Pod koniec przerwy na lunch Pippa wraca z naszą współlokatorką. Dziewczyna ma krótkie czarne włosy, drogie zielone słuchawki na szyi, obcisłe dżinsy i top na ramiączkach podkreślający kształty. Brzeg jednego ucha zdobi kilka kolczyków, drugie ucho jest bez biżuterii. Ma na imię Danielle.

Niebawem kelner zaczyna zbierać talerze, a Pippa wstaje i prosi o uwagę, stukając sztucem o szklanę.

– Skoro wszyscy już dotarli, pragnę przywitać was oficjalnie w Morley Hill. Te wakacje umożliwił wam BAK-up, a was wszystkich łączy to, że każde straciło jakąś bliską osobę. Pójście naprzód to trudny, ale nieodzowny krok w radzeniu sobie ze stratą i mam nadzieję, że ten tydzień wam w tym pomoże. Właśnie dlatego motto naszego obozu brzmi: „Ruszyć do przodu”.

Naprawdę? Musiałam pobieżnie przeczytać ten fragment ulotki. Kiedy Pippa mówi, że obecność na różnych zajęciach w ciągu tygodnia nie jest obowiązkowa, jednakże jest zalecana, wyobrażam ją sobie w różnych kolorach oprawek okularów. Wybrałabym dla niej proste brązowe.

– Poznajmy się. Opowiedzcie, skąd przyjechaliście i czego oczekujecie po tym tygodniu. Może liczycie na jakieś konkretne zajęcia, nawiązanie przyjaźni, towarzystwo osób, które rozumieją, przez co przechodzicie? Nie mam zamiaru prosić, byście opowiadali, co was tu sprowadziło. Sami zdecydujecie, kiedy będziecie gotowi na takie zwierzenia.

Kobieta obraca się dokoła, tak by każda z osób mogła zobaczyć jej ciepły i pełen spokoju uśmiech.

Wyobrażam sobie koszmarną zabawę integracyjną, w ramach której każdy dostaje listę nazwisk wszystkich członków grupy oraz drugą z opisem, kto z bliskich i w jakich okolicznościach zmarł. Potem musimy ze sobą rozmawiać i odpowiednio wszystkich przyporządkować.

– Kto chciałby zacząć? – pyta Pippa.

Jakiś chłopak po drugiej stronie stołu podnosi rękę. Ma dość długie blond włosy, opaloną skórę, a rękawy koszulki z wzorem graffiti opinają rozbudowane mięśnie. Materiał na członka boysbandu. Wyluzowany typ z tragiczną przeszłością.

– Jestem Joe – zaczyna. – Mieszkam w Cornwall. Lubię surfing i zajęcia na świeżym powietrzu, więc nawet się nie zastanawiałem, czy tu przyjechać. Chcę się z wami wszystkimi poznać. Będzie super.

Kilka osób bije brawo, nie mam pojęcia dlaczego.

Następna odzywa się Fay. Zaczyna od tego, że jej tata zginął trzy lata temu w wypadku samochodowym. Ona siedziała wtedy na fotelu pasażera i sama

cudem uniknęła śmierci. Nie chcę tego słuchać. Dalej opowiada, jak bardzo jej go brakuje, a ja wyglądam przez okno i patrzę na trawę, drzewa, klomby kwiatów i wijące się ścieżki. Gdzieś na terenie ośrodka jest basen. Wyobrażam sobie siebie zakładającą czepek pływacki i opuszczającą gogle na oczy. Biorę głęboki wdech. Nie zamykając oczu, widzę, jak nurkuje w głębokim basenie wypełnionym turkusową wodą. Płynę blisko dna, aż czuję, że moje płuca chcą eksplodować.

Mam świadomość, że ciemnoskóry chłopak w błękitnej polówce mi się przygląda. Nagle wypuszczam powietrze. Trochę za głośno. Inni też kierują na mnie wzrok. Fay urywa i oszczędza nam kolejnych szczegółów swojego pobytu w szpitalu. Chłopak się uśmiecha. Na tyle szeroko, że widzę jego idealne zęby.

– A ty, Brandon? – zadaje pytanie Pippa, a on przenosi wzrok ze mnie na nią.

– Hmm, tak, jestem Brandon. Mieszkam w Londynie i przyjechałem tu, bo mama mnie do tego zmusiła.

Kilka osób parska śmiechem. Nie ja.

Pippa twierdząco kiwa głową.

– Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił.

Brandon lekko wzrusza ramionami. Nie jest to nieuprzejmy gest.

Danielle bawi się jednym z kolczyków i mówi, że przyjechała ze wsi, której nazwy nigdy nie poznamy.

– A najważniejsze w tym tygodniu jest to, że nie będę przebywać z ojcem.
– Obok mnie Fay się wzdryga.

Przychodzi kolej na mnie.

– Jestem Skye i mieszkam niedaleko Londynu.

„Ale stamtąd nie pochodzę”.

Mam za ciasno zapięte dzinsy na biodrach. Muszę zmienić pozycję, żeby guzik nie wpijał mi się w brzuch.

– Jestem tu, bo miałam ochotę na wakacje – mówię. – Nie mogę się doczekać chodzenia po linie i skoków z wieży.

– Już dzisiaj będziesz miała szansę na pierwszą dawkę adrenaliny – odpowiada Pippa. – Warsztaty chodzenia po linie zaczynają się o czwartej.

Kilka osób zaczyna rozmawiać o chodzeniu po linie. Pippa daje im się wygadać, ale po chwili prosi o ciszę. Jeśli zignorować te okulary, wydaje się całkiem normalna i wcale nie zachowuje się jak nauczycielka.

Kontynuujemy przedstawianie się. Jest nas dwanaścioro. Na koniec Pippa spogląda na zegarek i oznajmia:

– Wasza grupa ma teraz dla siebie cały basen, aż do trzeciej. Zobaczymy się później na warsztatach chodzenia po linie.

– Ten ręcznik kąpielowy należał do mojego taty – mówi Fay, przytrzymując go na biodrach jedną ręką, a drugą odsuwając, abyśmy mogły mu się lepiej przyjrzeć.

Jest granatowy, ma wyblakłą, prawie różową łątkę i pełno wychodzących nitek. Nie można o nim zbyt wiele powiedzieć. Mimo to próbuję:

– Fajny.

Danielle rzuca mi spojrzenie mówiące: „Fajny? Naprawdę?”.

Basen jest spory, wokół stoją plastikowe leżaki. Reszta grupy jest już w wodzie. Wszyscy krzyczą i bawią się dmuchanymi zabawkami.

Bardzo mi zależy, aby wszystko było okej. Etap pierwszy: wślizgnąć się do wody pośpiesznie, by nikt nie dostrzegł moich wałeczków. Etap drugi: przepłynąć krótki odcinek kraulem i poczuć, jak woda otacza moją twarz.

Będzie miło, tak jak dawniej.

– Chodźcie! – krzyczy chłopak z Cornwall. Joe. Ochlapuje nas wodą i Fay piszczy. Danielle zrzuca ręcznik i skacze na bombę, robiąc wielki rozbryzg. Ratownik odchyła się do tyłu na swoim wysokim krześle, aby nie zostać zachlapanym, ale nic nie mówi.

Fay zanurza w wodzie palec u stopy i woła:

– Lodowata! – Mimo to kładzie ręcznik na leżaku i piszcząc, wchodzi do basenu od strony płycizny. Staje na palcach, przez co wydaje się chudsza niż zwykle. Woda sięga jej do połowy ud. Patrzy na mnie. – Wchodzisz, Skye?

– Może – odpowiadam, ale już teraz czuję, że mam przyśpieszony oddech.

– Możesz się poopalać później – stwierdza Fay, po czym zanurza się, wydając stłumiony okrzyk.

Siadam na skraju leżaka, ciągle opatulona ręcznikiem, i oglądam lakier na paznokciach u stóp. Czerwony na zmianę z różowym, na cześć Luisy. W zeszłym roku to był jej znak rozpoznawczy. Miała stopy ładniejsze niż ja.

Ktoś zasłania mi światło. Kiedy podnoszę wzrok, widzę chłopaka w polówce, Brandona. Z tą różnicą, że teraz ma goły tors. Bierze niedużą piłkę plażową, zostawioną pod jednym z leżaków, i zauważa, że na niego patrzę.

– Nie pływasz?

Cóż za spostrzegawczość.

– Nie.

Pewnie myśli, że nie wchodzę do wody, bo wstydzę się pokazać w bikini albo mam okres. Nie przejmuję się tym. Te dwa powody i tak są lepsze niż prawda.

4

Kiedy nikt nie patrzy, zrzucam ręcznik. Kładę się na plecach i opalam z zamkniętymi oczami zakrytymi ciemnymi okularami. Fay woła mnie z basenu, ale ją ignoruję. Słyszę, że Joe próbuje zorganizować mecz siatkówki. Ktoś stwierdza, że beze mnie drużyny będą nierówne. Nie ruszam się i czekam, aż upewniam się, że gra się rozpoczęła. Po chwili słońce przypieka mi ramiona, a nie mam balsamu do opalania. Do tego zapach chloru przypomina mi rzeczy, których nie chcę pamiętać, więc wstaję. Chcę wrócić do pokoju i jako pierwsza być gotowa na chodzenie po linie. Sięgam po ręcznik i nagle czuję zapach rośliny, która rosła w donicy przy basenie obok Cisowego Domku. Miała mnóstwo drobnych białych kwiatów. Oszołomiona rozglądam się wokoło. Chcę ujrzeć krzak z małymi białymi kwiatkami, aby się upewnić, że ten zapach to nie halucynacja. Wszystko zaczyna wirować.

Tracę równowagę i upadam. Uderzam kolanem w nagrzaną, ostry kamień. Czuję silne pieczenie, które odbiera mi oddech. Kiedy łapię powietrze, krzyczę.

Hałaśliwe odgłosy w basenie natychmiast cichną.

– Nic ci nie jest? – pyta jeden z chłopaków.

Lepiej być nie może! Leżę w samym bikini, a wszyscy się na mnie gapią. Kiwam głową, nie rozglądając się.

– O rety, krwawisz! – To głos Fay.

Mam rozwalone kolano. Chwytam ręcznik i przyciskam go do rany, zakrywając krew. Joe wychodzi z wody i idzie do mnie. Woda kapie z niego na mnie, jeszcze zanim się zbliżył.

– Chcesz, abym je opatrzył? – pyta tonem specjalisty od pierwszej

pomocy, jakby wiedział, co robi. Jego surfingowe spodenki są czerwono-pomarańczowo-białe, z jednej strony mają rozdarcie. Z tego, co wiem na temat surfingowej mody, to rozdarcie może być celowe.

– Nic mi nie jest – odpowiadam w stronę jego łańcuszka na kostce. Ma kolor wyblakłej zieleni i zdobienie w postaci muszelki. Założę się, że coś oznacza. Pewnie ma dziewczynę-surferkę, która mu go dała. – Naprawdę nic się nie stało. – Wstaję z pewnym wysiłkiem i zarzucam ręcznik na ramię, ignorując pieczenie kolana.

Teraz Fay wyszła z wody i przygląda się mojej nodze, jakby była studentką medycyny.

– Skye, powinnaś usiąść na chwilę na leżaku.

Podchodzi do mnie ratownik.

– Wszystko w porządku – oznajmiam, po czym wsuwam stopy w japonki i zaczynam kuśtykać. – To nic takiego. Wracam do pokoju. Do zobaczenia później.

Odchodzę kawałek od basenu i sprawdzam stan kolana. Jest bardziej zadrapane niż rozcięte, ale boli jak cholera. Poprawiam ręcznik, tak by nie drażnił skóry, i mijam kuchnię. Podwójne drzwi są otwarte i słyszę przez nie brzęk garnków oraz płynącą z kranu z wysokim ciśnieniem wodę.

– Skye! Poczekaj!

Odwracam się i widzę Joego biegnącego boso po trawie, ubranego w same kąpielówki. Kiedy się do mnie zbliża, mówi:

– Możesz mi powiedzieć, abym spadał, ale... czy naprawdę nic ci nie jest?

Moje kolano pulsuje z bólu, ale nie spuszcza na nie wzroku.

– Wszystko w porządku – odpowiadam. – Dzięki. – Muszę zmrużyć oczy, by powstrzymać łzy. Skąd one się wzięły?

Joe nadal idzie obok.

– Nie chciałbym, by to zrujnowało ci pierwszy dzień.

Kręcę przecząco głową.

– Patrz naprzód, nie wstecz – dodaje i spowalnia krok. – Wiem, wiem,

łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Latem ubiegłego roku straciłem moją dziewczynę, Kyrę.

– Latem ubiegłego roku... – zaczynam. „Latem ubiegłego roku wszystko się zaczęło i skończyło”. Muszę nabrać więcej powietrza, aby to powiedzieć.
– Ja straciłam siostrę.

Uśmiecha się. Ze współczuciem. Jak przystało na rozmowę o zmarłych.

– Czyli lato to dla nas obojga trudny czas. Co jej się stało?

Ciekawe, czy to pytanie nadal będzie powodowało u mnie bezdech, gdy będę babcią w domu spokojnej starości, z siwymi włosami i w kwiecistej koszuli nocnej do kostek.

– Ona... utonęła. „W basenie pełnym czerwonej wody”.

– W jaki sposób?

Unikam jego wzroku i skupiam się na znaku wskazującym jedną strzałką jezioro, a drugą ognisko. Jeśli nie uda mi się wyznać tego teraz i tutaj, na wakacjach z BAK-upu, może nigdy nie zostawię za sobą przeszłości. Joe nie jest dorosłym, który musi poznać prawdę, ani świrem, którego kręca krwawe szczegóły. Sam przeżył śmierć bliskiej osoby. Muszę tylko wypowiedzieć jedno zdanie, ignorując walenie w klatce piersiowej.

– Wpadła do basenu, uderzyła się w głowę i straciła przytomność. – Nie wiem, po co na koniec dodaję: – Pokłóciła się z kimś.

Joe kiwa głową.

– Straszna tragedia. Mam nadzieję, że cię przy tym nie było. – Widzi moje zawahanie. – O nie. Byłaś tam, prawda?

Zaschło mi w ustach i czuję, jak wstyd kłuje mnie tysiącem rozgrzanych do czerwoności igiełek.

– Nie mogłaś jej uratować? – pyta Joe.

Jest blisko i patrzy w moje pełne poczucia winy oczy. W ręczniku jest mi za gorąco, ale nie mogę go z siebie ściągnąć. Kręcę przecząco głową.

– Nie? Biedactwo... – szepcze, muskając łagodnie moją rękę. – Odprowadzę cię do pokoju. Niedługo zobaczymy się na chodzeniu po linie, prawda? Uważaj na siebie.

Patrzę, jak wielkimi susami biegnie z powrotem na basen. Powinnam była zapytać o Kyrę, jego dziewczynę.

Gdy pokazuję instruktorce, jak się przypinam i odpinam od linki, czuję ostry ból w kolanie. Ponieważ jestem ostatnia w kolejce, mam ochotę wykonać zadanie nieprawidłowo, aby było ciekawiej. Ale wtedy mogłabym trafić na kurs dla początkujących, gdzie liny są zawieszony pół metra nad ziemią.

– Na uprząży masz dwa karabińczyki – powtarza instruktorka po raz kolejny. – Nie wolno wam przebywać na linie, kiedy co najmniej jeden z nich nie jest zapięty – mówi krzykliwym, ale monotonnym głosem.

Wszyscy wykonujemy to zadanie, łącznie z Pippą. Widać, że już to wcześniej robiła, choć udaje, że słucha instruktorki z wyjątkową uwagą.

– Nie możecie trzymać się zbyt blisko osoby idącej przed wami. Zachowajcie bezpieczny dystans.

Stojąca obok mnie Fay przestała się przejmować kaskiem i teraz majstruje przy uprząży. Uważa, że nie jest wystarczająco ciasno zapięta. Poza tym uprząż wpija się jej w nogę. A co, jeśli lina nie wytrzyma jej ciężaru?

Jeśli lina nie wytrzyma *jej* ciężaru, wszyscy będziemy zgubieni.

Pippa zerka w jej stronę.

– Nie martw się. Za chwilę wszystko sprawdzę.

Stojąca kawalek dalej Danielle przewraca oczami i grzebie czubkiem vansa w piaszczystym gruncie.

Instruktorka zwraca się do grupy:

– Jakież pytania?

Ktoś chce wiedzieć, ile już było wypadków.

– Zawsze ktoś o to pyta – odpowiada kobieta trochę zniecierpliwionym tonem. – Odpowiedź brzmi: żadnego, i tak pozostanie, dopóki ja tu dowodzę. Za każde głupie lub nierozważne zachowanie odsyłam do domu. No dobrze, ustawcie się w kolejce – mówiąc to, układa usta w prostą linię, co w jej wypadku jest pewnie szczytem uśmiechu.

Podczas gdy Pippa sprawdza uprząż Fay, odsuwam się na bok i staję

w środku kolejki do przejścia po linie. Jestem za Danielle, a przed Brandonem.

Najpierw wspinamy się po stromej drabinie na drewnianą platformę otoczoną dookoła siatką, poza miejscem, w którym każde z nas musi zejść i rozbujać się na linie, by wylądować na innej siatce.

Instruktorka staje w tej przerwie i sprawdza, czy każdy zapiął karabińczyki.

Zaczyna Joe, jednym płynnym ruchem kierując się prosto na lądowisko ze splecionych lin.

– Super! – woła, wspinając się na pierwszą półkę.

– Zapnij się i ruszaj – wydaje polecenie instruktorka, kiedy przychodzi kolej Danielle. Dziewczyna kołysze się na linie, głośno krzycząc.

– Następna – woła instruktorka. Biorę głęboki oddech i odpycham się od platformy, ale wtedy kolano odmawia mi posłuszeństwa. Próbuję się obrócić, tak by zdrowa noga stanęła na siatce jako pierwsza i abym mogła na niej oprzeć ciężar ciała, ale źle obliczam odległość. Ląduję twarzą w siatce i z trudem się na niej utrzymuję.

– Uśmiech! – Ktoś woła. Ponad moją głową, na wysokiej półce stoi Danielle i kieruje w moją stronę obiektyw telefonu. Rzucam jej gniewne spojrzenie i zaczynam wchodzić po siatce, krzywiąc się z grymasem bólu za każdym razem, gdy opieram się na zranionym kolanie. Zanim docieram na górę, Danielle już dawno zniknęła na ścieżce z wiszących drewnianych schodków.

Przypinam się do następnej linki i zatrzymuję się na chwilę, aby się rozejrzeć. Widzę stąd dach jednego z bloków z pokojami, fragment jeziora z wyspą na środku, krowy na polach. Dalej ciągną się ścieżki między drzewami i krzewami. Wysokość jest przerażająca, ale gdybym spadła, uprząż by mnie utrzymała. Bez niej na pewno nie przeżyłabym upadku.

Stawiając stopy na pierwszej chwiejącej się desce, czuję przyływ adrenaliny, która uśmierza ból w kolanie. Wszystkie bodźce dochodzą do mnie ze zdwojoną siłą, od splotu liny, którą trzymam w dłoni, po twardość

drewna pod stopami.

Danielle już dawno zniknęła mi z pola widzenia, a teraz boję się, że lada chwila doścignie mnie Brandon, jednak w pewnym momencie nie mogę stwierdzić, czy to ja przyśpieszyłam, czy ona zwolniła, bo zaczynam się do niej zbliżać. Wchodzę na dzieciennie łatwą sekcję toru przeszkód składającą się ze sznurkowych drabin, którą właśnie pokonuje Danielle, na co ona odwraca się i syczy:

– Odsuń się!

Od razu widzę, że jej oba karabińczyki wiszą niezapięte przy uprząży. Gdybym za bardzo rozkołysała drabinę, mogłaby stracić równowagę i spaść. Zamieram w bezruchu, nie mogąc złapać tchu, i obserwuję, jak dziewczyna chwytając sznury drabiny, a jej nogi drżą, sprawdzając stabilność każdego szczebelka. Mam ochotę zawrócić, aby przypadkiem nie zobaczyć czegoś, czego już nigdy nie będę mogła zapomnieć, ale nie mogę. Jestem tutaj. I wiem, że to oznacza, że będę musiała być świadkiem tego, co ma się wydarzyć. Danielle niepewnymi ruchami zbliża się do półki na końcu tej sekcji, a ja ponaglę ją, by się nie zatrzymywała. Kiedy już stawia obie stopy na półce, przypina się do linki oboma karabińczykami i kontynuuje pokonywanie toru przeszkód. Teraz porusza się już znacznie sprawniej, niczym kozica górską. Moje ciało natomiast jest jak galareta, osłabione poczuciem strachu.

Przez długi czas nie mogę jej dogonić. Kiedy udaje mi się do niej zbliżyć na wystarczającą odległość, pytam szeptem:

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Co zrobiłam? – rzuca Danielle, nie odwracając się. – Nie wiem, o czym mówisz.

5

Cisowy Domek, przed Nikiem

Budzę się w nocy, ponieważ miałam koszmar na temat Oskara. Jest znowu w szpitalu, z mamą. Ma infekcję, a mnie się przyśniło, że jego lekarstwa nie działają. Wiem, że nie będę w stanie normalnie zasnąć, dlatego zapalam lampkę przy łóżku. Czując w powietrzu chłód i wyjątkową ciszę, odsłaniam zasłonę przy łóżku i wszędzie widzę biel.

Śnieg. Leży tak grubą warstwą, że widać tylko początek basenu, miejsce, gdzie wystaje z niego kołowrotek do zamykania pokrywy, ale jego końca już nie dostrzegam. Czuję się osamotniona z poczuciem, że jako jedyna w domu wiem o śniegu. W końcu nie wytrzymuję, wstaję, otulam się kołdrą i mijam pustą sypialnię Oskara, kierując się w stronę pokoju Luisy.

– Lu – mówię cicho. Czasami, gdy w nocy stoję przy jej łóżku, wścieka się na mnie, bo myśli, że jestem włamywaczem.

Dziś tylko jęczy.

– Spadł śnieg! – wołam, siadając na jej łóżku, którego jej zazdroszczę, ponieważ jest podwójne.

– Wow. – Siada, ale po chwili opada z powrotem na poduszki. – Teraz jestem zbyt zmęczona, by go zobaczyć. Wracaj do łóżka.

– Nie mogę przestać myśleć o Oskarze.

Luisa wzdycha.

– No dobrze, wskakuj, tylko ani się waż dotknąć mnie zimnymi stopami. Nie żartuję.

Zrzucam swoją kołdrę na podłogę i kładę się obok niej. Jej pościel jest prana w tym samym proszku co moja, a jednak pachnie inaczej. Siostra od

razu zasypia, a ja przybieram wygodną pozycję i przyglądając się wiszącym na ścianie plakatom, planuję nadchodzący śnieżny dzień.

Na górze za farmą zjawia się mnóstwo ludzi z sankami, jabłuszkami i wszystkim innym, co tylko mają pod ręką. Jest też Toby, który nie przepuściłby okazji, by usiąść na sankach za Luisą i objąć ją, pędząc z górki. Później wraca z nami do domu i proponuje, że odśnieży nasz podjazd i ścieżkę łączącą go z furtką. Nie rozumiem, po co to robi, skoro przejazd jest potrzebny tylko nam. Obecnie droga dojazdowa do naszej farmy jest nieprzejezdna. Mama i Oskar są w szpitalu, a tata pracuje w domu, w swoim gabinecie na górze.

Po wykonaniu pracy Toby popija z nami w kuchni gorącą czekoladę, a kiedy Luisa oznajmia, że musi dokończyć esej, wskazuje palcem na ogród i pyta z niedowierzaniem:

– Słucham? W dniu, w którym spadło tyle świeżego puchu?

– Jeśli mam się dostać na studia, muszę mieć dobre oceny – odpowiada Luisa. – Możesz zbudować bałwana ze Skye.

I tak robimy. Lepimy bałwana, który stoi na głowie, skaczemy na trampolinie, która ledwie nas odbija z powodu leżącego na niej ciężkiego śniegu, robimy orły w śniegu. Urządzamy bitwę na śnieżki, która kończy się tym, że Toby strząsa mi na głowę śnieg z gałęzi drzewa i jestem tak zasypiana, że z trudem trzymam się na nogach, podobnie jak on, tyle że ze śmiechu.

– Nie musisz przypadkiem pomagać w sklepiku czy coś? – pytam, wchodząc do domu. Toby ściąga buty i wchodzi za mną, aby pożegnać się z Luisą. Roztopiony śnieg ścieka z niego na schody. Gdy ściągam przemoczone ciuchy w kuchni, słyszę jego wołanie, że Luisa wcale nie pracuje nad esejem, tylko ogląda film na laptopie. Wchodzę do jej pokoju i widzę, że Toby do niej dołączył. Jest w samej koszuce, siedzi na łóżku i zdążył się już wciągnąć w akcję na ekranie.

Siostra podnosi wzrok i widząc moje mokre włosy i czerwone uszy, pyta:

– Nic ci nie jest?

– Zamarzam.

– Przynieś termofor z gorącą wodą i jeszcze jedną kołdrę. Chodź pooglądać z nami.

Zasypiam przed końcem filmu, wtulona w pościel i odwrócona plecami do nich. Budzę się powoli, jest mi ciepło i wygodnie, przysłuchuję się ich rozmowie.

– Nie wiem, czy tata miał zamiar się przyznawać, ale wypił kilka drinków – mówi Luisa. – Wydali już tyle kasy na zagranicznych lekarzy, interes taty nie kręci się teraz zbyt dobrze, a mama nie może dalej pracować ze względu na Oskara.

Otwieram oczy i czuję, jak moje rzęsy ocierają się o poduszkę.

Toby zmienia pozycję. Wiem, że nie jest już oparty o Luisę.

– Ale twoi rodzice nie sprzedaliby tego domu... Przecież mieszkacie tu od zawsze. Do tego...

– Nie martw się, sprzedałabym nerkę, aby im pomóc – odpowiada Luisa żartobliwym, radosnym tonem.

– Ja sprzedałbym nerkę, gdyby to miało sprawić, że tu zostaniesz – wyznaje Toby. – Sprzedałbym całe ciało.

Luisa się śmieje, a po chwili słyszę odrażający dźwięk głośnego pocałunku.

6

Teraz

– Jak wam się podobał park linowy? – pyta Pippa, kiedy ustawiamy się w kolejce po zapiekankę makaronową i sałatki w żółtej jadalni. Wszyscy odpowiadają, że bardzo, poza Fay, która narzeka na elementy, które jej się nie podobały, czyli większość toru przeszkód, oraz Danielle, która gra na telefonie.

Gdy podchodzę do blatu z jedzeniem, nabieram łyżką trochę makaronu i stukam nią o talerz, aż spada z niej mój obiad. Brzegi zapiekanki dekoruję liśćmi sałaty.

– Na końcu znajdziecie sosy – informuje Pippa. – Polecam słodki sos chilli.

Podążam za resztą w stronę stołu pełnego buteleczek i słoików. Jest tu keczup, musztarda, mnóstwo różnych dressingów do sałatek, sos barbecue oraz słoik sosu chilli z nalepką Farma w dolinie. Kładę na stole talerz i wybieram ten ostatni. Etykieta z fikuśną czcionką wygląda znajomo. Wystarczy mi mały wdech zapachu słodkiego czerwonego sosu, bym przeniosła się z powrotem do sklepiku na farmie. Na ladzie widzę tam otwarty słoik do degustacji oraz leżące na białym talerzu krakersy do maczania w sosie. Musiałam się cofnąć o krok, ponieważ wpadam na jedną z dziewczyn, która chyba ma na imię Kerry. Z jej talerza spada na podłogę sałata.

– Uważaj!

Pozostali przechodzą obok.

– Może spróbujesz? – proponuje Pippa, która stoi teraz przy mnie. –

Produkuje go pewna rodzina i sprzedaje we własnym sklepiku na farmie. Miejscowość nazywa się Pitford. Sama zaczęłam tam jeździć.

„Znam tę rodzinę. Byliśmy ich sąsiadami”.

Kiedy zaproponowano mi ten wyjazd, wiedziałam, że Morley Hill znajduje się godzinę jazdy samochodem od Pitford, ale uznałam tę odległość za bezpieczną. Wystarczająco blisko, by poczuć więź ze swoim dawnym życiem, a jednocześnie na tyle daleko, by nie musieć się z nim konfrontować. Teraz nie jestem już tego taka pewna. Nabieram na palec nieco sosu z brzegu słoika. Próbuję i czekam, aż świeży ognisty smak przypiecze moje kubki smakowe.

– W ośrodku staramy się w miarę możliwości zamawiać produkty właśnie u lokalnych producentów.

Wyobrażam sobie buteleczki z sosem chilli stojące na półce przy drzwiach obok słoików z ogórkami i oliwkami.

– A czy sprzedaje tam chłopak w wieku około dziewiętnastu lat?

Pippa wygląda na zaskoczoną.

– Tak. Znasz to miejsce?

A więc Toby nadal tam pracuje. Dawno go nie widziałam i prawie przestałam o nim myśleć. Jest częścią mojego poprzedniego życia, które już zamknęłam.

– Znam trochę tę okolicę. – Brzmi to tak, jakbym kiedyś spędzała tam wakacje. Nakładam na skraj talerza niewielką ilość sosu i rozglądam się za wolnym miejscem. Najlepiej nie za blisko Fay.

Po posiłku Pippa wstaje i oznajmia, że wieczorem zrobimy ognisko. Ze śpiewaniem. Ona naprawdę wierzy, że to jest dla nas pomocne. Po chwili dodaje, że ognisko będzie spore. Szczęściarze z nas. Dowiadujemy się też, że dołączą do nas grupy młodszych dzieciaków, które będą musiały używać czerwonych i pomarańczowych latarek. Jedyne, co napawa mnie jakimkolwiek entuzjazmem, to gorąca czekolada na start i pieczone na ognisku pianki.

Właśnie z tego powodu pojawiaam się wcześniej na niewielkiej polanie na skraju ośrodka. Jest ze mną Fay, która nie zdążyła przed wyjściem związać włosów i robi to teraz. Jej gumka do włosów jest ozdobiona małymi plastikowymi babeczkami.

Gorąca czekolada jest wodnista, do tego nigdzie nie widzę bitej śmietany w spreju. Na szczęście pianki pieczone w ognisku smakują świetnie. Fay mówi, że ich nie jada, ponieważ zawierają żelatynę. Mimo to bierze jedną i rozdziera na pół, po czym wrzuca do ognia i oblizuje palce.

Siedzimy na nieociosanych kawałkach pni z wystającymi sękami. Siedziska są znacznie bardziej niebezpieczne z punktu widzenia BHP niż sam ogień. Musimy być blisko jakiejś farmy, ponieważ czuję jej zapach i mimo późnej pory słyszę warkot ciągnika lub wózka widłowego.

Pod koniec podstawówki napisałam w szkolnym pamiętniku, że moim marzeniem jest zostać rolnikiem. Każdą wolną chwilę spędzałam na Farmie w dolinie. Uwielbiałam rodzinę Mulliganów, tamtejsze psy i nieograniczoną swobodę. Mój idealny dzień składał się z pływania, a następnie pomagania w sklepiku. Czasami, gdy mama i tata zabierali Oskara do kardiologa do Niemiec, Luisa i ja sypiałyśmy na podwójnym łóżku w maleńkiej sypialni Mulliganów. Lubiłam wtedy udawać, że my też jesteśmy jednymi z nich.

- Nie mogę się doczekać śpiewania – oznajmia Fay.
- Naprawdę? – dziwię się. Nie mamy ze sobą *nic* wspólnego.
- Chodziłam na kursy śpiewu. I było ich całkiem sporo.
- W takim razie musisz się zbratać z grupą czerwonych – stwierdzam, wrzucając w ogień suchą gałązkę, która eksploduje cichym wystrzałem.

Pochyłam się, aby nazbierać więcej patyków, a Pippa oznajmia, że skoro wszyscy już przybyli, poda nam tabliczkę, którą będziemy przekazywać między sobą i zapisywać propozycje atrakcji na jutrzejszy poranek. No i kartki z tekstami piosenek. Laminowane. Gdybym wrzuciła swoją kartkę do ognia, pewnie powstałyby z niej dym w ciemnym kolorze, a litery fajnie by się rozpląnęły.

Pippa dzieli nas na dwie grupy i próbuje nauczyć śpiewania na dwa głosy.

Wszyscy się wstydzą i nucą coś pod nosem, w końcu grupa bez Pippy (czyli moja) cichnie. Obawiam się, że jeszcze chwila, a do śpiewania dołączy pokazywanie.

Czeka nas jednak inna atrakcja. Dołącza do nas brodaty facet z gitarą. Pippa przedstawia go, jakby był jakimś młodym talentem, który właśnie zrobił sobie przerwę w tournée, po czym prosi, by usiadł na kłodzie. Muzyk zaczyna od folkowego numeru, a ja przypadkowo napotykam wzrok siedzącej po przeciwnej stronie ogniska Danielle. Zasłaniają mi ją kłęby dymu, ale widzę, że daje mi jakieś znaki. W końcu podnosi się z siedziska, by po chwili zniknąć w szarówce wieczoru. Zamierzam pójść za nią.

Siedząca obok Fay ciągnie mnie za brzeg polaru, jakby była do mnie przywiązana sznurkiem.

– Dokąd idziesz?

Oczywiście przychodzi mi do głowy toaleta, ale wtedy pewnie stwierdziłaby, że ona też pójdzie.

– Po kurtkę. Trochę marznę – szepczę. – Za chwilę wrócę. – Znikam, zanim Fay wymyśli, by pożyczyć mi coś swojego. Zresztą i tak nic by na mnie nie pasowało.

Podążam w stronę, w którą oddaliła się Danielle, czyli w pobliże naszego bloku, i po chwili słyszę jej szept:

– Tutaj.

Po kilku sekundach ją dostrzegam. Jest blisko ścieżki, stoi pod drzewem i zlewa się z jego cieniem. Kiedy podchodzę bliżej, widzę, że w dłoni trzyma zapalonego papierosa. Ostrożnie wypuszcza dym z ust.

Następnie bez słowa mnie częstuje. Ma połowę paczki.

– Co ty kombinowałaś w parku linowym? – pytam, biorąc jednego.

– Chciałam sprawdzić, jakie to uczucie.

– Mogłam być świadkiem twojej śmierci.

– Zgadza się. Ale nie zginęłam, tylko dostałam kopa adrenaliny. Teraz więc obie możemy być zadowolone, prawda?

Wkładam papierosa do ust. To mój drugi w życiu. Kiedy byłam

w drużynie pływackiej, miałam obsesję na punkcie ochrony płuc przed wszelkimi truciznami. Na ulicy, mijając kogoś palącego papierosa, wstrzymywałam oddech. Gdy spacerowałam lub jeździłam na rowerze, celowo unikałam ruchliwych ulic. Ludzie mogli wtedy pomyśleć, że to ja mam problemy ze zdrowiem, a nie mój brat.

Danielle wyciąga z kieszeni dzinsów zapalniczkę i pstryknąwszy nią, trzyma w takiej pozycji, że muszę się nachylić. Zaciągam się i wypuszczam smolisty dym.

– Żałosne, co? – mówi Danielle. Zakładam, że ma na myśli moją technikę palenia, do czasu aż wykonuje gest głową w stronę ogniska.

Pierwszego papierosa zapaliłam kilka miesięcy temu na imprezie, z chłopakiem, którego imienia nie pamiętam. Była to moja pierwsza impreza od czasu przeprowadzki w okolice Londynu. Nie jestem pewna, dlaczego zostałam na nią zaproszona ani dlaczego tam poszłam. Siedzieliśmy na murku przed domem i czułam się podobnie jak teraz. Z dala od tłumy i od muzyki. Pewnie w oddali można było usłyszeć wycie syren samochodów policyjnych lub karetek, za to tutaj jest cicho, jak to na wsi. Nie dochodzą odgłosy aut, natomiast nie brakuje skrzypienia i szeleszczenia.

– A więc jaka jest twoja historia? – pyta Danielle.

Czekam, aż nikotyna przeniknie do moich płuc, po czym odpowiadam:

– Śmierć siostry.

Danielle kiwa głową, rzucając niedopałek, po czym wdeptuje go butem w ziemię.

– Ile miała lat?

– Osiemnaście.

– Jak to się stało? Choroba? Wypadek? Morderstwo?

– Nie lubię o tym mówić.

– Rozumiem – mówiąc to, zapala kolejnego papierosa. – Ja dostałam swój złoty bilet na ten obóz z powodu śmierci mamy. Miała czterdzieści cztery lata. Zdobywasz więcej punktów za tragedię.

– Przykro mi z powodu twojej mamy.

– To był rak – informuje Danielle, po czym odwraca się, by wypuścić dym. – Tak w ogóle powinnaś obejrzeć filmik, który nagrałam dziś rano, jak wylądowałaś twarzą w siatce. – Wyciąga telefon i przegląda galerię. – Zobacz.

– To wcale nie jest śmieszne – stwierdzam, patrząc, jak się rozplaszczam na siatce. Przez tę całą uprząż wyglądam, jakbym siedziała w dziecięcym chodziku.

Danielle zabiera telefon.

– Może prześlę go na pewien portal. Ludzie głosują na najlepszy filmik – mówi, a następnie odsuwa mnie rękami, nie pozwalając na protesty. – Tylko tak dla śmiechu. Nie oznaczę cię.

Strzepuję z papierosa popiół, który spada na ziemię, rozsypuje się i znika.

– A co, jeśli ci na to nie pozwolę?

– Daj spokój. W tym kasku nawet nie widać twojej twarzy. Poza tym przecież to nie sekstaśma.

– A co, gdybym ja nagrała ciebie, kiedy się odpięłaś?

Uśmiecha się.

– Byłabym pod wrażeniem. Hej, popatrz na to! – Wypuszcza w powietrze serię kółeczek z dymu, które wyglądają jak jakieś znaki.

Luisa zaczęła palić na studiach, ale dowiedziałam się o tym dopiero, gdy ubiegłego lata zobaczyłam w jej torbie paczkę. Byłyśmy wtedy w kawiarni w Hoathley i trzymałam jej torbę na kolanach, a ona kupowała shaki, które były jej ulubionym przysmakiem. Ja wybrałam smak oreo-krówkowy. Całą wieczność nie mogłam dokonać wyboru, a potem nie byłam w stanie zjeść go do końca. Wówczas miałam mniejszy żołądek.

– Znalazłam u ciebie papierosy – oznajmiłam z surową miną, kiedy wróciła z shake'ami.

Na jej twarzy zapłonął gniew i postawiła napoje z takim impetem, że rozlała trochę swojego.

– Grzebałaś w mojej torbie? – mówiąc to, wyrwała mi ją z ręki. – Nie twoja sprawa, co jest w środku.

– Zostawiłaś ją otwartą i je zobaczyłam – próbowałam się tłumaczyć. – Niczego nie dotykałam. Słowo.

Jej twarz złagodniała.

– W porządku. Nic się nie stało, ale nie rób tego więcej.

– Dobrze. Ale chyba nie powinnaś palić. Tak tylko radzę. – Nie przyszło mi wtedy do głowy, że mogła nosić w torbie jeszcze inne rzeczy. Zakazane i o dużej wartości.

7

Łoskot, krzyki i piski, uciekam. Jestem na bieżni treningowej i nie mogę dobiec do basenu. W końcu biegnę szybciej i nurkuję w wodę. Choć widzę Luisę, jest bardzo daleko ode mnie. Na dnie niewyobrażalnie głębokiego basenu. Rozpaczliwie do mnie macha. Brakuje mi już powietrza, ale dosięgam ją i przyciągam do siebie. Z narastającą paniką obserwuję jaskrawą taflę wody, ale boję się, że nie uda mi się dopłynąć do siostry. Woda zaczyna wirować, a ja nie mogę już oddychać. Duszę się. I wtedy dociera do mnie niewypowiedziane przerażenie. Puściłam ją. Luisa mi się wyślizgnęła.

Budzę się, z trudem łapiąc oddech, serce chce mi eksplodować, a całe ciało jest zlane potem. To jeszcze nie najgorszy z moich powtarzających się koszmarów. Najgorszy jest ten, w którym udaje mi się ją uratować. Z wody, ognia lub rozbitego samochodu. Nieustannie krzyczę na nią, by się obudziła, aż w końcu otwiera oczy. Przez krótką chwilę czuję pełnię szczęścia. Do momentu, gdy opluwa mnie krwią i woła, że jestem tchórzem i nigdy mi nie wybaczy. Przewraca oczami tak, że źrenice chowają się w jej głowie, a całe ciało rozpada się w nicość w moich ramionach.

Przez kilka sekund zachowuję całkowity spokój i nie jestem w stanie powiedzieć, czy przez sen krzyczałam, czy płakałam. Moje współlokatorki się nie ruszają i oddychają miarowo. Jeśli teraz zamknę oczy, powrócą obrazy z przeszłości. Przebieralnia, czerwona woda, nieruchome ciało Luisy. Przeczekuję ten moment, trzymając jedną rękę na brzuchu, kontrolując wdechy i wydechy do czasu, aż znów się uspokoję, a w mózgu pojawi się zmęczenie.

Kiedy budzę się później, nie wiem do końca, gdzie jestem. To dezorientujące, ale nie całkiem nieprzyjemne uczucie. Trochę tak, jakbym na ten ułamek sekundy wślizgnęła się w życie innej osoby, posiadała jej szanse

i możliwości. Jaskrawe światło sączy się przez pomarańczowe zasłony, tworząc znak krzyża na dolnej połowie kołdry Fay.

Sięgam po telefon i widzę, że mama pisała już do mnie dwa razy. Pobieżnie przeglądam wszystkie strony mediów społecznościowych. Dawniej po przebudzeniu odczytywałam po kilka wiadomości od mojej najlepszej przyjaciółki Anniki i innych. Może nawet od Maxa Tomkinsa. Było to w czasach, gdy drużyna pływacka stanowiła całe moje życie, a Annika i ja trenowałyśmy ze wspólnym marzeniem – wystąpić na mistrzostwach kraju.

Czasami otrzymywałam wiadomości od Luisy, często wysyłane do naszej prywatnej grupy chatowej przez aplikację MessageHound, na przykład z linkiem do zdjęcia, które według niej powinno mi się spodobać. Dzisiaj jedyna wiadomość poza tymi od mamy pochodzi od koleżanki z klasy z pytaniem, jaką książkę mamy przeczytać w czasie wakacji.

Śniadanie jemy w głównej jadalni, która znajduje się w osobnym budynku. W całym pomieszczeniu wprost roi się od nastolatków. Zostawiłam Fay i Danielle w łóżkach. Ich zdaniem lepiej odpuścić śniadanie na rzecz dłuższego spania. Przynajmniej tak jest w przypadku Danielle, a co do Fay, odkryłam, że nie jest wielką miłośniczką jedzenia. Staję w kolejce do szwedzkiego stołu i robię sobie kanapkę z rogalika i jajka na bekonie. Siadam przy pustym stoliku.

– No nie, jesteś tu całkiem sama? – Po drugiej stronie stolika stoi Joe z tacą pełną owoców z jogurtem i sokiem. Ma na sobie surfingowe spodenki z palmowym motywem oraz obcisły czarno-biały trykot.

– Aha. Nie przeszkadza mi to.

Siada naprzeciwko i bierze pokaźny łyk pomarańczowego soku.

– I jak wrażenia? – pyta, jakby właśnie zdał egzamin na terapeutę.

– W porządku – odpowiadam, po czym wgryzam się w rogalik.

– To dobrze. Ale wiesz, gdybyś chciała o czymś porozmawiać, jestem tu.

Wydaje mi się, że spodziewa się podziękowania, ale tylko kiwam głową i upewniam się, że nikt nie przysłuchuje się tej koszmarnej konwersacji. Przy

sąsiednim stoliku grupka czerwonych debatuje na temat tego, kto poprzedniego dnia złamał statyw na nuty.

Joe miesza jogurt.

– Życie z poczuciem winy nie jest łatwe.

Trzeba było mu nie mówić, co się stało Luisie. Nie do wiary, że byłam taka głupia.

– Proszę, przestań.

– Okej, okej. – Wygląda na zaskoczonego. – Myślałem, że nie chcesz, abym komukolwiek o tym mówił, a nie, że ze mną też nie masz ochoty rozmawiać na ten temat. – Przełyka sporą łyżkę jogurtu. – Swoją drogą, możesz mi całkowicie zaufać. Nikomu nie powiem ani słowa.

Biorę kolejny kęs rogalika i jem coraz szybciej. Chcę, aby to śniadanie jak najprędzej się skończyło.

– Na dzisiejsze zajęcia wybrałaś kajaki czy łucznictwo? – pyta Joe.

– Kajaki. – Zaznaczyłam tę opcję z powodu wczorajszych wydarzeń na basenie. Muszę się pozbyć fobii przed wodą. Pływanie kajakiem będzie czymś innym niż pływanie w basenie. Nie będę czuła zapachu chloru. Będę miała na sobie kamizelkę ratunkową i siedziałam w kajaku. To całkiem co innego niż basen, ale zawsze to pierwszy krok.

– Znasz się na kajakarstwie? – pyta, ale jego uniesione brwi sugerują, że raczej w to wątpi.

– Nie – odpowiadam. Prawdę mówiąc, nigdy nie pływałam kajakiem.

– To wymaga wytrzymałości – podpowiada Joe.

Wytrzymałość to niewątpliwie atut dawnej mnie. Mnie z czasów, gdy przepłynięcie pięćdziesięciu długości basenu w Hoathley było rozgrzewką przed treningiem.

– Na pewno sobie poradzę – zapewniam.

– Mogę ci towarzyszyć – proponuje. – Pływałam kajakiem po rzekach, morzach i rwących potokach... Znam się na tym.

Podnoszę swoją tackę i wstaję.

– Dzięki – mówię.

– Dobrze wiedzieć.

Za kogo on się ma? Za mojego ojca?

Danielle nie ma ochoty na nic. Najchętniej zostałaaby w pokoju i jeszcze pospała. Oczywiście Fay wybrała te same zajęcia co ja.

Podążając za znakami do hangaru na łódzie, Fay przedstawia mi listę swoich zmartwień związanych z kajakami. A co, jeśli nie nadaży za grupą albo całkowicie zepsuje sobie fryzurę? Lub wypadnie z kajaka i zostanie pod nim uwięziona bez dostępu do tlenu?

– Powinnaś trzymać się blisko Joego. Przy śniadaniu powiedział, że jest mistrzem w pływaniu kajakiem.

– Jadłaś z nim śniadanie? – dziwi się Fay. – O czym rozmawialiście?

– O kajakach... – Mogłaby nadrukować sobie na koszulce napis: LECEŃ NA JOEGO.

Jezioro jest ogromne. Na jego środku leży porośnięta drzewami wysepka. Zbiornik jest otoczony lasem, w którym znajduje się park linowy. Ponad linią drzew widzę wystające wysokie drewniane maszty. Jest cicho, choć to się pewnie zmieni, gdy ludzie zaczną pokonywać tor przeszkód i robić przy tym wiele krzyku.

Udajemy się do hangaru, który jest długim, rozklekotanym budynkiem. Dwa skrzydła potężnych drewnianych drzwi są otwarte na jezioro i ukazują wiele rzędów kajaków, ustawionych na stojakach niczym butelki w winnicy. Między hangarem a brzegiem jeziora jest porośnięte trawą zbocze prowadzące do drewnianego pomostu. Na trawie stoją dwie ławki, a przy pomoście umieszczono znak z napisem: ZAKAZ WĘDKOWANIA. ZAKAZ PŁYWANIA. ZAKAZ WSTĘPU NA WYSPĘ (REZERWAT PRZYRODY).

– Chciałabym mieszkać na takiej wyspie – stwierdza Fay. – Samotnie. Z dala od cywilizacji.

Fay to chyba ostatnia osoba, która poradziłaby sobie sama na wyspie, ale nie będę się czepiać.

Joe stoi już przed hangarem z instruktorem kajakarstwa. Prowadzą ożywioną dyskusję na temat sprintów, maratonów i rekordów życiowych. Na drzwiach wisi przypięta pinezką lista uczestników tej porannej sesji. Widzę, że czekamy jeszcze na trzy osoby. Kerry, Alice i Brandona.

Przychodzą razem, a wtedy instruktor podchodzi do Brandona i pyta go, czy chce pożyczyć którąś z zostawionych przez kogoś koszulek, by nie zniszczyć swojej.

Brandon zerka na swoją koszulę w geometryczne wzory, z równymi zagięciami, tak jakby dopiero wyciągnął ją z pudełka, ale przecząco kręci głową.

– Dzięki, nie trzeba – mówiąc to, podciąga rękawy do łokci, a następnie wszyscy wchodzimy za Timem, czyli instruktorem, bocznymi drzwiami do mrocznego hangaru. Zostawiamy w pojemnikach rzeczy, które nie powinny się zamoczyć lub mogłyby wypaść z kajaka, po czym zapinamy wilgotne kamizelki ratunkowe.

Tim wręcza nam wiosła, którymi najpierw machamy na sucho, aby opanować technikę wiosłowania. Instruktor stoi tyłem do jeziora, więc my jesteśmy zwrócenii ku wodzie. Próbuję unikać widoku mętnego i nieprzychylnego jeziora, które już na mnie czeka.

Kajaki okazują się dłuższe i cięższe, niż myślałam. Zanosimy je na pomost, gdzie Tim ma pomóc każdemu z nas wsiąść do środka. Każdemu poza Joem, który zna się na rzeczy.

Joe jest pierwszy. Fay zgłasza się na ochotnika jako następna, pewnie po to, aby przez kilka minut być na wodzie tylko z Joem. Odbijając od pomostu, piszczy ze strachu, ale w końcu udaje jej się skierować kajak tam, gdzie chce.

Następna jest Alice, a potem ja.

– Powodzenia – mówi Brandon.

Rzucam mu gniewne spojrzenie, ponieważ moim poprzedniczkom niczego nie życzył. Czy naprawdę uważa, że jestem taka beznadziejna?

W kajaku moje stopy mają pierwszy nieprzyjemny kontakt ze starą wodą z jeziora, a po chwili ląduję na siedzeniu szybciej, niż się spodziewałam. Gdy

wkładam wiosło do wody po jednej stronie, czuję, jak kajak się przechyla, a razem z nim mój żołądek. Przesuwam się, by poprawić równowagę.

– Wszystko dobrze, Skye? – woła Joe. Chyba nie mógł tego powiedzieć bardziej protekcyjnym tonem.

Kiwam głową, lecz nie daję mu większej satysfakcji i odwracam wzrok. Poruszam wiosłem, tak jak ćwiczyliśmy na lądzie, ale trudno mi nie patrzeć na wodę, by nie wyobrazić sobie w niej czerwonego zabarwienia. W gardle czuję dławiącą panikę. Przypominam sobie lekcje oddychania, których udzielił mi szkolny psycholog. „Wciągaj powoli powietrze nosem, licząc do pięciu. Wyobraź sobie, że twoje płuca to butelka, którą napełniasz powietrzem. Wstrzymaj oddech, licząc do trzech. Wypuść powietrze ustami, licząc do pięciu”.

Trochę pomaga.

Każdy jest już w swoim kajaku. Tim woła nas do siebie. Będzie nas prowadził dookoła jeziora. Mamy płynąć spokojnym tempem. Będzie fajnie. Doskonały sposób na spędzenie słonecznego przedpołudnia. Chyba sam nie może uwierzyć, że mu za to płacą.

Kerry i Alice chcą płynąć tuż za Timem, Fay zbliża się do Joego. Ja zostaję z tyłu i zrównuję się z Brandonem.

– Dobrze się bawisz? – pyta.

– Genialnie. A ty?

Brandon uderza wiosłem o wodę pod niewłaściwym kątem i się ochlapuje.

– Trzeba było wybrać łucznictwo. Właśnie napiłem się wody z jeziora. Myślisz, że mi zaszkodzi? – Na chwilę przestaje wiosłować i przygląda się tafli wody. – Założę się, że pływają tu trujące glony. Myślisz, że można się zarazić od szczura wodnego jakąś śmiertelną chorobą? – mówiąc to, wykrzywia się w grymasie.

– Możliwe – odpowiadam. – Ale z ciebie mieszczuch.

– Wrzuć na luz. Ty też mieszkasz w Londynie.

– *Pod Londynem* – podkreślam. – Poza tym nie mieszkam tam od zawsze.

– Zanurzam wiosło w wodzie. – Wiosłuj, dołączmy do reszty.

Zbliżając się do wyspy, zauważam, że choć w większości jest gęsto zalesiona, otacza ją kamienista plaża. Przypomina bezludną wyspę, tyle że bez piasku i palm. Zanim zorientowałam się, co się dzieje, mój kajak odbił od grupy i wiem, że powinnam skierować się bardziej w prawo. Straciłam jednak rytm. Zanurzam wiosło zbyt głęboko w wodę i wraz z nim przenoszę za dużo ciężaru ciała. Mam skrzyżowane nogi i nie udaje mi się w porę wyprostować. „NIE”. Nie mogę wpaść do wody. Nie mogę. „PROSZĘ, NIE!”.

Wpadam. Woda jest lodowata. Jestem w szoku. W czasie pół sekundy, kiedy mam głowę pod powierzchnią, wracają do mnie wszystkie koszmary związane z tonięciem, jakie przeżyłam. Dopada mnie mrozący krew w żyłach strach. Desperacko próbuję oddychać, w klatce piersiowej czuję ból i ogarnia mnie panika. Machając rękami, usiłując utrzymać głowę nad powierzchnią. Wyobrażam sobie sączącą się krew, rozplywającą się w postaci czerwonych chmur.

„ODDYCHAJ”.

„Mam na sobie kamizelkę. Jeśli będę potrzebowała, mogę położyć się na plecach. Nie jestem bardzo daleko od brzegu. Umiem pływać”.

Zdaję sobie sprawę ze zbliżających się kajaków i głosów, które zaczynają do mnie docierać.

Głos Joego:

– Przejmę jej kajak.

Fay.

– Skye! Skye?

Tima.

– Skye, zaraz będziesz mogła postawić stopy na dnie.

Moje stopy odnajdują zwirowe dno jeziora. Tim jest obok mnie w swoim kajaku.

– Miło się pływa? Za chwilę pomożemy ci wsiąść do kajaka – mówi instruktor, po czym woła do Joego: – Hej, przyprowadź jej kajak!

W zwolnionym tempie brodzę w wodzie sięgającej mi do ud.

– Nie wsiądę – oznajmiam. – Mam dosyć.

– Nie zrażaj się – prosi Tim. – Jest słoneczny dzień. Szybko wyschniesz.

– Nie wsiądę – powtarzam. – Nie przekonasz mnie.

– No dalej, bądź dzielna. – Tim nie daje za wygraną.

„Bądź dzielna”.

Nie zatrzymuję się.

Tim woła resztę.

– Niech ci będzie – mówiąc to, opuszcza swój kajak i wskakuje do wody, nie zważając na jej temperaturę. – Pomogę ci wyjść na brzeg.

Następnie chwytam za tył mojej kamizelki i ciągnę mnie w stronę pomostu, jakbym była gigantyczną martwą rybą. Wczołguję się na pomost, po czym z trudem staję na nogi.

– Zajmę się twoim kajakiem, a ty idź do hangaru – mówi Tim. – Na wewnętrznej stronie drzwi wisi ręcznik. Poradzisz sobie?

Kiwam głową, po czym dygocząc, wdrapuję się po zboczu do hangaru. Szkoda, że nie stanął ze mną na pomoście i mnie nie przytulił. Wiem, że mu nie wolno ze względu na przepisy, ale po raz pierwszy od roku potrzebuję, by ktoś mnie przytulił i powiedział, że rozumie, jak trudne było dla mnie przebywanie w wodzie.

Ręcznik wiszący na drzwiach cuchnie mokrym psem, ale przynajmniej jest suchy. Ściągam kamizelkę ratunkową i otulam się ręcznikiem, zostając w mokrej koszulce i spodenkach. Biorę z półki japonki. Wychodząc z hangaru, zauważam, że Brandon wciąga swój kajak w górę zbocza.

– Co się stało? – pytam.

– Chciałem się upewnić, że nic ci nie jest.

– Nic mi nie jest, naprawdę.

Wzrusza lekko ramionami.

– Wystarczy mi tego zwiedzania jeziora. To nie moja bajka. – Odpina przednie zipięcie kamizelki, ale zostawia ją na sobie. – Jesteś pewna, że wszystko okej?

Przytakuję skinieniem głowy. To zapewnienie wszystkich, że dobrze się czuję, jest wyczerpujące. Brandon wciąga kajak na trawę i ogląda błoto między palcami u stóp.

– Lepiej skoczę pod prysznic – stwierdza, ale tylko siada na ławce i wzdycha.

Ja siadam na drugiej i podciągam kolana pod brodę. Przypomina mi się, jak siadałam z Anniką na brzegu basenu. Wtedy też otulałam się ręcznikiem, tyle że znacznie ładniej pachnącym. Byłam wycieńczona i nie miałam siły się poruszyć.

Po tym, jak ludzie zaczęli się dowiadywać o tym, co się stało, Annika dała mi prezent. Był to breloczek z pretensjonalną maskotką w sprośnych czerwonych kąpielówkach. Takie rzeczy mnie rozśmieszają, ale kiedy się przeprowadziliśmy, wyrzuciłam brelok do pudła z rzeczami dla potrzebujących. Za każdym razem, gdy na niego patrzyłam, przypominał mi się płacz Anniki i moja niezdolność do wyduszenia z siebie choćby słowa.

Brakuje mi jej.

Reszta grupy jest teraz po drugiej stronie wyspy. Poza zasięgiem wzroku.

– Nieźle się wystraszyłem, gdy wpadłaś do wody – mówi Brandon.

– Dlaczego? Bałeś się, że się jej napiję?

– Widziałem, że wpadłaś w panikę. Nie umiesz pływać? Skłamałaś w formularzu, który musieliśmy wypełnić?

Rzucam mu spojrzenie mówiące: „ŻE CO?”.

– Pływam w klubie – odpowiadam, po czym poprawiam się. – To znaczy *pływałam*. Brałam udział w zawodach regionalnych. Mam puchary i takie tam.

– Więc dlaczego zachowywałaś się tak dziwnie?

Dlaczego wszyscy muszą być tacy wścibscy?

– Złe wspomnienia – ucinam. Wstaję i upewniam się, że japonki dobrze leżą mi na stopach, więc się nie przewrócę. – Do zobaczenia później. Idę pod prysznic.

8

Jestem pierwszą osobą na lunchu w żółtej jadalni. Danielle pojawia się jako druga. Mówi, że Pippa wyciągnęła ją z pokoju, po tym jak Fay i ja wyszliśmy rano nad jezioro. Wygląda na to, że leżenie w łóżku nie było na liście dzisiejszych aktywności, ale za to Danielle mogła się poopalać na patio obok pokoju gier.

– Jak było na kajakach? – pyta, zdejmując folię z koszyka z chlebkiem czosnkowym i urywając kawałek.

Ja też sobie nakładam.

– Masz mokre włosy. Wpadłeś do wody?

– Kapałam się. – Technicznie rzecz biorąc, to prawda.

Pojawia się pani od cateringu i zaczyna ściągać folie z pozostałych naczyń, tak szybko, jakby ktoś jej mierzył czas. Przychodzi ekipa z łucznictwa w towarzystwie Pippy. Biorę talerz i staję w kolejce. Grupa z kajaków przychodzi dopiero, gdy kończę pierwsze danie. Schodzą się małymi grupkami, Joe i Fay przed Kerry i Alice.

– Popatrz tylko – mówi Danielle. – Ktoś naprawdę słucha Fay.

Dziewczyna stoi blisko Joego. Zwróciła twarz w górę i opowiada mu jakąś długą, emocjonalną historię. Joe potakuje z uśmiechem.

– Ona nie jest w jego typie – stwierdzam.

– Skąd wiesz, kto jest w czyim typie?

Wzruszam ramionami i wkładam do ust trochę sałatki.

– Ci dwoje do siebie... nie pasują. Nie umiem tego wyjaśnić.

– To stereotypowe myślenie. Twierdzisz, że ludzie muszą do siebie pasować? Masz na myśli kolor włosów, karnację lub poziom atrakcyjności?

– Pewnie, że nie – odpowiadam, obserwując, jak Fay i Joe odchodzą od bufetu i zacierają w stronę dwóch wolnych krzeseł obok mnie.

– Oni się świetnie dobrali – zauważa Danielle. – Oboje są równie denerwujący.

Przygotowuję się mentalnie do rozmowy, która mnie czeka, gdy tylko Fay i Joe do nas podejną.

– Skye! – woła Fay, jeszcze zanim zbliżyła się na odpowiednią do rozmowy odległość. – Nic ci nie jest? Nie napiłaś się wody z jeziora?

Danielle z satysfakcją uderza pięściami w stół.

– O rany. A jednak. *Wpadłaś!*

Fay zajmuje miejsce obok mnie, a Joe po jej drugiej stronie.

– Jak się czujesz? – pyta, nachylając się bliżej, by usłyszeć moją odpowiedź.

– Dobrze. Naprawdę dobrze.

Joe opowiada mi o wspaniałej przejażdżce wokół jeziora, którą przegapiłam.

– Nie tylko ty, ale *i* on – dodaje, wskazując drzwi, w których właśnie stanął Brandon. Przebrał się w czyste spodnie i zieloną polówkę. Cieszę się, że przy naszym stoliku nie ma już wolnych krzeseł. Im szybciej skończy się ta rozmowa i im mniej osób będzie jej świadkami, tym lepiej.

– Powinnaś była wrócić do kajaka – mówi Joe. – Wiesz, to tak jak z powrotem na konia. Nie ma odwagi bez strachu.

Przewracam oczami.

– Oszczędź mi tych złotych myśli.

Danielle parska śmiechem.

– Teraz żałuję, że nie wybrałam się z wami. Mogłabym nagrać twoją kąpiel.

Joe podnosi do góry rękę.

– To jest znęcanie się.

Ma rację.

– Daj spokój – mówi Danielle.

– Gdybyś wiedziała, co się stało mojej dziewczynie, cofnęłabyś swoje słowa – ostrzega ją Joe.

– A co się stało? – wtrąca się Fay, kładąc widelec z boku talerza.

– Cyberprzemoc – mówiąc to, Joe nalewa sobie wody do szklanki. – To doprowadziło ją do samobójstwa. – Te słowa dziwnie brzmią w jego ustach. Jakby wygłaszał ważną kwestię na scenie.

– To okropne – szepcze Fay.

– Aha. To był koszmar – przyznaje Joe.

Fay przygryza dolną wargę.

– Jakiego rodzaju cyberprzemoc? – dopytuje Danielle.

– Było takie jedno zdjęcie... Krążyło w sieci.

– Seks na odległość?

– Kyra zrobiła sobie selfie nago i... – Joe opiera się na krześle i przeczesuje rękami blond włosy po obu stronach głowy. Szkoda mi go. – Była policja – ciągnie. – I śledztwo. Ale żadnych konsekwencji.

– Więc nikt nie został ukarany?

Joe przecząco kręci głową.

– Kyra chodziła do innej szkoły niż ja. Próbowałem się dowiedzieć, czy ktoś został za to wyrzucony, ale nie chcieli ze mną rozmawiać. – W jego głosie słychać gorycz.

Zapada cisza. Każde z nas jest do tego przyzwyczajone. To ten moment, gdy nasi rozmówcy podskakują i mówią: „Przykro mi”. Zwykle nie mają pojęcia, co powiedzieć później.

Fay odzywa się jako pierwsza.

– Przykro mi, Joe.

Danielle też dorzuca swój komentarz.

– Wkurza mnie, że ludzie nie odróżniają żartów od nękania.

Mam ochotę wstać i wyjść. Nie chcę być świadkiem tego, jak smutna historia Joego zacznie krążyć między ludźmi. Ale musimy poczekać do

pogawędki z Pippą po lunchu, więc zbierając palcami jeden po drugim okruszki ciasta marchewkowego, wysłuchuję kolejnych szczegółów i odpowiedzi na pytania Fay i Danielle. Kyrę znalazła mama w ogrodowej altanie. Dziewczyna wzięła śmiertelną dawkę środków przeciwbólowych dziadka. Tego Joe dowiedział się od znajomego.

Opowiada, jaka była cudowna. Mówi, że później, gdy będzie miał telefon, pokaże nam jej zdjęcia. Była surferką. Tak się poznali. Bransoletkę na kostkę dostał od niej kilka tygodni przed śmiercią. Od tamtej pory jej nie zdejmuje.

A więc nie myliłam się co do tej ozdoby.

Popołudniowe zajęcia to albo frisbee, albo podchody, następnie czeka nas warsztat pod tytułem: „Jak radzić sobie z negatywnymi uczuciami”, a po nim turniej w piłkarzyki. Żadne z nich nie są obowiązkowe, ale Pippa nalega, by wszyscy się dobrze bawili i wykorzystali ten czas do maksimum. Ma jeszcze jedno ogłoszenie.

– Dzisiaj Brandon obchodzi szesnaste urodziny.

Następnie czeka, aż ucichną brawa, a ja szukam go wzrokiem. Siedzi przy stoliku obok. Zawstydzony spuścił głowę. Nie do wiary, że rano nic na ten temat nie wspomniał. Na razie jego urodziny przebiegają beznadziejnie. Odrobina kajakarstwa, którego nie lubi, a potem jeszcze moje zlekceważenie go.

– Brandon nie chce robić wokół siebie zamieszania – tłumaczy Pippa. – Ale nie mogliśmy przegapić takiej okazji, więc o wpół do piątej pojawi się tutaj tort.

Ktoś klaszcze, Danielle wiwatuje, a Brandon udaje, że się kłania w podziękowaniu, ale wygląda na zażenowanego.

– Które zajęcia wybierasz? – Fay pyta Joego.

– Frisbee. A ty?

– Ja też.

Jakie to przewidywalne. Ale przynajmniej ułatwili mi wybór – podchody.

* * *

Tylko trzy osoby z żółtej grupy wybrały podchody: ja, Danielle i Brandon.

– Jesteś pewien, że mnie nie prześladujesz? – pytam go, ale przybieram nieco miłszy ton, wiedząc, że ma dziś urodziny.

Ponieważ te zajęcia są międzygrupowe, czekamy na niebieskich i czerwonych przy kamiennych schodkach na zewnątrz głównej jadalni. Brandon odpowiada:

– Jesteś pewna, że to nie *ty mnie* prześladujesz? Mógłbym się założyć, że podniosłem rękę jako pierwszy – po czym dodaje: – choć mnie to akurat nie przeszkadza.

Wzruszam ramionami.

– Tak w ogóle wszystkiego najlepszego.

– Dzięki.

Danielle odrywa wzrok od pęknięcia w betonie pod najniższym schodkiem i szeregu wchodzących tam i wychodzących mrówek.

– Już mi się odechciało tych podchodów. Muszę zapalić.

Podchodzą do nas dwie dziewczyny.

– Tutaj mamy czekać na rozpoczęcie biegu? – pyta jedna.

– Tak.

– Jesteście muzykami? – pyta ta sama dziewczyna. Ma niesamowicie długie blond włosy. Są idealnie proste.

– Nie – odpowiada Danielle.

– Jesteście od *żółtych*? – pyta druga dziewczyna. W jej głosie słyhać lekkie podekscytowanie. – Z charytatywnych?

Przytakuję skinieniem głowy.

– Mam nadzieję, że nie obrazicie się za to pytanie – mówi dziewczyna przypominająca Roszpunkę – ale czy wy wszyscy macie... jak by to powiedzieć... jakieś problemy ze zdrowiem psychicznym?

Wlepiamy w nią wzrok.

– Nie chcę, aby to zabrzmiało głupio, ale słyszałyśmy, że macie sesje terapeutyczne.

– Wszyscy jesteście w żałobie – wyjaśnia Danielle.

Rozpunka robi wielkie oczy.

– Śmierć w rodzinie – dodaje Danielle.

– Słucham? – odzywa się druga dziewczyna i zmieszana patrzy na koleżankę.

– Moja babcia zmarła w dniu swoich urodzin – mówi Rozpunka. – Tata musiał oddać jej prezent z powrotem do sklepu.

– Dzięki za to wyznanie – odpowiada ironicznie Danielle. – Widziałyście, ile tu jest mrówek? Muszą gdzieś blisko mieć gniazdo.

– Fuj – prycha Rozpunka. – Paskudztwo.

Dziewczyny oddalają się. Zostajemy w trójkę i w ciszy obserwujemy mrówki.

Niebawem jest nas już piętnaścioro plus instruktor w czerwonej koszulce. Mamy się podzielić na trzyosobowe grupy, więc my już jesteśmy gotowi.

– Po co przyszliśmy tu tak wcześnie? – jęczy Danielle, podczas gdy instruktor uspokaja ostatnią osobę z grupy czerwonych, która nie ma ochoty dołączyć do dwójki niebieskich.

W końcu dostajemy mapę, kompas, długopis i złożony arkusz papieru z wydrukowanymi wskazówkami oraz quizem. Instruktor mówi, że nie możemy opuszczać terenu ośrodka, w którego skład wchodzi część ziem uprawnych dzierzawionych od Morley Hill. Nie wolno też deptać zbiorów ani przeszkadzać rolnikom oraz ich zwierzętom.

Grupy wyruszają w pięciominutowych odstępach. My jesteśmy ostatni i do czasu naszego wyjścia Danielle traci ochotę na zabawę w podchody. Przechodząc na tyle blisko naszego bloku mieszkalnego, że wyraźnie go widzimy, odłącza się od nas i oznajmia, że zobaczymy się podczas krojenia tortu. Wręcza Brandonowi długopis i pomiętą kartkę z quizem.

Sama też chętnie bym się urwała i poszła się gdzieś poopalać, ale Brandon ma urodziny i nie powinnam go zostawiać samego. Idziemy dalej w ciszy,

mijając minitor gokartów, i kierujemy się w stronę miejsca na ognisko. Wokół nie ma ani śladu pozostałych grup uczestniczących w zabawie.

– Wolisz kompas i mapę? – pytam. – Zabrałam je tylko dlatego, że nieźle sobie radzę ze współrzędnymi i odnajdywaniem się w terenie.

– Jeśli chcesz, mogę je wziąć.

Zatrzymuję się obok niego i sprawdzam mapę.

– Tędy. – Wskazuję ścieżkę prowadzącą w lewo i idziemy dalej w ciszy. – Posłuchaj, jeśli chcesz szybciej skończyć, nie będę miała nic przeciwko, jeśli pójdziemy na skróty. Quizem też nie musimy się przejmować – mówiąc to, zatrzymuję się. – W ogóle *nic* nie musimy. Masz urodziny, więc wybór należy do ciebie.

Brandon sprawia wrażenie przytłoczonego ogromem opcji, jakie mu przedstawiłam.

– Sam nie wiem – stwierdza. – Może oddalmy się stąd trochę.

– Dobrze. – Przypominam sobie drewnianą bramę nieopodal paleniska. Po drugiej stronie widziałam pole pszenicy. – Znam drogę ucieczki.

Kiedy podchodzimy do bramy, demonstruję skok ponad ogrodzeniem z rozbiegu. Brandon próbuje pójść w moje ślady, ale popełnia błąd i ląduje na plecach po drugiej stronie ogrodzenia.

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Tak dawno się nie śmiałam. Nie na głos.

Brandon podnosi się i otrzepuje z brudnej ziemi.

– Dzięki, że zapytałaś, czy nic mi nie jest.

– Nie możesz być taki gburowaty w dniu urodzin.

– Mogę.

– W takim razie będę zmuszona udawać gołębia. Kiedyś rozśmieszałam w ten sposób całą rodzinę.

– Zatem czekam.

Gołąb nie wychodzi mi aż tak śmiesznie. Straciłam wprawę. Wyprężam kark, chodzę w kółko z wypiętą pierśią i wydaję z siebie francuskie „r”,

imitując gruchanie.

Brandon się nie śmieje, ale tylko uśmiecha.

– Ciekawa umiejętność.

– Uznajmy to za twój prezent urodzinowy.

– Szczęściarz ze mnie – rzuca z sarkazmem, ale nie jest to bardzo złośliwe.

Wzdłuż pola biegnie ścieżka. Pokonujemy kolejne ogrodzenie i wychodzimy na wąską drogę przypominającą tunel, ponieważ gałęzie rosnących po obu stronach drzew prawie się stykają. Kawałek dalej stoi znak wskazujący nową ścieżkę, ale Brandon gestem głowy wskazuje pole, na którym pasą się krowy.

– Chodźmy na przełaj – proponuje.

– Nie boisz się krów?

Krzywi się.

– Nie, a powinienem?

– Raczej nie, ale lepiej je obejść.

Tym razem on pierwszy przechodzi przez ogrodzenie, a ja za nim. Bez skoków, wystarczy popisywania się. Dochodzimy do samego końca pola, gdzie stoi kamienny mur. Za nim widzimy duży nowoczesny dom, z wielkim placem zabaw w ogrodzie. Zbliżając się, słyszemy odgłosy ludzi, prawdopodobnie rodziny, która je na zewnątrz obiad. Wszyscy się śmieją, rozmawiają, słysząc brzęk talerzy i sztućców. Z boku domu widzę dach altany.

Brandon osuwa się na ziemię, opierając się plecami o mur. Wydaje mi się, że za chwilę wyjmie z kieszeni telefon i zrobi krowom zdjęcie, ale tylko je obserwuje.

– Chcesz posłuchać, jak naśladuję odgłos krowy? – pyta.

– Pewnie.

– Przygotuj się, to będzie niezłe. – Otwiera usta i wydaje z siebie głośne „muuu”. Głosy rodziny cichną, a Brandon muczy ponownie, jeszcze donośniej.

– Co to było? – Słysząc zdziwiony głos.

Kolejne „muuu” jest już znacznie mniej przekonujące, ponieważ Brandon się śmieje. Ja też. Z drzew rosnących przy alejce odlatują ptaki. Spostrzegamy, że kilka osób w ogrodzie odeszło od stołu i zbliża się do ogrodzenia.

Brandon dotyka mojego ramienia i pokazuje, że powinniśmy się zmywać. Uciekamy.

9

Biegniemy w stronę gęstwiny drzew na skraju pola. To najoczywistsze miejsce, w którym możemy się ukryć. Kilka krów rusza za nami, na co Brandon reaguje krzykiem. Gdy docieramy do bramy przy drzewach, opieramy się o nią i przez parę sekund jesteśmy w stanie tylko pompować w płuca tyle tlenu, ile się da. Po obejrzeniu mapy stwierdzam, że możemy przejść na kolejne pole, a następnie przez wioskę na teren ośrodka. Moje tętno wraca do normy, ale nadal odczuwam dużą dawkę adrenaliny. Czuję, że żyję.

Brandon też jest jeszcze zbyt nabuzowany, by mówić, więc kiwa potakująco głową.

Przechodzimy między drzewami na kolejne pole. Stajemy w słońcu. Próbuję wypatrzeć prześwit w gęstym żywopłocie, przez który moglibyśmy się przecisnąć.

– Dobrze, że chociaż nie ma krów – mówi Brandon. – Zatrzymajmy się na chwilę.

– Tutaj?

– Tak, złapał mnie skurcz – mówi i siada na zacienionym skrawku trawy, a ja zajmuję miejsce niedaleko od niego. Wyglądamy, jakbyśmy zaraz mieli przygotować piknik. Naprawdę chciałabym mieć teraz całą torbę zimnych napojów.

– Zmęczony i spragniony w szczerym polu. Chyba nie tak sobie wyobrażałeś urodziny?

– Nie przeszkadza mi to.

– Naprawdę? Nie wolałbyś być teraz w towarzystwie rodziny lub przyjaciół?

Na temat Brandona wiem tylko tyle, że mieszka w Londynie, czyli albo całkiem blisko mojego domu, albo godzinę drogi samochodem lub komunikacją miejską. Wiem też, że jest tutaj na prośbę mamy. Aha, i jeszcze, że lubi markowe koszule.

– Szczerze mówiąc, wtedy jeszcze bardziej brakowałoby mi brata.

– To dlatego tu jesteś? – Co oznacza: „Twój brat nie żyje?”.

– Tak. Był kilka lat starszy ode mnie. A ty?

– Siostra. Cztery lata starsza, ale...

– Byłyście blisko?

Kiwam twierdząco głową.

– Rodzice nadal są razem?

Spodziewałam się raczej pytania o szczegóły śmierci.

– Tak. – Chociaż czasami nie umiem normalnie rozmawiać i warczą na siebie, a ich twarze są blade z powodu zmęczenia, smutku i zgryzoty.

– Moi się rozwiedli. Powiedzieli mi, że w pracy ojca zaproponowali mu przeniesienie do USA. Dla mnie to oczywiste, że sam o to poprosił. Nie mógł dłużej wytrzymać w domu.

Zrywam rosnącą przede mną trawę i usypuję z niej niewielki kopiec.

– Rodzice dużo kłamali. Okłamywali mojego brata. Powiedzieli mu, że lekarze cały czas wierzą, że jest szansa na jego wyleczenie. Mnie mówili, abym się nie martwił, bo wszystko będzie dobrze, choć wiedzieli, że to nieprawda. Istnieje różnica między nadzieją a kłamstwem. W ich przypadku to było kłamstwo.

– Pewnie uważali, że postępują słusznie – stwierdzam.

– Niedługo potem mama znalazła sobie faceta. – Brandon mówi powoli i wyraźnie, jakby odczytywał tekst z promptera. – Tym razem białego. Jak ona. Tata, mój brat i ja zostaliśmy wymazani z jej życia. – Robi pauzę, a ja czekam. Wiem, że nie powinnam wchodzić w jego życie wielkimi butami. Zbyt wiele osób tak właśnie mnie traktowało w ciągu ostatniego roku. – I urodziło im się dziecko. Moja siostra. Przyrodnia siostra. Ona też jest biała. – Kolejna pauza. – Więc teraz jestem jedynym ciemnoskórym dzieciakiem,

jedyną czarną owcą w rodzinie. Szybko się to wszystko pozmieniało.

Ja też czuję się inna niż reszta rodziny, ale nie potrafię tego wyrazić słowami.

– Wcześniej to mama nie pasowała do reszty – ciągnie Brandon. – Teraz ja.

– Dlaczego zmusiła cię do przyjazdu tutaj?

Przewraca oczami.

– Mówi, że jest we mnie gniew. A poza tym podobno przynoszę wstyd bratu tym, że w szkole wystarczająco się nie przykładam. Jak ona to wymyśliła? – Spogląda na mnie. – Przepraszam, przesadziłem. Opowiedz o sobie i swojej siostrze.

Z Brandonem rozmawia mi się łatwiej, niż przypuszczałam, ale nie mam zamiaru popełnić tego samego błędu co z Joem. Wszystko jest prostsze, gdy ludzie nie wiedzą zbyt dużo o mnie i Luisie, niezależnie od tego, kim są.

– Nie chcesz, abym cię dołowała w dniu urodzin.

– Nie szkodzi, i tak chcę je świętować dopiero w domu – mówiąc to, dmucha w trawę tak, że źdźbła znikają niczym płomienie świeczek na torcie.

– Akurat ta część urodzin nie jest taka zła. Mam na myśli siedzenie z tobą tu na polu. – Uśmiecha się nieśmiało. Nie wiem, czy to miał być żart.

– No tak. Londyńczycy nieczęsto mają szansę posiedzieć na polu. Te emocje...

Rozglądamy się wokół siebie. Patrzymy na rośliny, błękitne niebo i płynące po nim chmury. Przepaść między nami jakby zmałała. Moglibyśmy się dotknąć. Podnoszę się i proponuję:

– Zróbmy orła w pszenicy. Takiego jak w śniegu.

Widać, że Brandon nie wie, co mam na myśli.

– Nigdy nie robiłeś orła? Można go zrobić w śniegu. – Muszę wyrzucić z pamięci obraz zabawy z Tobym w ogrodzie Cisowego Domku i wspomnienie poczucia bezpieczeństwa, kiedy siedziałam w łóżku z Luisą.

Kręci przecząco głową.

– Kładzie się na ziemi i macha rękami w górę i w dół, aby powstały skrzydła, a nogami na boki, żeby powstał ogon. – Odkładam mapę i kompas na ziemię i wchodzę w pszenicę. – Nie wiem, czy się uda, ale musimy spróbować. Chodź!

Brandon rzuca długopis obok mapy i kompasu, składa kartkę z quizem i wciska ją do kieszeni spodenek, po czym idzie za mną. Przyśpieszam i kieruję się dokładnie w miejsce, w którym chciałym się położyć na plecach. Gospodarz się wścieknie, jeśli nas zobaczy.

– Tutaj – stwierdzam. – Tu jest dobrze.

Nie rzucam się na ziemię, tak jak zrobiłabym na śniegu, ale rozluźniam nogi i wykonuję kontrolowany upadek. Pszenica drapie gołą skórę moich rąk i nóg, kiedy próbuję ją rozplaszczyc. Niektóre źdźbła kłują dość mocno. Próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądam z góry. Pszeniczny anioł. Upadły anioł.

– To szaleństwo! – woła Brandon. Jest już obok mnie, leży w pszenicy i macha rękami. Wygląda jakoś inaczej. Weselej. Śmieje się i obraca głowę tak, byśmy się widzieli pomiędzy sterzącymi badyłami.

– Pewnie mieszkają tu węże i myszy. Wiedziałaś o tym? – pytam.

– Że co? – Brandon zrywa się na równe nogi. – Ej! Nie musiałaś tego mówić.

Wstaję spokojniej niż on i kątem oka zerkam na wykonane kształty, aby sprawdzić, czy choć trochę przypominają orły. Wcale nie przypominają i teraz jest mi głupio, że zniszczyliśmy pszenicę.

– Lepiej już wracajmy – sugeruję. – Musi być jakieś miejsce, przez które szybciej przedostaniemy się na drogę.

Wyjście z pszenicy okazuje się trudniejszym zadaniem niż wejście. Słyszę bzyczenie owadów i szelest, który może dobiegać spod moich stóp i być spowodowany przez poruszające się między źdźbłami zwierzęta. Kiedy udaje mi się wyjść, strząsam oklejające mnie drobinki i wyciągam te wplątane we włosy. Podnoszę mapę, kompas i długopis i sprawdzam fragment żywopłotu, który wygląda na cieńszy niż reszta. Brandon nadal doprowadza się do

porządku.

– Tutaj! – wołam. Odpycham ciernisty żywopłot najmocniej, jak potrafię i bokiem przeciskam się przez wąską szparę. Moja koszulka zaczepia się o kilka kolców. Brandon pomaga mi się uwolnić.

– Dzięki – mówię i brnę dalej. – Uważaj! – ostrzegam, widząc, że nie utrzymam dalej gałęzi, która leci na Brandona.

Chłopak robi unik.

– Prawie wybiłaś mi oko. Jesteś mi winna przysługę.

Wstaję na drodze i wołam za siebie:

– Jaką przysługę?

Odpowiedź pada po chwili ciszy.

– Musisz zasubskrybować mój blog. Potrzebuję więcej odbiorców.

– A o czym piszesz? – pytam, rozglądając się wokoło. Otaczają mnie żywopłoty i wysokie, tyczkowate kwiaty. Z jednej strony są same pola. Po drugiej stronie widać jakieś dachy i kościelną wieżę.

Brandon wychodzi spod kolczastych gałęzi, częściowo ślizgając się na plecach, częściowo utrzymując na nogach, jakby grał w limbo. Jeszcze raz chwytam jedną z gałęzi, aby pomóc mu się wydostać.

– O trailerach. Filmowych, książkowych. Nie thrillerach.

– Aha – Zastanawiam się przez chwilę. – Rozumiem, o trailerach.

– To taka nisza.

– Sprawdzę temat.

– No właśnie musisz – mówiąc to, ostatni raz strzepuje z włosów pszenicę.

Idziemy wzdłuż drogi, a kiedy ta zakręca, naszym oczom ukazuje się duży dom z czerwonej cegły. Za jego ogrodzeniem słyszymy odgłosy krzyków i plusków dzieci bawiących się w basenie.

– Wyobrażasz sobie, jak by to było mieć własny basen? – pyta Brandon.

– Mieliśmy basen. Przed przeprowadzką.

– Pewnie było ci przykro, że musiałaś się z nim pożegnać?

– Wcale nie – mówię nieco zbyt oschle.

Widzę, że nad czymś się zastanawia i potrzebuje kilku sekund, aby sformułować pytanie.

– Twoja siostra utonęła? To dlatego jesteś pływaczką, która boi się wody?
Przytakuję skinieniem głowy. Nie wierzę, że tak szybko mnie rozpracował.

– Byłaś przy tym?

– Nie – odpowiadam.

Nienawidzę się za to kłamstwo.

10

Brandon i ja przechodzimy przez ogrodzenie na teren ośrodka.

– Powiedzmy, że się zgubiliśmy – proponuje Brandon.

– I że zgubiliśmy też quiz.

Chłopak wciska kartkę głębiej w kieszeń spodenek.

Instruktor w czerwonej koszulce siedzi na leżaku przed główną jadalnią i jest zbyt zajęty pisaniem SMS-ów, by zapytać, co nam się przydarzyło i dlaczego nie ma z nami Danielle. Nie interesuje go też nasz quiz. Cieszy się, że może nas odhaczyć na liście, odebrać mapę, kompas i długopis i wrócić do konwersacji w telefonie.

– Dobra robota! – rzuca po krótkim namyśle, kiedy ruszamy w stronę żółtej jadalni. Czas na tort.

Czujemy się teraz nieswojo w swoim towarzystwie. Mimo że tak naprawdę się nie znamy, oboje wyznaliśmy sobie coś ważnego. Schodzimy z głównej ścieżki na boczną, co pozwala nam skrócić drogę. W oddali, również na bocznej ścieżce, widać dwie osoby trzymające się za ręce.

Brandon i ja w tej samej chwili rozpoznajemy, kim są. To Joe i Fay.

Patrzymy na siebie i Brandon unosi brwi. W porównaniu z drobnymi krokami Fay kroki Joego są długie i sprężyste. Gdy zbliżają się do miejsca, w którym ścieżki ponownie się zbiegają, Joe puszcza jej dłoń. Zwalniam krok, ponieważ nie chcę, aby odkryli, że szliśmy za nimi. Brandon robi to samo.

– Myślisz, że do siebie pasują? – pytam.

Przekrzywia lekko głowę. Jest zdziwiony.

– Hmm, może... Sam nie wiem. A ty?

– Nie jestem pewna.

– Czasami trudno wyjaśnić, dlaczego ludzie się sobie podobają. – Brandon brzmi, jakby wiedział, co mówi.

Zaraz po wejściu do jadalni wita nas głośne *Sto lat*. Robię krok w tył i zostawiam Brandona samego. Tort jest domowy, ogromny i bardzo czekoladowy. Pippa zapala świece i prosi solenizanta, by pomyślał życzenie. Ciekawe, czy tylko ja nie cierpię życzeń. Może ktoś oprócz mnie też uważa, że życzenia to myśli, które sprawiają ból.

Pippa kroi tort na kawałki, następnie Brandon rozdaje je ludziom na serwetkach. Pippa oznajmia, że dzisiejszą atrakcją wieczoru będzie karaoke, po czym przedstawia nam mężczyznę z ogoloną na łyso głową. Tak zaczyna się warsztat radzenia sobie z negatywnymi uczuciami, zanim wszystkie kawałki tortu zostaną rozdane, a ludzie zdążą się rozejść. Brandon posyła mi spojrzenie mówiące: „O niczym więcej nie marzę w dniu urodzin”, co wywołuje mój uśmiech.

Mężczyzna mówi, że pracował już z wieloma dziećmiakami w naszej sytuacji, bla, bla, bla, każdy z nas jest inny, bla, bla, bla, wszelkie uczucia towarzyszące stracie bliskiej osoby są normalne, bla, bla, bla. Fazy żalu. Fuj. Pokazuje nam książkę, którą jeden z jego podopiecznych stworzył dla swojego taty. Ulubione wspomnienia. Nic nowego. Napisz list, którego nigdy nie wyślesz. Wszystko to już słyszałam od szkolnej psycholog, która poprosiła mnie o napisanie dziennika uczuć. Dała mi nawet specjalny zeszyt. Zastanawiałam się nad tym, ale potem wyobraziłam sobie, że mama, tata lub ktoś inny mógłby go znaleźć i zobaczyć moje nagie, wstydlive uczucia.

Kiedy już jestem w pokoju, przeglądam wiadomości od mamy z całego dnia. Niesamowite nowiny, takie jak: „Pojechaliśmy z Oskarem po nowe buty” czy „Wróciłam z parku”. Jest też wysłana z jej telefonu wiadomość od Oskara: „W Nando’s”^[2]. A pomiędzy nimi bardziej nerwowe typu: „Uważaj na niedogotowane jedzenie (zwłaszcza kurczaka)” albo „Pamiętaj, żeby zamykać na noc drzwi pokoju”.

Po tym jak napisałam do mamy, że nic złego się nie stało i żyję, moje palce

zawieszają się nad ikonką aplikacji MessageHound, której używałyśmy z Luisą zamiast SMS-ów. Miałyśmy swoją prywatną grupę, do której należałyśmy tylko my dwie. Aplikacja podobała nam się z powodu fajnego logo w postaci słodkiego kreskówkowego psa z listem w pysku. Kiedy przychodziła wiadomość, pies machał ogonem, a jeśli użytkownik nie dostawał wiadomości ponad tydzień, zwieszał z przygnębienia łeb. Kolejną istotną cechą było to, że aby się zalogować, trzeba było wpisać czterocyfrowy kod. Ustawiliśmy go, aby mama nie mogła się dowiedzieć, co piszemy o niej, tacie czy Oskarze. Na początku lubiła nadzorować moją aktywność na komórce. Żyła wtedy w beztróskiej iluzji, że znając mój PIN, ma dostęp do wszystkiego. Oczywiście pisałyśmy z Luisą do siebie wiadomości wtedy, gdy nie było czasu na ten sekretny tryb, ale MessageHound to była nasza tajemnica. Pewnego dnia, już niedługo, usunę tę aplikację, ale jeszcze nie teraz.

Otwieram ją i przeglądam zdjęcia. Szczególnie lubiłyśmy umieszczać tam te najgłupsze. Ostatnie z udostępnionych przedstawia Luisę w ogromnej poszwie na pościel, z której zrobiła pelerynę. Widać niewyraźny kwiecisty wzór, mimo że poszwa jest wywinięta na lewą stronę. Założyłam jej na głowę okulary przeciwsłoneczne, a ona stanęła z wyciągniętymi na boki ramionami. Duch w brylach. Zdjęcie wrzuciłam od razu na MessageHound. Jakieś półtorej godziny później moja siostra była martwa.

Robię dwa głębokie wdechy, a następnie piszę:

SKYE: Tęsknię za tobą, Luiso.

Gdyby ten koleś od warsztatów to widział, powiedziałby, że zrobiłam to dzięki jego słowom. Może nawet miałby rację, ponieważ zabierałam się do tego od miesięcy. Chciałam zostawić Luisie ostatnią wiadomość. MessageHound to najlepsze miejsce dające mi poczucie, że siostra jest gdzieś blisko. Aplikacja jest chroniona hasłem, więc działa lepiej niż pamiętnik. Poza tym rozweseliłam psa, który znowu stoi i spogląda z ekranu z nadzieją.

– Skye, którą bluzkę powinnam twoim zdaniem włożyć na karaoke? – pyta Fay. Rozłożyła na łóżku całą kolekcję topów.

Zamykam aplikację i odwracam się do niej.

– Czy ty i Joe... coś ten, tego? – pytam.

Fay wybiera białą koszulę haftowaną jakimiś koślawymi kwiatami. Pewnie uważa ją za urocze wdzianko, ale bardzo się myli.

– Dlaczego tak myślisz?

– Widziałam, jak trzymacie się za ręce.

Danielle przestaje robić, cokolwiek robiła na telefonie.

– Ooo, Fay! Powiedz coś więcej.

Zrobiłam głupstwo, mówiąc to w obecności Danielle.

Fay czerwieni się i zasłania twarz koszulą.

– To nic takiego – mówi.

– Potrzebujemy tematu do plotek. Wieje tu nudą – tłumaczy Danielle.

Fay prostuje się i kładzie zmiętą bluzkę na kolanach.

– Wydaje mi się, że mu się podobam, ale nie jestem pewna. Ale nic nie mówcie, proszę. Obiecujecie?

– Spokojnie – odpowiada Danielle. – Nie pochlebiaj sobie. To nie jest aż takie ciekawe.

– Ta haftowana odpada – odzywam się wreszcie. – Pokaż inne opcje.

* * *

Na czas karaoke stoły w żółtej jadalni zostały przesunięte na jedną stronę, a krzesła poustawiano w kilku rzędach. Na ścianie wisi wielki ekran, który w tej chwili świeci na niebiesko. Główne światła są pogaszone. Pomieszczenie pachnie kurczakiem z ryżem, czyli daniem, które jedliśmy wcześniej, oraz środkiem do czyszczenia podłóg.

Podczas gdy jadalnia zapełnia się ludźmi, Fay rozmawia przy wejściu z Pippą. Danielle siada obok mnie, a kiedy wchodzi Joe, zajmuje miejsce po jej drugiej stronie.

– Nie masz zamiaru usiąść bliżej Fay? – pyta Danielle swoim mało subtelnym tonem.

Joe wygląda na zaskoczonego.

– Próbujesz się mnie pozbyć? – Pachnie wodą po goleniu i czystymi ubraniami. Po chwili macha do dwóch chłopaków, z którymi dzieli pokój, Henry’ego i Rohana, aby podeszli i usiedli z nami. Kiedy pojawia się Brandon, obok mnie nie ma już wolnych miejsc. Zanim udaje mi się nawiązać z nim kontakt wzrokowy i pokazać, aby przysunął sobie krzesło, on idzie na przód sali. Fay kończy rozmowę z Pippą i jest wyraźnie zła, że nie dość, że nie zatrzymałam dla niej miejsca, to jeszcze sama siedzę obok Joego. Robię smutną minę, żeby pokazać jej, jak mi przykro.

Karaoke rozpoczynają Pippa oraz instruktor z parku linowego, którzy wykonują jakąś koszmarną piosenkę country. Kojarzę ją z jednej z playlist taty. Danielle nagrywa filmik telefonem do czasu, aż Pippa gestem ręki nakazuje jej, by przestała. Wszyscy głośno klaszczą, a Joe dodaje kilka wiwatujących okrzyków. Kiedy Pippa pyta, kto chciałby wystąpić w następnej kolejności, zapada cisza.

Podnosi się Fay. W końcu zdecydowała się na luźną beżową sukienkę. Niestety, są duże szanse, że całkowicie zleje się z kolorem ścian w pomieszczeniu.

– Doskonale. Dziękuję, Fay. – Pippa prowadzi dziewczynę do mikrofonu i przez kilka minut rozmawiają szeptem, próbując wybrać piosenkę. Wreszcie na ekranie wyświetla się tytuł: *Dream a Little Dream of Me*.

Danielle chrząka:

– No nie, to cała Fay.

Początkowo jej głos brzmi tak, jak się spodziewałam: dziecinnie i cicho, ale po kilku liniijkach staje się silniejszy i zaskakująco mocny. Fay śpiewa czysto i trafia z tonacją w punkt. Jest genialna. Gdy kończy występ w akompaniamencie entuzjastycznych oklasków, znów zamienia się w dawną siebie, opuszcza jeden bark i robi skrzywioną minę, która wyraża jednocześnie zadowolenie i wstyd.

Następni są Joe i Henry, ale fałszują i nie trafiają w słowa, więc wszyscy się śmieją. Chłopaki przesadzają z emocjami i wyją wysokimi głosami.

Pippa powtarza, że chciałaby, aby każdy zebrał się na odwagę i spróbował zaśpiewać. Proponuje, by najpierw wystąpiła grupa dziewczyn, a po niej

grupa chłopców.

Wydaje mi się, że śpiewanie w grupie raczej nie wymaga zbyt dużej odwagi, do momentu aż staję na środku w towarzystwie czterech innych dziewczyn. Zaczynam odczuwać dziwne pieczenie pod pachami. Koncentruję się na czytaniu powtarzających się słów i nie mogę uwierzyć, jak długo może trwać piosenka. Kiedy ukradkiem zerkam na Brandona, jest wpatrzony we mnie. Żałuję, że jedyne, co robię, to mamrotanie nie do taktu.

Chłopcy przekrzykują się do jakiegoś hip-hopu. Danielle postanawia zaśpiewać sama. Rohan nachyla się do mnie, by zapytać, czy wiem coś na temat skoku z wieży na koniec obozu, i opowiada o skoku ze spadochronem, jaki wykonała jego siostra. Potrzebuję kilku sekund, aby rozpoznać piosenkę, którą śpiewa Danielle.

To hit ubiegłego lata, piosenka, którą Luisa puszczała na okrągło w samochodzie mamy, nie przestawała też nucić jej w domu.

Kończę rozmowę i zamykam oczy. Widzę Luisę śpiewającą w samochodzie przy otwartych oknach. Jej włosy tańczą na wietrze, ponieważ zapomniała spiąć je gumką, a nie ma ochoty zamknąć okna.

Uderza we mnie potężna fala tęsknoty.

Czuję na plecach czyjąś rękę.

– Skye? – Otwieram oczy i przez łzy widzę Joego, który podaje mi chusteczkę.

Po chwili jego dłoń wędruje z powrotem na moje plecy, zatacza na nich krąg i biegnie na bark. Robi mi coś w rodzaju masażu ramion. Początkowo czuję się lepiej, lecz po pewnym czasie zaczyna mi być nieswojo. Odsuwam się, ale jego dłoń jest już na biodrze po drugiej stronie i dotyka mnie pod bluzką. Poruszam się gwałtownie i nie patrząc na niego, przenoszę się na puste krzesło Danielle. Udaję, że to dlatego, że stamtąd będę lepiej widzieć scenę. Gdy Danielle wraca na miejsce muszę zrobić to samo.

Joe nic nie mówi, podobnie jak ja.

11

Nie mogę zasnąć. Leżę w łóżku i myślę o nachalnym zachowaniu Joego. Widział, że jest mi źle, więc próbował pomóc. Jestem prawie pewna. Czy jego ręka wędrująca pod moją koszulkę naprawdę była czymś złym? Czyżbym się przestraszyła intymności czy czegoś podobnego?

Chciałabym porozmawiać o tym z Fay i zapytać, jak Joe zachowuje się przy niej. Jak ona się przy nim czuje. Teraz mocno śpi, a na poduszce obok niej leży jej przemoczony pluszowy królik, ale nie wyobrażam sobie tej rozmowy, nawet gdyby nie spała.

W pokoju panuje półmrok, ponieważ światło z korytarza sączy się przez szparę pod drzwiami. Na łóżku obok Danielle robi coś w telefonie.

Sięgam po swoją komórkę leżącą w szufladzie przy łóżku. Mam ochotę napisać do Anniki i sprawdzić, czy jeszcze mnie pamięta, po tym jak w październiku ubiegłego roku zmieniłam szkołę i całkiem zniknęłam z jej życia. Ale nie wiem, jak miałabym do niej zagadać.

Mój telefon wibruje, oznajmiając przychodzącą wiadomość. „Dobranoc, Skye xxx”. Znowu mama.

Zmuszam się, by odpisać tylko „xxx”. Ten symbol buziaków pomoże jej zasnąć.

– Skye? – mówi Danielle, która obróciła się na łóżku w moją stronę. – Masz ochotę wyjść ze mną na szluga?

W ogóle nie chciało mi się spać, poza tym potrzebuję czegoś, co odwróci moją uwagę od ucisku, który czuję w klatce piersiowej.

– Pewnie.

Danielle znajduje zapinaną bluzę z kapturem, którą zakłada na pidżamę, a ja narzucam na siebie cienki sweterek. Nie chcemy obudzić Fay, więc

w ciszy wkładamy japonki. Danielle jest już gotowa do wyjścia, ale ja najpierw biorę leżący na szafce Fay długopis i wyciągam z portfela stary rachunek. Opieram się o blat i gryzmołę: WYSZŁYŚMY NA SPACER. NIE MARTW SIĘ. S. + D.

– Nie obudzi się – uspokaja mnie Danielle przy drzwiach. Kładę wiadomość na szafce nocnej Fay pod jej telefonem. Akurat wtedy wyświetla się bezgłośnie przychodząca wiadomość. Od Joego. „Śnij o aniołkach, Fay x”.

Fuj.

– Co robisz, Skye? Pośpiesz się.

Powietrze na zewnątrz jest chłodne i rześkie. Danielle prowadzi mnie do ławki przy minitorze gokartów. To dość odosobnione miejsce, na skraju zalesionego terenu i niewidoczne z żadnego okna. Danielle wkłada do ust dwa papierosy i odpala oba jednocześnie. Jej oświetlona płomieniem twarz jest pozbawiona makijażu, przez co wygląda młodziej.

Podaje mi papierosa.

– Dzięki. – Tak naprawdę go nie chcę, ale chcę tu być. – Ale tu spokojnie – dodaję, po czym opieram się na ławce.

– Przypomina mi to cmentarz, na którym leży mama – wyznaje Danielle. – Czasami chodzę tam nocą. Przeskakuję przez ogrodzenie i siadam przy grobie – mówiąc to, zaciąga się mocno papierosem. – Pewnie ci się wydaje, że to straszne, ale wcale takie nie jest.

Kiwam głową i zerkam na drzewa i ich poruszające się na wietrze liście. Pitford leży zaledwie trzydzieści, może czterdzieści minut stąd. Nocą odległości wydają się mniejsze.

– Tylko te dzwoneczki wietrzne, które rodziny zostawiają na grobach... – Danielle zamyśla się. – O co z nimi chodzi? Nieźle mieszają mi w głowie. Dobrze, że po jakimś czasie już się ich nie zauważa, prawda?

Trzymam papierosa i patrzę, jak na jego końcu formuje się popiół. Luisa została skremowana. Mama i tata nadal nie mogą zdecydować, gdzie mają być rozsypane jej prochy.

– Czasami rozmawiam z mamą na cmentarzu – ciągnie Danielle. – Głupie, co?

Kręcę przecząco głową.

– Nie głupsze niż pisanie do niej listu, zgodnie z sugestią tego faceta.

Danielle strząsa popiół na ziemię.

– Mama pisała do mnie listy przed śmiercią. – Wciąga dym i wypuszcza chmurę. – Tak naprawdę to kartki. Nie lubiła zbyt wiele pisać. Napisała ich dziesięć. Miałam je otwierać w dniu urodzin lub na Gwiazdkę, ale odkryłam, gdzie schował je tata, i przeczytałam wszystkie za jednym zamachem. Dzięki temu miałam to już z głowy. Każda zawiera prawie taką samą treść: ma nadzieję, że będę szczęśliwa. – Przewraca oczami. – Mało odkrywczе, co?

Obserwujemy, jak ptak ląduje na torze i przygląda się nam.

– Ja i moja siostra miałyśmy MessageHound – mówię, ale Danielle chyba nie wie, co to takiego. – Grupa zamknięta, tylko dla nas dwóch – tłumaczę. Próbuję wypuścić dym nosem. – Nieważne. Dzisiaj napisałam do niej wiadomość. Tę ostatnią.

– Co napisałaś? „Świetnie się bawię na obozie dla żałobników. Szkoda, że cię tu nie ma”?

– Niezupełnie.

Siedzimy przez chwilę w ciszy, aż Danielle się odzywa:

– Biedny Joe, co? – Kiedy stwierdza, że nie załapałam, o co jej chodzi, tłumaczy: – Samobójstwo dziewczyny. To musi być okropne. Myślisz, że się obwinia? Uważa, że mógł ją od tego odwieść?

– Nie mam pojęcia. – Zgniatam reszkę papierosa kłapką i rzucam w pobliskie krzaki. – Uważa się za dobrego mówcę, więc możesz mieć rację.

Danielle prychnęła, po czym dodaje:

– A co z Brandonem? Jesteś przy nim jakaś spięta.

Brandon jest sympatyczny. Towarzyski. Nie chcę, aby Danielle prześwieciła go swoim palącym laserem, więc kiwam głową i rzucam niepewne „aha”.

Okrywam się mocniej swetrem i podciągam kolana na ławkę, otulając je ramionami. Jest zimno.

– Możemy już wracać? – pytam.

– Za chwilę. – Danielle kończy papierosa i zostawia peta na ziemi. Czeka, aż wciśnie go w bardziej dyskretne miejsce, a kiedy tego nie robi, wyręczam ją.

– Za bardzo się przejmujesz – stwierdza. – Wyluzuj. – Widzę, że bawi się jakimś zamykanym pudełeczkiem. – Chcesz jedną? – pyta, podsuwając mi otwarty pojemnik pełen białych okrągłych kredowych tabletek oraz mniejszych, podłużnych, w gładkiej jasnoniebieskiej otoczce.

– Co to?

– Weź niebieską.

Patrzę na nią niepewnie.

Danielle się śmieje.

– Pomagają mi zasnąć – mówiąc to, bierze niebieską pigułkę, wkłada ją do ust i połyka.

Przez całe życie tylko kilka razy brałam lekarstwa, i to dla dzieci, w formie płynnej, o smaku bananowym lub truskawkowym.

– O. – Naprawdę chciałabym położyć głowę na poduszce i przespać noc bez koszmarów. Tęsknię za jedną nocą, po której mogłabym się poczuć wypoczęta. – Dzięki.

Na języku nie czuję żadnego smaku. Później wyczuwam, jak miętka osłona tabletki się rozpuszcza. Danielle opowiada o jutrzejszym dniu, a ja nie potrafię się skupić na jej słowach, ponieważ zmieniłam zdanie. Nie chcę połykać reszty tego środka, cokolwiek to jest. Możliwe nawet, że to nie zwykła tabletką nasenna. Przechodząc obok klombu z kwiatami, wypluwam ją i patrzę, jak ginie między łodygami roślin.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pyta zaskoczona Danielle. – Wiesz, ile one kosztują? Ile się trzeba natrudzić, aby je zdobyć?

– Przepraszam – mówię, ale cieszę się, że pół kapsułki rozpuści się w ziemi, a nie w moim żołądku.

Danielle idzie przodem i zachowuje się, jakbym nie istniała.

12

Leżę w łóżku, a moje myśli biegną w nieokreślonych kierunkach. Podskakują i lądują jak insekty. Dłonie Joego na moim ciele. Dzwoneczki na cmentarzu. Luisa w poszwie i okularach przeciwsłonecznych. Metaliczne różowe koperty. Czerwona woda. Krzycząca na mnie mama: „Dlaczego nic nie zrobiłaś?”.

Obracam poduszkę na drugą stronę, poprawiam ją i z impetem ląduję na niej czołem. Insekty zwalniają. Moje kończyny są ciężkie, tonę w sennej mgle.

Kiedy się budzę, chce mi się pić. Chwiejnym krokiem wchodzę do łazienki, aby łyknąć wody z kranu i wrócić do łóżka. Czuję się tak, jakbym została wyrwana z rzeczywistości, a moje problemy wiszą gdzieś poza jej zasięgiem. Jeszcze jest noc, ale nie potrafię powiedzieć, czy spałam pięć minut, czy może pięć godzin. Włączam telefon. Jest 4.37. W prawym rogu ekranu pies macha ogonem.

Mam wiadomość w aplikacji MessageHound! Czy to sen, który wydaje się rzeczywistością? Jestem zbyt skołowana, by racjonalnie myśleć.

Palec porusza się niezależnie od mózgu i wystukuje czterocyfrowy kod.

LUIZA: Cześć, Skye. Ja też tęsknię.

Wiadomość od mojej zmarłej siostry. Mam ciężką głowę, ale od razu zdaję sobie sprawę, że stało się coś dziwnego i niepokojącego. Dochodzę do wniosku, że wiadomość od Luisy to właśnie coś, na co czekałam przez te kilka długich miesięcy.

Odpisuję, uderzając pośpiesznie w klawisze.

SKYE: To naprawdę ty?

Moje powieki są zbyt ciężkie, a moje myśli odpływają.

Budzi nas radosna melodyjka alarmu Fay. Danielle przeklina pod nosem i obraca się na drugi bok, a Fay idzie do łazienki. Niebawem jedynym dźwiękiem, jaki słyhać w pokoju, jest dobiegający zza ściany szum wody pod prysznicem.

– Ta twoja pigułka... – skrzeczę do pleców Danielle. – Kiepsko się czuję. Jakbym miała za sobą ciężką, nieprzespaną noc.

Nie odpowiada.

Słyszę sygnał telefonu. Naciskam główny przycisk i nagle widzę machającego ogonem psa z MessageHound, a wspomnienie z tej nocy wraca jak bumerang. Czyżby to jakaś usterka telefonu, który nagle odbiera wysłane bardzo dawno temu wiadomości? Wchodzę w aplikację i wystukuję kod. Wyświetlają się słowa pisane znajomą czcionką, której widok przyprawia mnie o palpitacje serca.

LUISA: Tak, to ja. Nie wariuj.

Wszystko spowalnia. Krew w moich żyłach. Oddech. Mózg. Przewijam wiadomości i błyskawicznie wraca mi pamięć. Tej nocy dostałam wiadomość od Luisy i jej odpisałam. To zamknięty, chroniony hasłem chat. Dostęp do niego miały tylko dwie osoby: Luisa i ja. W rogu przy każdej wiadomości widnieje symbol kłódki.

Co to oznacza? Czyżby Luisa, moja megazdolna siostra, odkryła sposób, by się ze mną komunikować? Tylko skąd? Może od części jej duszy, która nadal zachowuje jej osobowość? Dotykam słów na ekranie i przez przypadek powiększam je tak, że litery stają się gigantyczne. Chciałabym, by każda z nich była ciałem stałym, które mogłabym podnieść i potrzymać. Skontaktowała się ze mną. Jakimś cudem sprawiła, że te drogocenne słowa pojawiły się na moim ekranie. Czuję taką euforię, jakbym unosiła się nad ziemią.

Trudno uwierzyć, że to się dzieje. Słyszałam o znakach z zaświatów, pojawiających się znikąd białych piórach, nagłych zmianach temperatury, migoczących światłach. Ale to? Normalna wiadomość w internecie? Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Czy ja w ogóle wierzę w życie po śmierci? Chciałabym wierzyć. Bardzo bym chciała.

Ale nie jestem pewna, w co wierzę.

Euforia zmienia się w niepewność. A może to nic dobrego? Siadam i czuję, jak ogarnia mnie strach. A jeśli to zły znak? Nie wiem, co robić. Gdybym tylko była w stanie myśleć trzeźwiej. Wdycham powietrze nosem, licząc do pięciu, wydecham pośpiesznie i zaczynam pisać.

SKYE: Skąd mogę wiedzieć, że to ty?

Fay wychodzi z łazienki, znajduje suszarkę i włącza ją na pełną moc. Danielle nakryła głowę poduszką. Czekam pochylona nad telefonem, ale nie wyświetla się nic nowego. W końcu ekran gaśnie z powodu nieaktywności.

13

Cisowy Domek, ubiegłe lato

Chłopak Luisy, Nico, ma ją odwiedzić do domu. Chodzą ze sobą już od pewnego czasu, ale jeszcze go nie poznaliśmy. Siostra pisze do mnie wiadomość, że dojeżdżają do Pitford. Siadam na schodach i czekam, aż samochód wjedzie na podjazd. Auto jest srebrne i dość luksusowe jak na studenta. Przed zejściem na dół obserwuję, jak Nico wysiada z samochodu na żwirowy podjazd. Ma lśniące skórzane buty z chwostami.

Widziałam jego zdjęcia w aplikacji MessageHound, więc już wiem, że jest przystojny. Ma bardziej oryginalną fryzurę niż ktokolwiek w tej okolicy. Wciągając purpurową koszulę w modne dżinsy, spogląda na dom i widzi mnie w oknie. Wpatruje się we mnie, nie uśmiechając się. Kulę się i schodzę na dół, a moja chęć przywitania szybko się ulatnia. Słyszę krzyk mamy:

– Przyjechali!

Luisa wygląda jakoś inaczej. Nie jak studentka, trochę poważniej. Kiedy ją obejmuję, czuję, że schudła.

– Nico, to jest Skye – mówi Luisa.

– Miło cię poznać – wita się Nico, patrząc obok mnie na mamę i tatę. Podaje im ręce i wita się z Oskarem, który nagle robi się nieśmiały. Nico obejmuje Luisę, a w jego oczach pojawia się chłodny wyraz.

Później, po lunchu, podczas którego przeważnie mówiła mama, Nico i Luisa jadą gdzieś samochodem, a ja czuję się jeszcze samotniej niż przed jej przyjazdem.

Następnego dnia Luisa oznajmia:

– Nie mów nic mamie i tacie, ale nie wracam na studia.

Pływamy na dwóch materacach w basenie. Pierwszy raz od jej powrotu do domu możemy być całkiem same. Wszyscy gdzieś wyszli, a Nico pojechał w odwiedziny do swoich rodziców.

Zeskakuję z materaca i podpływam do niej. Cieszę się, że nie będzie więcej wyjeżdżać, ale jednocześnie się martwię.

– Oblałaś egzaminy? – pytam.

– Nie, ale studia nie są dla mnie. Chcę pracować. Zarabiać pieniądze.

„Czy chodzi o biznes taty?”

– Dlaczego?

Czekam na wyjaśnienia, a kiedy Luisa milknie i odpływa dalej na swoim materacu, pytam:

– Dlaczego nie powiedziałaś rodzicom o uczelni?

– Mają teraz wystarczająco dużo problemów. Powiem im niedługo, po operacji Oskara.

To dopiero za kilka tygodni.

Nie lubi już, gdy wchodzę do jej sypialni ani kiedy się do niej zbliżam, gdy godzinami rozmawia przez telefon. Kiedy pojawia się Nico, nazywa mnie „cieniem”. Na uwagę, że mi się to nie podoba, Luisa stwierdza, że jestem przewrażliwiona. Jeżdżą na imprezy i całodzienne wycieczki jego srebrnym wozem. Rozmawiają jakby szyfrem, co według mamy oznacza, że są ze sobą blisko.

– Zmieniłaś się, odkąd poszłaś na studia – mówię do siostry, plotąc jej warkocz przed wyjściem na kolejną imprezę. Oddzielam i obracam kosmyki, obserwując, jak błyszczą różne odcienie brązu i złota.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta, odwracając lekko głowę.

– Jesteś jakaś... mniej zainteresowana. – Nie potrafię tego lepiej określić. Dawniej zareagowałyby inaczej na moją historię o kolczyku w pępku siostry Anniki czy narzekanie na temat niemiłych rzeczy, które mówią do mnie klienci w sklepiku na farmie. – Nawiasem mówiąc, Toby naprawdę za tobą tęskni.

Luisa wzdycha.

– Musi zacząć patrzeć w przyszłość.

– Chciałby się tylko przywitać. – Kończę układać jej włosy i pokazuję, jak wyglądają, robiąc zdjęcie telefonem.

– Dzięki. – Luisa wsuwa stopy w nowe, drogie klapki. Paznokcie u stóp pomalowała na zmianę na czerwono i różowo, co kontrastuje z pomarańczowym kolorem jej sukienki.

– Znajdę ci pomarańczowy lakier, jeśli chcesz – proponuję.

– Nie fatyguj się. Tego lata to mój firmowy styl paznokci.

Śmieję się. Zawsze wymyśla coś z tymi lakierami.

– Powinnaś założyć studio pedicure – sugeruję. – Mogłabym ci pomagać. To byłby nasz wspólny biznes.

– Prawdę mówiąc... – Waha się. – Zaczynam się wdrażać w biznes suplementów diety. Tabletki na nieskazitelnie gładką cerę i ogólnie dobre zdrowie.

Dieta? Luisa żywi się głównie chipsami o smaku soli i octu czy kanapkami z nutellą i bananem.

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? – pytam.

– Ponieważ te suplementy nie zostały jeszcze oficjalnie zaaprobowane przez rząd. Na razie to tajemnica.

– Aha... Tak czy inaczej mogę pomóc.

– Nie! – rzuca ostro Luisa. – Nie potrzebuję pomocy.

– Nie bądź taka. Pozwól mi też coś zrobić.

– Chyba mogłabyś mi pomóc z dostawami – stwierdza, ale bez przekonania.

Ale następnego dnia wsiadamy do samochodu mamy. Luisa jedzie szybko wiejskimi drogami z grającą głośno muzyką, odkręconą klimatyzacją i opuszczonymi szybami. Zgodnie z jej instrukcjami mam tylko wrzucać różowe metaliczne koperty do skrzynek na listy lub wręczać je ludziom czekającym w określonych miejscach. Fajna praca.

14

Teraz

– Czy mogę pójść z tobą na śniadanie? – pyta Fay. Na jej twarzy widnieje grymas mówiący: „Nie obrażę się, jeśli się nie zgodzisz”.

– Pewnie – odpowiadam, na co dziewczyna się rozchmurza. Zastanawiam się, czy widzi, jaka jestem roztrzęsiona i że nie potrafię się skupić na niczym oprócz telefonu. Przynajmniej na stołówce nie będę znowu wyglądała jak odludek. Albo, co bybyło gorsze, nie będę musiała rozmawiać z Joem. Choć gdy się nad tym zastanawiam, stwierdzam, że powodem, dla którego Fay chce iść ze mną, jest właśnie on.

Nie miałabym nic przeciwko temu, by usiąść obok Brandona, ale go nie widzę. Kiedy już wybrałam sobie śniadanie, znajduję stolik dla dwóch osób na końcu pomieszczenia i ignoruję zawiedzione spojrzenie Fay. Właśnie popija sok pomarańczowy i wybiera wszystkie winogrona z owocowej sałatki. Na początku zakładam, że to dlatego, że za nimi nie przepada, ale kiedy zaczyna je jeść jedno po drugim palcami, zdaję sobie sprawę, że z całej sałatki owocowej smakują jej tylko winogrona.

Telefon trzymam w kieszeni, ustawiony na maksymalną głośność i wibracje.

– Czy kiedykolwiek wydawało ci się, że tata próbował się z tobą skontaktować? – pytam. – No wiesz, dać ci jakiś znak czy coś podobnego?

Fay przecząco kręci głową.

– Nie, ale chciałabym.

Kroję naleśnik widelcem. Drugą rękę wsuwam do kieszeni, dotykając telefonu.

– Nie przestraszyłoby cię to?

– To zależy – odpowiada Fay i gładząc kąciki ust, zastanawia się głębiej nad moim pytaniem. – Zależy, co chciałby mi powiedzieć. A dlaczego pytasz?

– Śniło mi się, że moja siostra próbuje się ze mną skontaktować.

„I dostałam od niej dwie najprawdziwsze wiadomości”.

– Powinnaś się zapisać na dzisiejszą indywidualną sesję z psychologiem – sugeruje Fay, obserwując trasę, jaką pokonuje kawałek naleśnika z syropem klonowym z talerza do moich ust.

Kręcę przecząco głową.

– Jesteś pewna?

– Aha. – Wzruszam ramionami. – Nie to, abym była temu całkiem przeciwna. Po prostu potrzebuję przerwy.

Mama nie zwlekała z psychologami i we wrześniu, zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego, napisała do szkolnych władz z prośbą o wsparcie. Właściwie co tydzień aż do wyprowadzki siedziałam na obrotowym krześle w małym gabinecie na końcu korytarza i dukłam coś do kobiety z fryzurą na grzybka. Próbowałam zgłębiać uczucia, opracowywać strategie i stawiać nowe cele. Nie mogłam sobie pozwolić na spotkania z psychologiem w nowej szkole, więc teraz raz na dwa tygodnie chodzę do kobiety, która przyjmuje pacjentów we własnym domu. Siedzę w dużym fotelu i obserwuję jej zaniedbany ogród. Albo gapię się na biurko z nieuporządkowanymi folderami, długopisami żelowymi bez zatyczek i porozrzucanymi jak jesienne liście samoprzylepnymi kolorowymi karteczkami.

Fay wzdycha.

– A ja lubię, gdy ktoś mnie słucha.

Zanurzam kawałek naleśnika w syropie.

– Podoba mi się to, że psychologowie są przygotowani na najbardziej szokujące wyznania – mówi i ścisną winogrono między kciukiem a palcem wskazującym. – Mam pewien sekret.

Poczucie winy w jej spojrzeniu przypomina mi odbicie mojego własnego

sumienia. Przeraza mnie to.

– Jestem odpowiedzialna za śmierć taty. Gdy doszło do wypadku, kłócił się ze mną – opowiada. – Zdekoncentrował się. Z naprzeciwka jechała furgonetka, a tata przez nieuwagę zjechał na sąsiedni pas... – Na chwilę zaciska powieki i powraca do niej ciąg wspomnień, których już nigdy nie wymaże z pamięci. – Terapeuci mówią, że to nie moja wina, ale przecież muszą tak mówić. Taką mają pracę. Ja wiem, że to przeze mnie. To ja tam byłam, nie oni.

Fay zna doskonale stwierdzenia typu „takie rzeczy się zdarzają” czy „jakoś musisz sobie z tym poradzić”, więc mówię tylko:

– To trudna sytuacja. To dlatego nic nie jesz?

Fay odsuwa na bok winogrona zmiętą serwetką.

– Kiedy myślę o tacie, nie mogę jeść – odpowiada i rozkłada serwetkę, tak by całkowicie zakryła owoce. – Wcześniej też trochę kaprysiłam z jedzeniem, ale teraz jest gorzej.

Zastanawiam się, czy ocenia mnie tak, jak ja oceniałam ją za to, że nie potrafi powstrzymać się przed okazywaniem na różne sposoby negatywnych uczuć. Przęłykam kolejny kęs sflaczałego naleśnika i mówię:

– Od czasu śmierci mojej siostry jedzenie smakuje mi inaczej. Czasami całkiem traci smak, ale i tak jem.

Fay pociera ułamany róg tacy.

– Czasami wydaje mi się, że jestem beznadziejna.

– Nie jesteś beznadziejna. Zostaniesz lekarzem i będziesz w tym dobra.

Staram się nie prawić komplementów, jeśli nie są szczere. To trudne zadanie, biorąc pod uwagę konwenanse społeczne w dwudziestym pierwszym wieku. Próbuję jednak być wierna swoim zasadom. Fay naprawdę będzie dobrym lekarzem. Jest troskliwa, ale na tyle dziwna, by ludzie sami nie czuli się przy niej źle.

– Naprawdę tak sądzisz? – Uśmiecha się, a jej twarz zmienia kształt. Teraz mniej przypomina czaszkę.

– Zdecydowanie. Dawniej spędzałam wiele czasu wśród lekarzy... –

Wiem, jakie będzie jej następne pytanie, więc je uprzedzam. – Mój brat, Oskar, urodził się z wadą serca.

Kątem oka zauważam tacę i umięśnione ręce. To Joe. Ma na sobie czarną koszulkę z białym napisem NIE BÓJ SIĘ MARZYĆ. Pachnie detergentem. Co on *wyprawia*? Przecież to stolik dla dwóch osób.

– Przykro mi z powodu twojego brata – mówi Joe. – Ile miał lat, kiedy zmarł?

– Że co?

– Twój brat. – Joe przysuwa jedną ręką wolne krzesło z sąsiedniego stolika, a drugą trzyma tacę z jedzeniem. – Ile miał lat?

– Ma dziewięć. I żyje.

Chłopak krzywi się, siadając, i próbuje ustawić jakoś tacę na blacie. Niestety, jest za mało miejsca.

– A to przepraszam. – Na jego twarzy maluje się troska. – Jak się czuje? Co u niego?

– Dobrze. Wręcz doskonale. – Gdyby była tu mama, od razu przedstawiłaby mu listę najdrobniejszych szczegółów dotyczących stanu zdrowia Oscara, oczekujących go wizyt kontrolnych, środków ostrożności i możliwości kolejnych operacji. Ale wszystko sprowadza się do jednego: Oskar ma się dobrze.

– Uff – wzdycha Joe. – Współczesna medycyna jest niewiarygodna. Tak w ogóle witam was obie. – Siada na krześle i nalewa sobie mleka z małego białego dzbanka do miski z musli.

Fay patrzy na niego tak, że można by to nazwać gapieniem się. Kiedy zauważa, że się jej przyglądam, rumieni się.

– To jakaś wada wrodzona? – dopytuje Joe. – Rodzinny problem?

Luisa i ja przeszliśmy badania, ale to nie jego interes.

– Nie. – Macham ręką, jakby cała ta sprawa mnie nudziła. – Kto się jara dzisiejszym torem przeszkód? – Zerkam na telefon i jego czarny, nieaktywny ekran. Przez moment kręci mi się w głowie na myśl o kryjących się w nim dwóch wiadomościach. Wyobrażam sobie, że czekają tam automatycznie

zapisane, aby jeszcze raz mnie zaszokować.

Gdy wracam myślami do rozmowy o torze przeszkód, Fay martwi się, że może zacząć padać i będzie musiała czołgać się w błocie.

– Dla mnie dzisiejszy dzień będzie trudny niezależnie od pogody – oznajmia Joe z ustami pełnymi musli.

– Dlaczego? – pyta Fay.

Ja bym się powstrzymała od zadania tego pytania.

– Dziś moja dziewczyna miałaby urodziny.

Joe nabiera kolejną łyżkę musli, a Fay patrzy na mnie z paniką, jakby prosiła, bym to ja zareagowała jako pierwsza.

Mruczę pod nosem, że mi przykro.

Joe podnosi z tacy telefon i pokazuje nam zdjęcie, które ma ustawione na tapecie. To fotografia dziewczyny w białym gładkim T-shircie, z blond włosami do ramion. Nosi naszyjnik przypominający sznurówkę z trójkątnym drewnianym wisiorkiem i jakimś fikuśnym zawijaszem. Ma poważną minę, jakby bez emocji. Nie pasuje do typowego wyobrażenia surferki.

– To Kyra dzień przed śmiercią. Dzisiaj miałaby szesnaście lat, a ja świętowałbym urodziny razem z nią.

– Ładnie wygląda – mówi Fay.

Szkoda mi jej, że musi oglądać martwą dziewczynę chłopaka, który jej się podoba.

Joe kiwa głową, nie opuszczając telefonu.

– Fajny naszyjnik – dodaje Fay. Skończyły się jej pomysły.

– Dzięki. Sam go zrobiłem. – Odwraca ekran do siebie i czegoś na nim szuka. – Robię ozdoby dla turystów. Zobaczcie. – Pokazuje nam ekran pełen naszyjników z drewna i paciorków oraz rzeźbionych w drewnie ryb. Przesuwa ponownie palcem i pojawia się kolejne zdjęcie przedstawiające jego i Kyrę w kombinezonach do surfingu i z deskami. Tym razem dziewczyna jest uśmiechnięta. On także.

– To moje ulubione zdjęcie. Popatrzcie, jacy byliśmy szczęśliwi.

Joe dławi się i zasłania oczy dłonią w ten sposób, że kciukiem naciska jedną powiekę, a pozostałymi palcami drugą.

– Przepraszam – tłumaczy się. – Nie chciałem robić sceny. – Chowa twarz w dłoniach i opiera się łokciami o blat.

– Nie robisz sceny – broni go Fay. – Płacz nie jest niczym złym. Przyniosę ci serwetkę. Zaczekaj. Wrócę za chwilę – mówiąc to, oddala się pośpiesznie w stronę stolika ze sztućcami.

Gdyby Joe był kimkolwiek innym, mogłabym go objąć, ale na wspomnienie jego dotyku na sobie nie jestem w stanie tego zrobić. Kiedy wraca Fay, on po cichu pociąga nosem, a ja siedzę dokładnie w tej samej pozycji co przedtem.

– Proszę, Joe.

Joe unosi głowę i bierze serwetkę. Skóra wokół jego oczu jest zaczerwieniona, ale zadziwia mnie fakt, że w oczach nie widać łez oraz że nie musi wydmuchać nosa. Jeśli próbuje tylko udawać załamanego, jaki ma w tym cel? To taka nietuzinkowa forma flirtowania? Nie zdziwiłabym się.

– Dzięki – mamrocze, przyciskając serwetkę do oczu.

Fay zerka na mnie.

– Musimy się zbierać – przypominam. – Nie mieliśmy zaczynać o wpół do dziesiątej?

– Idźcie same – odpowiada Joe. – Dołączę do was za minutkę.

– Skoro tak wolisz. – Fay niepewnie wzdycha. – Wiem, że to będzie dla ciebie bardzo smutny dzień, więc jeśli jest coś, co mogłabym...

Joe opuszcza serwetkę. W oczach widać niepokojący błysk, a jego szczęka sztywnieje.

– Kyra nie powinna była tego robić. Nie powinna. Nie wiem, czemu to zrobiła. Miała mnie – mówi i rozkłada serwetkę, chowając w niej twarz. Tym razem jego łkanie jest prawdziwe i głębokie.

– Nie rób tego – odzywa się Fay. – Proszę, nie załamuj się.

– Chciałbym... – kończy drżącym, przytłumionym głosem – ...pobyć chwilę sam.

Pokazuję Fay, że na nas pora.

15

– Odniosłam wrażenie, że jest naprawdę zły na Kyrę – mówię do Fay w drodze do naszego pokoju.

– Słyszałam, że ludzie, których bliscy popełnili samobójstwo, często mają w sobie bardzo dużo złości – odpowiada i dodaje coś jeszcze, ale nie słyszę tego, ponieważ mój telefon wibruje i przez ułamek sekundy rozlega się piskliwy sygnał, który wybrałam jako informację o przychodzącej nowej wiadomości w aplikacji MessageHound.

Zwalniam krok.

– Idź sama – mówię. – Muszę coś sprawdzić w telefonie. – Czekam, aż odejdziesz wystarczająco daleko, by nie mogła widzieć mojego ekranu. Jednym dotknięciem palca uruchamiam apkę i wprowadzam kod.

LUISA: Mogłabym ci powiedzieć, że twoją ulubioną postacią z *Harry'ego Pottera* jest Ron Weasley, a moją ulubioną przekąską są chipsy o smaku soli i octu, albo możesz się wykazać wiarą i przyjąć, że to ja.

Moją ulubioną postacią z *Harry'ego Pottera* rzeczywiście jest Ron Weasley, a Luisa była wręcz *uzależniona* od tych chipsów.

Tak bardzo pragnę wierzyć, że to wiadomości od siostry, która upozorowała własną śmierć na miarę śledztw Sherlocka Holmesa, a ja niebawem odkryję, jak jej się to udało. Widok wyświetlającego się znajomego zdjęcia profilowego pomaga mi wyobrazić sobie, że to naprawdę ona wysłała te SMS-y. Na swoim profilowym mam na głowie pluszowe rogi i udaję wesołego jelonka. Z kolei Luisa wybrała zdjęcie w koszmarnej czapce z pomponem, którą zrobiła na drutach babcia, kiedy dowiedziała się, że Luisa wybiera się na szkolną wycieczkę narciarską. Uratowałam tę czapkę

z jednego z pudeł z rzeczami do oddania. Luisa miała ją na sobie tylko raz, właśnie do tego zdjęcia, dlatego nie było na niej jej zapachu. Pompon na czubku czapki się rozlatywał, ale i tak chciałam ją zachować.

Zdjęcia profilowe zrobiłyśmy w dniu, gdy zainstalowałyśmy MessageHound. Od tamtego czasu żadna z nas go nie zmieniała. Sama nie wiem dlaczego. Chyba po prostu ciągle nas śmieszyły.

Ponownie zerkam na ekran, gdzie wyświetla się kolejna wiadomość.

LUISA: Jak leci?

„Oddychaj. Oddychaj”. Zamykam aplikację, zanim zemdleję przez zawroty głowy. To wszystko jest takie dziwne, że sobie z tym nie radzę.

– Nie spóźnij się na tor przeszkód! I żadnych telefonów. Później będzie mnóstwo czasu na SMS-owanie – strofuje mnie przechodząca z notatnikiem Pippa. – Do zobaczenia na miejscu.

* * *

Nie chcę, aby ktokolwiek dowiedział się o tych wiadomościach. A to oznacza, że muszę się zachowywać normalnie. Będzie mi łatwiej, jeśli zostawię telefon w pokoju. W ten sposób powstrzymam się od obsesyjnego spoglądania na ekran.

Kiedy docieram do pokoju, Danielle już nie ma, a na mnie czeka Fay. Chowam telefon pod nie do końca czystą koszulką leżącą na dnie walizki i zamasyście zasuwam zamek.

– Jeszcze tylko zęby i jestem gotowa – mówię do Fay.

W łazience pochylam się nad umywalką i zamykam oczy, aby powstrzymać te idiotyczne łzy.

Tor przeszkód zaczyna się kilkoma oponami samochodowymi prowadzącymi do rampy z uchwytami na dłonie i stopy oraz pionowej ściany po drugiej stronie. Po krótkim biegu czeka nas plastikowy tunel, płotki do skakania, sznurowa drabina na drewnianej konstrukcji, kilka drążków, bardziej stroma rampa z liną do podciągania i drabiną po drugiej stronie oraz sześć

pachołków do slalomu. Na samym końcu, na wysokiej platformie znajduje się czerwony dzwonek wielkości piłki nożnej. Są dwa identyczne tory przeszkód ustawione równolegle.

– To będą zawody drużynowe, prawda? – jęczy Fay, spoglądając na tor.

Fakt, że zostawiłam telefon w pokoju, wcale nie sprawia, że mniej myślę o wiadomościach.

– Dlaczego wszędzie musi być współzawodnictwo? – marudzi Fay.

– Chodzi o to, by ludzie mieli motywację i się wzajemnie nakręcali, prawda? No wiesz, mentalność zwycięzcy i takie tam. – Podchodzę z nią do początku toru przeszkód i staję w jednej z opon. – Nie martw się, to zadanie nie wygląda na bardzo trudne. Dasz sobie radę. – Powstrzymuję się przed wyznaniem jej, że nie mogę się doczekać wyścigu. Mam w sobie tę samą kipiącą energię, jaką pamiętam z zawodów pływackich. Kiedy wczoraj z Brandonem bieглиśmy po polu, stwierdziłam, że mam lepszą kondycję od niego. Udało mi się przeskoczyć płot bez żadnego problemu. Jestem w lepszej formie, niż sądziłam.

Wspomnienie Brandona jakby przywołało jego osobę. Podchodzi do nas ubrany w szarą koszulę ze sztywnym białym kołnierzykiem i podniszczone szorty.

– Dzień dobry! – wita się. Wygląda na znacznie szczęśliwszego niż wczoraj. – Ja nadal próbuję powyciągać z włosów resztę pszenicy, a ty?

– O czym ty mówisz? – dziwi się Fay.

– O pszenicznych orłach – odpowiadam. Czuję, że się czerwienię. – Wczoraj podczas gry w podchody.

– Jest Joe – zauważa Fay. – Pójdę sprawdzić, jak się czuje.

– A co mu jest? – pyta Brandon.

Otwieram usta, aby odpowiedzieć, ale ubiega mnie instruktor, krzycząc głośno, żebyśmy się zebrali i obejrzeni, jak należy pokonać tor przeszkód. Dowiadujemy się też, ile kosztują elektroniczne dzwonki i że mamy się nimi bawić.

Za pomocą aplikacji do losowania Pippa dzieli nas na dwie

sześcioosobowe drużyny. Zostaję przydzielona do drużyny Fay i Joego, a Brandon do przeciwnej. Przynajmniej nie jestem razem z Danielle, która od rana zdaje się mnie ignorować, zapewne dlatego, że wyplułam połowę jej tabletki i jeszcze narzekałam na efekty działania drugiej połowy.

Nikt nie wyznacza Joego na lidera drużyny, ale sam przejmuje tę rolę i każe nam się ustawić od najszybszego do najwolniejszego zawodnika. Naturalnie siebie wybiera jako pierwszego. Ja dostaję przedostatnie miejsce, za Kerry, która nosi japonki. Zgaduję, że to dlatego, że widział, jak się potknęłam na basenie, a potem wypadłam z kajaka na spokojnym jeziorze.

Fay jest ostatnia.

– Muszę być na końcu? – pyta „kapitana”.

– Zaufaj mi, Fay. Wiem, co robię.

– Wszyscy gotowi? – upewnia się Pippa. – Ustawcie się w dwóch rzędach. Za dwie minuty odgwizdzą start.

– Pamiętajcie, by dawać z siebie wszystko, zagrzewać do walki kolegów z drużyny i dobrze się bawić – powtarza instruktor. – I nie opierajcie się na dzwoneczkach.

Rozbrzmiewa gwizdek i Joe zaczyna przeskakiwać między oponami o wiele szybciej niż Nate z przeciwnej drużyny. Z łatwością wskakuje na drewnianą rampę, pokonuje ją, zeskakuje i znika. Wszyscy go dopingujemy, choć straciliśmy go z oczu.

– Następni mogą się już przygotowywać – woła Pippa. – Macie mniej niż minutę do gwizdka.

– Nie cierpię być ostatnia – marudzi Fay i krzywi się w grymasie.

– A co na to Joe?

– Kto powiedział, że on tu rządzi? Jeśli chcesz się zamienić, zróbmy to.

– Jeżeli jesteś pewna... i uważasz, że Joe się nie wkurzy...

Chwytam za jej kościste ramiona i popycham ją przed siebie, a sama zajmuję miejsce za nią.

– I co, lepiej?

Fay kiwa głową.

– Dzięki.

Skupiam się ponownie na torze, gdzie w drugiej drużynie na rampę wspina się Brandon. W jego ruchach jest coś hipnotyzującego. Widać, że czuje się swobodnie w swoim ciele. Spośród wszystkich tych osób chyba tylko Brandonowi byłabym w stanie powiedzieć o wiadomościach, które dostałam. Gdybym zdecydowała się komukolwiek powiedzieć. Ale nie mam takiego zamiaru, ponieważ wtedy musiałabym wyjaśnić, co tak naprawdę stało się ubiegłego lata.

Wkrótce w naszej drużynie zostają już tylko ja i Fay. Rozlega się gwizdek i Fay rusza, ale chociaż jej ciało jest lekkie, wydaje się sztywne i skacząc z opony na oponę, nie może znaleźć właściwego rytmu. W drużynie przeciwnej biegnie Danielle. Ktoś mógłby pomyśleć, że szuka dobrego miejsca na szluga, ale szybko wyprzedza Fay, która kilka razy próbuje wspiąć się na pierwszy uchwyt rampy.

– Wow, Fay! – krzyczę, gdy wreszcie staje oboma stopami na ziemi. Kiedy przerzuca ciało przez szczyt rampy i zaczyna wspinać się po ścianie, pokazuję jej kciuk uniesiony w górę.

Ostatnim zawodnikiem przeciwnej drużyny jest Henry, który właśnie się rozgrzewa. Próbuje mnie zdekoncentrować.

– Ostatnia para, przygotować się! – woła Pippa.

Jestem gotowa.

Na dźwięk gwizdka biegnę do opon i odbijam się między nimi z taką dynamiką, by z każdym skokiem przyspieszać. Rampę pokonuję w pełnym biegu, pierwsze na uchwycie lądują dłonie, następnie stopy. Na szczycie chwilę zajmuje mi zejście po ścianie, po czym skaczę, zginając kolana przy lądowaniu. W tunelu jest duszno jak w środku pudełka śniadaniowego. Przeczolgując się przez niego, czuję twardą, guzkowatą powierzchnię. Przez oczka w sznurkowej siatce widzę Fay. Stoi na metalowym stopniu przy drążkach, jedną ręką trzyma się konstrukcji, a drugą wyciąga w stronę pierwszego szczebelka. Joe woła do niej z boku. Nie powinno go tam być. Powinien stać tam, gdzie inni, czyli na końcu toru przeszkód. Nie słyszę, co

do niej mówi, ponieważ pozostali robią wielki hałas. Dolatuje do mnie w końcu, że krzyczy też do mnie:

– Dlaczego, do cholery, zamieniłyście się miejscami?

– Dlaczego tam stoisz i nas dekoncentrujesz? – odpowiadam i przeskakuję przez płotki. Siatka okazuje się nieco trudniejsza. Teraz mam przed sobą drążki i Fay, która nadal nie potrafi się zmusić do rozbuwania na drążku. Nasilają się okrzyki i wiwaty osób, które już ukończyły zadanie.

Joe przekracza linię, której nie powinien przekraczać, i krytykuje nas.

– Trzeba było mnie posłuchać! Wiedziałem, co trzeba zrobić.

– Nic się nie stało – wołam. – Nie przeszkadza mi to, że przegram.

– Nie dam rady. – Fay kapituluje.

– Posłuchaj mnie. – Joe nie daje za wygraną. – Zaufaj mi i skup się na tym, co mówię. Chwyć drążek jedną ręką, a potem dosięgniesz go następną.

– Nie umiem.

– Spójrz na mnie. – Głos Joego staje się łagodniejszy. – Spójrz mi w oczy.

Fay odwraca głowę i skupia na nim wzrok.

– Zrób to dla mnie – prosi ją.

Fay stęka głośno, wyciąga się jak długa i pochyla do przodu. Łąduje na ziemi.

Joe przecząco kręci głową.

– Wygląda na to, że niewystarczająco mi ufałaś.

Na sąsiednim torze Henry skacze przez płotki. Po chwili dochodzi do drążków i tylko rzuca nam krótkie spojrzenie z ukosa. Sięga po przymocowaną do rampy linę i przy akompaniamencie wiwatującego tłumu dociera na szczyt. Po chwili wśród okrzyków radości rozlega się przeciągły dźwięk dzwonka.

– Ach, Fay! – Do dziewczyny podbiega Pippa. – Przewróciłaś się? Biedactwo.

Załóżę się, że nie widziała, że Joe był obok Fay, zanim ta upadła. W dodatku uśmiecha się do niego z wdzięcznością, że jest takim

dżentelmenem.

Fay się podnosi.

– Nic mi nie jest. Dokończę bieg – mówiąc to, podchodzi do rampy i się na nią podciąga. Dostaje głośny aplauz, a ja skromne oklaski za zajęcie ostatniego miejsca. Z chwilą gdy Fay naciska dzwonek, wołam:

– Naprzód! – Mam nadzieję, że gdy następnym razem Joe spróbuje podciąć jej skrzydła, Fay każe mu spadać na drzewo.

Joe wydaje z siebie okrzyk triumfu, patrząc, jak wskakuję na platformę i uderzam w dzwonek.

– Dobra robota, drużyno – kwituje, po czym przytula Kerry, kołysząc ją na boki.

Zeskakując z platformy, by ustawić się do wymuszonego przez Pippę zdjęcia grupowego, źle ląduję i lekko skręcam kostkę.

– Uważaj! – Brandon od razu jest obok mnie i obejmuje mnie ramieniem. Dla tego dotyku zdecydowanie warto było odnieść kontuzję. Między tym a dotykiem Joego zeszłej nocy znalazłabym milion różnic. Myślę, że mogę uznać, że Joe jest zбочeńcem, a Brandona szczerze polubiłam.

Instruktor oznajmia, że tor przeszkód jest dla nas dostępny, jeśli chcemy poćwiczyć wolniejsze tempo lub pokonać go na czas.

Ja najbardziej chciałabym wrócić do pokoju i sprawdzić telefon, ale ta sesja jeszcze się nie skończyła.

– Muszę chwilę odpocząć – stwierdzam, oglądając kostkę.

– Usiądźmy na tamtej ławce – proponuje Brandon.

Chciałabym wiedzieć, czy wynika to z faktu, że nie ma ochoty powtarzać toru przeszkód, czy po prostu woli moje towarzystwo. Oboje patrzymy, jak Fay dopinguje Joego, który próbuje pobić czasowy rekord toru.

Czuję, jak moje ciało ogarnia niepokój, i tracę cierpliwość. Obserwuję, jak wszyscy przybijają Joemu piątki i klepią go po plecach, a Brandon w tym czasie wystukuje palcami rytm na swoim udzie. Gdy tylko Pippa oznajmia, że jesteśmy wolni, wstaję i idę do pokoju, aby sprawdzić, czy nie dostałam kolejnych wiadomości.

16

Pusto. Jediną nowością jest SMS od mamy, którego nawet nie czytam do końca, widząc pierwsze słowa: „Mam nadzieję, że świetnie się...”.

Otwieram MessageHound i po raz kolejny odczytuję cztery wiadomości od Luisy, mimo że pamiętam dokładnie każde słowo. Może nic nowego się nie pojawi, dopóki nie odpowiem na tę ostatnią. „Jak leci?”.

Opieram się o ścianę za łóżkiem świadoma, że nie mam zbyt wiele czasu, zanim wrócą Fay i Danielle i będę musiała obgadać z nimi wydarzenia z toru przeszkód czy plany na dalszą część dnia. Otwieram okienko wiadomości i zaczynam pisać tak szybko, jak tylko potrafię.

SKYE: Po twojej śmierci długo nie mogłam spać. Przestałam pływać, bo nie byłam w stanie wejść do basenu i nie panikować. Nadal mam koszmary. Przeprowadziliśmy się do mieszkania na przedmieściach Londynu. Taty interes nie wypalił i teraz szuka pracy. W połowie semestru zmieniłam szkołę i profil. Wszyscy uważają mnie za dziwaczkę i kujonkę, bo niewiele mówię i chodzę ze spuszczoną głową.

Spoglądam na napisany tekst i momentalnie zdaję sobie sprawę, jak idiotycznie brzmią te słowa oraz jak bardzo mnie obnażają. Oczywiście w głębi duszy od początku wiedziałam, że te wiadomości nie mogą pochodzić od Luisy. Istnieją rzeczy niemożliwe do wytłumaczenia, ale wiadomości w internecie wysyłają ludzie lub komputery, a jestem pewna, że żaden komputer tego nie tworzy. Przyznaję: chciałam uwierzyć w cud.

Pisze do mnie realny człowiek, który podszywa się pod moją martwą siostrę. Wyszukuję palcami klawisz *Usuń* i przytrzymuję go, patrząc, jak znikają słowa i okienko jest znowu puste. Mam teraz takie samo dziwne odczucie jak kiedyś, gdy Oskar kopnął piłkę i trafił mnie nią w głowę.

Podobnie jak wtedy rzeczywistość dochodzi do mnie powoli, z tą różnicą, że teraz towarzyszy mi paraliżujący strach. Ktoś włamał się na konto Luisy i próbuje robić mi z głowy sieczkę.

Czego ode mnie chce? To tylko podły żart czy coś bardziej przerażającego?

„Jak leci?” Co to miało znaczyć?

Nie było dnia, w którym nie myślałam o tym zatrważającym huku i basenie pełnym czerwonej wody oraz wrzasku mamy. Pamiętam zapach chloru, gdy zwinęłam się w kulkę. Tępy ból w czole, które przyciskałam mocno do kolana.

SKYE: Odejdź.

Wysyłam tekst, zanim ulegnę pokusie, by napisać coś ostrzejszego, coś, co mogłoby sprowokować tego świra po drugiej stronie.

Danielle wpada do pokoju i zamykam aplikację.

– Przegapiłaś bójkę dwóch niebieskich podczas meczu siatkówki. Pippa gwizdała na nich swoim gwizdkiem. Ale ubaw. – Z mojej miny odczytuje, że nie uważam tego incydentu za zabawny. – Co ci jest? Nadal męczą cię koszmarne sny?

Wchodzi Fay.

– Ten tor przeszkód był okropny. – Wzdycha, siadając na skraju mojego łóżka, po czym długo tłumaczy, dlaczego nie miała siły do pokonania drążków. Pozwalam jej się wygadać, cały czas trzymając palec zawieszony nad przyciskiem *Usunąć aplikację?* Jeśli go nacisnę, czy pozostanie choćby ślad wszystkich wymienionych przeze mnie i Luisę wiadomości? Zastanawiam się, czy będą one dostępne w wewnętrznej pamięci telefonu. Jak wtedy, gdy policja robi nalot na dom w poszukiwaniu trefnych komputerów i ich eksperci są w stanie dokładnie prześledzić aktywność użytkowników, mimo że ci dostali cynk i zdołali usunąć wszystkie pliki, zanim funkcjonariusze wyważyli drzwi.

Nie mogę tego zrobić. Nie mogę sobie pozwolić na utratę wiadomości od siostry, która kiedyś była prawdziwa.

Danielle przebiera się przy nas. Zdejmuje koszulkę i legginsy i zakłada szorty oraz bezrękawnik.

– Idę na lunch. Do zobaczenia – oznajmia, po czym zatrzaskuje za sobą drzwi.

Fay kończy swój monolog i idzie do łazienki. Kiedy odkładam telefon, ten wydaje z siebie dźwięk.

LUIA: Masz łatwiej w porównaniu ze mną.

Wzdrygam się na te oskarżycielskie słowa. Łatwiej? Fakt, żyję, ale to ja każdego dnia muszę zмагаć się ze wspomnieniami tamtych chwil i być świadkiem skutków, jakie wywierają na innych. Gdybym mogła cofnąć czas do tego letniego dnia, wszystko zrobiłabym inaczej. Mogłabym przeżywać ten dzień bez końca, aż udałoby mi się wszystko naprawić. Ale drugich szans się nie dostaje. Tak już pozostanie na zawsze.

Niezależnie od tego, jak niepokojące są te wiadomości, nie mogę ich usuwać. To dowód. Muszę odkryć, kim jest osoba podszywająca się pod Luisę.

Fay opuszcza łazienkę.

– Jeśli zaraz nie wyjdziemy, spóźnimy się na lunch.

Zajęcia popołudniowe to zabawy na świeżym powietrzu oraz pięćdziesięciminutowe okienko na rozmowy z jednym z dwóch terapeutów. Według Fay wśród zabaw możemy spodziewać się krokieta, badmintona czy szachów z wykorzystaniem gigantycznych figur. Zdaniem Danielle to eufemistyczne określenie opalania, choć taki scenariusz wydaje się mało prawdopodobny, sądząc po widocznych z żółtej jadalni szarych chmurach. Pippa informuje nas, że sesje z psychologami są opcjonalne, ale w czasie deseru biega po sali z notatnikiem i próbuje przekonać wszystkich, aby się na nie zapisali. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak można się specjalizować w terapii dla osób pogrążonych w żałobie.

Mój telefon spoczywa bezgłośnie i nieruchomo w kieszeni szortów. Chciałabym wysłać wiadomość bez świadków, dlatego mówię Fay, że muszę

wrócić do pokoju. Tłumaczę się potrzebą zrobienia porządku z adidasami przed popołudniową sesją.

Brandon siedzi dalej przy tym samym stoliku. Gdy go mijam, spotykamy się wzrokiem i pyta bezgłośnie: „Wszystko okej?”. Czy to tylko moja wyobraźnia, czy naprawdę spędza sporo czasu, obserwując mnie?

Kiwam tylko głową i w drobnym deszczu biegnę do budynku. Zaraz po wejściu do pokoju sięgam po telefon. Brak nowych wiadomości. Gdyby był jakiś sygnał, i tak bym go usłyszała. Podczas lunchu prawie się nie odzywałam, tak mocno usiłowałam się wsłuchiwać, czy nie nadchodzi oczekiwany dźwięk.

Rzucam się na łóżko i wystukuję tekst.

SKYE: Powiedz, kim naprawdę jesteś i czego chcesz.

Zdecydowanym ruchem naciskam przycisk *Wyślij*, po czym sięgam po słuchawki i włączam playlistę w trybie losowym. Z każdym dźwiękiem muzyki mam wrażenie, że przyszła nowa wiadomość.

– Skye! – Głos Fay przebija się przez muzykę.

Wyciągam z ucha jedną słuchawkę.

– Co robisz? Nie ma cię już całą wieczność – narzeka. Widzę, że trzyma na wpół otwarty parasol, z którego cieknie woda. – Pippa kazała mi po ciebie przyjść. Z powodu deszczu musieliśmy zrezygnować z zabaw na świeżym powietrzu. Jesteśmy teraz we wspólnej sali.

– Brzmi fascynująco.

– Gramy w gry planszowe.

Ląduję twarzą na poduszce.

W końcu zgadzam się dołączyć do reszty, ale tylko dlatego, że Fay histeryzuje na myśl, że miałyby wrócić do Pippy z informacją, że nie udało jej się mnie przyprowadzić. Idziemy blisko siebie pod parasolem, stąpając po mokrych od deszczu ścieżkach.

W sali unosi się zapach zatechłych skarpet i starych kartonów. Pomieszczenie przypomina kluby dla seniorów, jakie można zobaczyć w telewizji, z mnóstwem wyblakłych stolików i krzeseł. Na ścianie wisi

potężna korkowa tablica słabo wypełniona pozwijanymi, wyblakłymi zdjęciami, jest na niej także kwiecista kartka z podziękowaniem i menu pizzerii. Na innych ścianach wiszą laminowane kartki z regulaminem korzystania z sali oraz płaski telewizor. „Po zakończeniu zabawy prosimy o posprzątanie wszystkich gier! Zakaz spożywania własnego jedzenia w pomieszczeniu! Jeśli potrzebujesz drobnych do automatu z przekąskami, poproś (grzecznie!) pracowników recepcji”.

Rozglądam się, ale nie widzę żadnego automatu. Jest tylko szafa wnekowa pełna gier planszowych, które właśnie przegląda instruktor. Większość żółtych, łącznie z Brandonem i Joem, zgromadziła się wokół jednego ze stolików, gdzie trwa rozgrywka w karty. Sądząc po piskach i kłótniach, sytuacja jest napięta. Danielle nagrywa wszystko komórką, czym denerwuje Harry’ego, ponieważ widzi karty wszystkich graczy. Przy innym stoliku Kerry i Alice na chybił trafił wrzucają plastikowe krążki do ramki do gry w czwórki.

– Dzięki, Fay! – mówi Pippa, podchodząc do nas z notatnikiem. Następnie bierze od Fay parasol, a dziewczyna idzie w stronę szafki.

– Skye, widzę, że nie ma cię na liście do indywidualnej sesji z terapeutą – zauważa Pippa. – Chcesz, żebym spróbowała jeszcze cię wcisnąć?

– Nie, dzięki.

Pippa kiwa głową i informuje, że powinnam znaleźć sobie drużynę na wieczorny quiz.

– Chodzi o pracę w grupie. Mam nadzieję, że żółci ukończą go w pierwszej trójce. A teraz idę zgłosić administracji cieknący prysznic.

Fay macha do mnie szachownicą.

– Możemy zagrać standardowym rozmiarem do czasu, aż się wypogodzi.

Kręcę głową.

– To może scrabble? *Proszę!*

Pocieszam się, że spotkanie Fay z terapeutą zaczyna się za dwadzieścia minut. Jednak czas mi się wlecze, gdyż ona zastanawia się w nieskończoność nad każdym słowem, a ja wracam myślami do dwóch ostatnich wiadomości,

które wysłałam. Czy zostały już odczytane? Jak inaczej mogłam je sformułować, by pokazać, że mam wszystko pod kontrolą?

Gdy tylko Fay się oddala, rozrzucam litery z gry, po czym układam na planszy zdanie: NIE PRZESTRASZYSZ MNIE. Robię zdjęcie planszy telefonem i szybko chowam go pod stolik, widząc zbliżającego się Joego. Desperacko rozgarniam litery tworzące zdanie i zaczynam je zgarniać do woreczka.

– Jednoosobowe scrabble? – dziwi się Joe. – Dołącz do naszej gry w karty.

– Hej, Joe! – woła Henry. – Skoczmy na bombę do basenu w deszczu.

Stojący przy szafce instruktor rozgląda się i mówi:

– Chłopaki, będziecie potrzebowali ratownika i...

Henry się podnosi.

– Kto się pisze?

– Wszyscy poza Skye – odpowiada Danielle. – Nie wejdzie do basenu, nawet gdy jest słonecznie, więc raczej jej nie namówisz.

Składam planszę do scrabble'a i przyciągam do siebie pudełko.

– Daj jej spokój – wtrąca się Brandon. I to głośno. – W zeszłym roku jej siostra utonęła w basenie, rozumiesz?

Powietrze wokół mnie gęstnieje, ale nie przestaję pakować gry.

Joe cały czas stoi przy mnie.

– Ziomiuś, nie wydaje mi się, by Skye chciała to upubliczniać.

Spuszczam głowę, by nikt nie widział mojej czerwonej twarzy. Zwierzenie się Joemu niecałe dwanaście godzin po przyjeździe, a potem Brandonowi, to były moje dwie najgłupsze decyzje tych wakacji. W sali zapada cisza, którą przerywają ciche szepty. Zaczynam odczuwać ból nad prawym okiem. Nadal obracam w palcach tabliczki z literami.

Instruktor prosi wszystkich o uwagę i ogłasza, że skoro przestało padać, możemy wznowić mecz krokieta. Prosi nas też o ostrożność, aby nikt nie przewrócił się na mokrej trawie. Ludzie zaczynają marudzić, ale gdy Rohan mówi coś o krokietowej wojnie, w końcu z entuzjazmem wybiegają na

zewnątrz.

Ja zostaję i kończę sprzątać grę. Bardzo powoli. Po zamknięciu pudełka obracam je do góry dnem i czytam opis.

– Skye?

Podnoszę wzrok i na widok Brandona ponownie go opuszczam. To się nazywa głupia sytuacja.

– Przepraszam, nie chciałem tego w ten sposób oznajmić.

Jesteśmy sami i jego głos w ciszy brzmi wyjątkowo donośnie. Kiwam lekko głową na znak, że przyjmuję przeprosiny, ale mówię tylko krótkie:

– Nie przejmuj się.

– Mogę usiąść?

– Jestem trochę zajęta.

– Chcę cię o coś spytać. To nie potrwa długo.

– No dobrze, mów. – Kapituluję i w końcu na niego spoglądam. Czekam na pytanie, gotowa je momentalnie zgasić.

– Mówiłaś, że mieszkałaś w tej okolicy...

„Tylko nie to”.

– Dzisiaj po południu niewiele się dzieje – ciągnie Brandon. – Jeśli to niezbyt daleko, może miałabyś ochotę odwiedzić swój stary dom?

– Słucham? Niby po co miałabym to robić?

– Mnie to pomogło. Wiem, że to co innego, bo u mnie nikt nie utonął. Ale to tam zmarł mój brat. Po rozwodzie rodziców przeprowadziliśmy się, a ja cały czas śniłem o starym domu. Pewnego razu tam wróciłem i zrozumiałem, że to w sumie tylko cegły i inne rzeczy. Wtedy coś mi się przestawiło w głowie.

Też długo wyobrażałam sobie powrót do Cisowego Domku. Rozmawiałam nawet o tym z nowym terapeutą, rozważaliśmy, jak by to było odwiedzić to miejsce dzisiaj, za rok czy w odległej przyszłości. Wyobrażałam sobie to na dwa sposoby: albo z mamą lub tatą, którzy zanosiliby się płaczem, albo z Oskarem, gdy dorośnie i chciałabym mu wytłumaczyć, co zrobiłam.

A czego nie zrobiłam.

Jak by to było pojechać tam z Brandonem?

– Ogrodzenie jest wysokie – odpowiadam. – Nie dałabym rady zobaczyć basenu, co najwyżej dach przebieralni i dom.

Brandon wskazuje głową mój telefon.

– Możemy sprawdzić rozkład pociągów i autobusów.

„Dlaczego mnie do tego zmuszasz?”

– Słyszałam, że wolno nam opuszczać teren ośrodka tylko między trzecią a piątą, żeby pójść do sklepu we wsi.

– Nie musimy nikomu zgłaszać wyjścia. Nie wyszlibyśmy przez główną recepcję, tylko tą bramą, którą znaleźliśmy. Nikt by nie zauważył naszej nieobecności.

A co, gdybym natknęła się na kogoś, kogo znam? Wszyscy wiedzą, że się przeprowadziliśmy. Nie wydałoby im się to dziwne, że wracam, żeby zobaczyć swój stary dom? Ale jeśli miałyby to wyleczyć mnie z koszmarów, może warto? To tak blisko – na tyle, że czuję, jak Cisowy Domek mnie do siebie przyciąga. A co, jeśli na widok domu mi odbije i przez to koszmary staną się jeszcze okropniejsze?

– No i? – ponagla mnie Brandon. – Decyzja należy do ciebie. Jak myślisz?

– Nie dzisiaj – stwierdzam. – Nie dam rady.

– W porządku. To taka luźna myśl. Nie powinnaś się do tego zmuszać, chyba że naprawdę tego chcesz. Sprawdzę, jak idzie krokiet. Do zobaczenia.

Kiwam głową, a kiedy Brandon wychodzi, chwytam telefon i przenoszę się na podniszczoną sofę stojącą na końcu pomieszczenia. Zwijam się w kulkę w nadziei, że nikt mnie nie zauważy, jeśli zajrzy przez drzwi, i przewijam galerię zdjęć. W telefonie nadal mam fotki, które zrobiłam przed końcem poprzedniego roku szkolnego. Selfie z Anniką. Biologiczna wycieczka nad morze. Jedzenie pączków na polu w dniu czyichś urodzin. Ja i Max Tomkins na pikniku zorganizowanym przez klub pływacki. Powiększam to ostatnie. Oglądam swoją niewypowiedzianą radość z tego, że Max całuje mnie w policzek do selfie, po czym usuwam zdjęcie. Koledzy

z klubu starali się, jak mogli po śmierci Luisy, ale to ja się od nich odsunęłam. Początkowo z powodu opuszczania wielu treningów, później ze względu na ataki paniki w basenie czy nawet niezdolność do zmuszenia się, by wejść do wody. Po mojej wyprowadzce musiało im ulżyć.

Wchodzę w MessageHound. Żadnych wiadomości. Coś wewnątrz mnie pragnie, żeby jakaś się pojawiła, abym poczuła tę chwilową bolesną nadzieję, zanim umysł przypomni mi, że to ułuda. Wysyłam szybko zdjęcie ze zdaniem z literek ze scrabble'a, zanim się rozmyślę, a później sama je oglądam, wyobrażając sobie reakcję osoby, która odczyta wiadomość. Mam nadzieję, że będzie zaskoczona. Zbita z tropu.

Ustawiam widok na pokaz slajdów i oglądam zapętlone zdjęcia z historii aplikacji. Coś mnie niepokoi, ale nie mogę tego sprecyzować. To coś ma związek ze zdjęciami. Powinnam zrobić kopię, ale to nie to. Chodzi o samo ich oglądanie. Wtedy dociera do mnie, że osoba, która włamała się na konto Luisy, ma dostęp do wszystkich powiązanych z nim zdjęć i wiadomości, co oznacza, że gdyby przewinęła historię wystarczająco daleko, znalazłaby wiadomość Luisy, w której żaliła się, że podróżując po Europie, nigdzie nie może dostać chipsów o smaku soli i octu. Trafiałaby też na zdjęcie z przyjęcia Anniki o tematyce „Harry Potter”, gdzie jestem przebrana za Rona Weasleya.

A to oznacza, że tą osobą może być każdy.

Cisowy Domek, ubiegłe lato

Luisa wpada do mojego pokoju. Leżę na dywanie i nadrabiam zaległości w oglądaniu australijskiego *reality show*, którym Max zaraził całą drużynę pływacką. Luisa aż podskakuje ze złości. Dosłownie. Jest tak nakręcona, że nie umie stać spokojnie. W dłoni trzyma różową kopertę, w której wcześniej umieściłam prezent urodzinowy dla Anniki i zostawiłam w kuchni, aby wieczorem podarować ją przyjaciółce.

– Dlaczego użyłaś tej koperty?

Teraz widzę, że to nie był najmądrzejszy pomysł. Luisa wykorzystuje te koperty w swojej pracy i pewnie niemało kosztują, biorąc pod uwagę metaliczny papier. Powiedziałam jej, że powinna wydrukować na nich nazwę firmy, a ona na to, że jeszcze nie ma nazwy, a poza tym to kiepski pomysł. Pewnie skupia się na czystym zysku.

– Pomyślałam, że Annice się spodoba – tłumaczę. – Wzięłam tylko jedną. Zapłacę za nią, jeśli to taki problem – mówiąc to, zatrzymuję odtwarzacz. – Kupiłam jej w Hoathley te kolczyki w kształcie lukrecji – dodaję, próbując zmienić temat.

– Mój interes musi pozostać tajemnicą – naciska Luisa.

– To, że twoje tabletki nie zostały jeszcze zatwierdzone, nie oznacza, że musisz wpadać w paranoję w związku z tymi kopertami.

– Słuchaj tego, co ci mówię. Pewnych rzeczy nie musisz wiedzieć – wypowiada słowa powoli i z wysiłkiem, jakby powstrzymywała się od krzyku. – Nie możesz zostawiać tych kopert na widoku. – Kręci głową. – Boże, gdyby Nico zobaczył ją na blacie, wpadłby w szal.

– Nico? – Prostuję się. – On też bierze w tym udział? – Jestem rozczarowana, ponieważ to oznacza, że prawdopodobnie będą parą znacznie dłużej, niż bym sobie tego życzyła.

Luisa zagryza wargę. Wyciągam rękę, aby wziąć od niej kopertę. Siostra rozrywa ją, wyciąga z niej niewielki pakunek zawinięty w cienki papier, podaje mi go i zatrzymuje kopertę. Na twarzy ma rumieńce, ale jakby się uspokoiła. To się nazywa przesadzona reakcja. Dawniej była znacznie bardziej wyluzowana.

– Koniec z dotykiem kopert, Skye. Rozumiesz?

Wychodząc z pokoju, opiera się o framugę.

– Te suplementy diety to tylko taki dodatek. Tak naprawdę zamierzam otworzyć stoisko z ciuchami na pchlim targu.

Czasami mam wrażenie, że testuje na mnie swoje nie do końca przemyślane pomysły, ale ponieważ nigdy nie dzieli się ze mną wszystkimi informacjami, nie mogę dać jej rzetelnej opinii.

– Spoko – rzucam.

Później tego dnia idę do sklepiku na farmie, aby zacząć swoją zmianę. Tego lata po raz pierwszy dostaję wynagrodzenie za pomoc, co oznacza, że nie wolno mi jeść produktów do degustacji ani bawić się pistoletem do przyklejania cen. Muszę za to ścierać kurze i sprzątać, liczyć produkty w magazynie i układać towar na półkach. Niekiedy mogę używać kasy. Czasem pracuję z Pat – mamą Toby’ego, Wendy lub Carol z wioski, ale przeważnie jestem z Tobym.

– Chcesz pójść na dostawę, kiedy przyjdzie Wendy? – pyta mnie, gdy stoję na stołku, by sprawdzić daty ważności na sosach i ustawić je w taki sposób, by klienci najpierw brali te najstarsze.

Na dźwięk słowa „dostawa” aż się wzdrygam, ponieważ właśnie myślałam o Luisie i różowych kopertach.

– Pewnie.

Są dni, kiedy czuję się tu lepiej niż we własnym domu. Stres jest mniejszy i podoba mi się ten zorganizowany chaos. Lubię zmieniające się skrzynie

z sezonowymi owocami i warzywami, półki pełne przetworów, miodu, octu, oliwek i sosów oznaczonych logo Farmy z doliny. Lubię wystawę lokalnych ciast i krówek oraz pudełka pełne brudnych jajek. Lubię nawet ostre zapachy, na które Oskar zawsze się krzywi – aromatycznych serów, świeżego mięsa, cebuli i oliwek.

Kiedy przyjeżdża Wendy, pomagam załadować rdzewiejące volvo pudłami pełnymi przetworów, biegając w deszczu od sklepu do samochodu i z powrotem. To dobry trening. Przekonuję Toby'ego, by wziął z nami Kipa, najmłodszego ze spanieli. Pies siada przede mną i opiera brodę na moim udzie. Bawię się małym kłębkim sierści na szczycie jego głowy. Najpierw stawiam go do góry, potem plotę miniwarkoczyk.

– Lu wychodzi dziś wieczorem z Nicponiem? – pyta Toby, prowadząc samochód po nierównej drodze.

– Nie sądzę – odpowiadam. Nico był u nas kilka dni temu i spędził w naszym domu trzy noce. Mam nadzieję, że nieprędko wróci.

– Powiedz jej, że stara gwardia spotyka się dziś w pubie i że powinna się pojawić.

Mam dość tego, że Toby zaprasza ją przeze mnie.

– Sam ją zaproś, kiedy będziemy wracać – sugeruję. – Jest w domu.

Toby się krzywi.

– Tak myślisz?

Jakąś godzinę później parkujemy na naszym podjeździe, a ponieważ mama pojechała gdzieś z Oskarem, bierzemy Kipa do domu. Luisa leży na sofie w salonie i pisze coś na telefonie. Podnosi wzrok, gdy wbiega Kip i stuka pazurkami o drewnianą podłogę.

– Co... – Dziwi się na jego widok, a spaniel w mgnieniu oka ląduje na sofie i dyszy nad jej twarzą. – Fuj! Toby, weź go stąd. Strasznie *cuchnie*. – Nie zmienia to faktu, że Luisa się śmieje, a Toby sam rzuca się na sofę, jakby na Luisę, i udaje, że ściąga z niej Kipa. – Fuj! Ty też *cuchniesz*. Rozwoziłeś sery?

– Chodź ze mną dziś wieczorem do pubu – prosi Toby. – Przyjdzie Naz

i reszta.

Luisa zrzuca z siebie Kipa, który myśli, że to zabawa, i próbuje chwycić zębami poduszkę.

– Nie mogę. Nicowi by się to nie spodobało.

Nie wiem, czy kłamię, aby uniknąć wyjścia z Tobym, czy stała się teraz osobą, która musi znosić zazdrosnego chłopaka.

– Naprawdę? – W głosie Toby’ego słyszę echo własnych myśli.

Na dźwięk chrzęstu opon na żwirze patrzymy po sobie, jakbyśmy znowu byli małymi dziećmi. Mama chyba zwariuje, jeśli zobaczy tu Kipa, w dodatku żującego jedną z jej poduszek.

– Wychodzimy – nakazuje Luisa.

Wybiegamy na zewnątrz i siadamy na ogrodowych krzesłach, udając, że jesteśmy tam już od dłuższego czasu, choć pogoda raczej do tego nie zachęca.

– Cześć! – woła mama. Słyszając nasze głosy, wychodzi do ogrodu, a za nią Oskar.

Mama cieszy się na widok Toby’ego, a nieco mniej na widok Kipa kąpiącego w jej grządkach. Natomiast Oskar jest zachwycony widokiem ich obu.

– Zapraszam wszystkich Mulliganów na weekendowego grilla – zwraca się mama do Toby’ego. – Nie widzieliśmy się całą wieczność. – Potem rozmawiają jeszcze chwilę o gospodarstwie, a następnie mama wchodzi do domu.

– Nauczyłeś już Kipa jakiejś sztuczki? – pyta Oskar, widząc, jak Toby kieruje się w stronę bocznej furtki, tak by nie wychodzić z psem przez dom.

Toby odpowiada mu tonem mówiącym: „Gdzieś ty się podziewał przez te wszystkie lata?”.

– Chcesz powiedzieć, że nie widziałeś jeszcze niesamowitych zdolności Kipa?

Oskar aż drży z podekscytowania. Jest niski i blady, ma na sobie starą, spraną i od dawna przyciasną koszulkę ze Spider-Manem.

Toby prosi, byśmy stanęli obok siebie w linii twarzą do basenu i rozstawili nogi. Następnie gwizdże na Kipa, który zaczyna biegać między naszymi nogami, a Toby pogwizduje, macha rękami i chwali go.

– Potrafi skakać? – pyta Oskar, gdy Kip kończy slalom i siada, oczekując na przysmak w nagrodę. Dwa pozostałe psy Mulliganów uwielbiają skakać.

– Oczywiście – zapewnia Toby, po czym prosi Oskara, by położył się na ziemi, a pies zaczyna nad nim skakać. Oskar proponuje, byśmy wszyscy położyli się zamiast niego, by się przekonać, czy Kip jest w stanie przeskoczyć przez nas troje. A ponieważ Oskarowi na tym zależy, więc, zgadzamy się. Kładziemy się. Luisie zależy, żebym ja była w środku, tak by ona nie musiała być zbyt blisko Toby'ego.

Leżę więc ściśnięta między nią a Tobym i wszyscy chichoczymy, gdyż dobrze wiemy, że Kip nie jest najlepszym skoczkiem i jest wielce prawdopodobne, że wyląduje na którymś z nas. Luisa chwyta mnie za rękę i ściska ją trzykrotnie jak najszybciej, co w rodzinnym kodzie Coltonów oznacza „kocham cię”.

Oskar motywuje Kipa i pomaga mu się rozpędzić. Ku naszemu zaskoczeniu spaniel przelatuje nad naszymi plecami, a my leżymy jeszcze przez kilka chwil, bo właśnie zrobiło się tak jak za dawnych lat. Byliśmy wtedy blisko i czuliśmy się w swoim towarzystwie swobodnie.

18

Teraz

Słucham losowych kawałków z playlisty i myślę o tym, że gdy wykrywani są internetowi trolle, nie zawsze okazują się obsesyjnymi samotnikami, wbrew oczekiwaniom większości. Czuję czyjś dotyk na ramieniu i odwracam się ze wzdrygnięciem. To Kerry i Alice próbują zwrócić moją uwagę. Wyciągam słuchawkę z jednego ucha.

– Nie przeszłabyś się z nami i Dani do wioski? – pyta Kerry. – Chcemy sprawdzić, co jest w sklepiku.

Krzywię się, jakbym chciała pokazać, że nie jestem pewna.

– No chodź – ponawia prośbę. – Przestało już padać i mamy teraz czas wolny. Słyszałyśmy, że sprzedają tam cukierki w słoikach, jak w starodawnych cukierniach.

Na drugim końcu sali Danielle znalazła właśnie pilota i przełącza kanały telewizyjne.

– No dobrze – zgadzam się, choć wiem, że Kerry prawdopodobnie proponuje wspólny spacer tylko dlatego, że jest jej przykro z powodu sposobu, w jaki została obnażona moja fobia przed basenami. – Dzięki. – Wychodzę z nią i Alice w stronę pokojów, by zabrać pieniądze. Danielle nas dogania i nie reaguje w żaden sposób na wieść, że wybieram się z nimi.

– Do zobaczenia w recepcji za dziesięć minut – mówi Alice, po czym razem z Kerry udają się do swojego bloku.

Gdy Danielle otwiera przeszklone drzwi wejściowe do naszego bloku, dzwoni jej telefon. Zerka na wyświetlacz.

– Czego znowu chcesz, tato? – mruczy pod nosem, ale kiedy odbiera, jej

głos jest znacznie pogodniejszy. – Cześć, tato! Co słyszeć? – Pokazuje mi, bym dalej szła sama, a ona wraca na zewnątrz.

Kładę telefon na stoliku nocnym i szukam jakiejś cieplejszej koszuli, którą mogę założyć na podkoszulek. Niech będzie w kratę. Będę mogła konkurować z zestawem koszul Brandona.

Wyjmując z portfela drobne, słyszę, że odzywa się telefon. Rzucam się na niego bez namysłu.

LUISA: Chcę, żebyś była szczęśliwa, ale jestem na ciebie zła.

„Nie uratowałam cię” – to moja pierwsza myśl. Po chwili biorę się w garść. Albo ktoś wie, co się stało ubiegłego lata, albo znalazł coś w internecie. Nietrudno się domyślić z treści artykułów w prasie, że w sprawie śmierci Luisy to ja byłam „nastolatką obecną na terenie posiadłości w czasie incydentu, która doznała szoku i potrzebowała pomocy medycznej”. A może tylko pogorszyłam sprawę swoją wiadomością z liter scrabble’a. Czy osoba udająca Luisę próbuje mnie sprowokować dla samej przyjemności, czy jej działania mają jakiś poważniejszy cel?

Wchodzę do pokoju i przez drzwi wejściowe obserwuję Danielle. Nadal rozmawia przez telefon, chodząc powoli tam i z powrotem po trawie. Na mój widok kiwa głową, jakby chciała powiedzieć: „Dobrze, już dobrze. Idę”.

– Spokojnie – mówi po powrocie do pokoju. – Mamy mnóstwo czasu. Kerry i Alice nie pójdą bez nas.

Mogłabym znaleźć jakiś powód, by wrócić do domu i uciec od tego wszystkiego albo przynajmniej poczuć się bezpieczniej. Tyle że to by było trochę jak chowanie się, a tego nie mam zamiaru robić. Wkładam telefon do kieszeni bluzki, obok pieniędzy, po czym czekam, aż Danielle znajdzie portfel i zmieni buty.

Wiejski sklepik jest rozczarowujący. Stoją w nim trzy duże słoje z cytrynowymi galaretkami, cukierkami o smaku truskawek i toffee oraz żelkami. Oto cała oferta tradycyjnych słodyczy. Alice kupuje małą papierową torebkę żelków, które kosztują trzy razy więcej niż w plastikowym opakowaniu w markecie, a do tego dostaje nieproporcjonalnie dużo zielonych. Reszta z nas zadowala się czekoladowymi batonikami

i przeglądaniem czasopism. W pewnym momencie słyszymy, że jeszcze chwila i będziemy musiały je kupić, więc płacimy za batoniki i rozsiadamy się na ławeczce przy drodze, obok szarego kamiennego krzyża. To symbol upamiętniający bohaterów wojennych. Mija nas kilka samochodów, a po drugiej stronie drogi biały kot wspina się na drzewo.

– Chyba niewiele się tu dzieje, co? – stwierdza Kerry.

Danielle wzrusza ramionami.

– To, że tego nie widzisz, wcale nie oznacza, że się nie dzieje.

Alice częstuje nas żelkami i prosi, byśmy zamykały oczy i zgadywały, jaki wylosowałyśmy smak. Nie robimy specjalnego hałasu, ale jakiś starzec kuśtykający powoli w kierunku sklepu zatrzymuje się, opiera o laskę i wlepia w nas wzrok.

– Starzy ludzie mnie irytują – mówi Danielle, gdy mężczyzna się oddala. – Wkurza mnie to, że przeżyli więcej niż czterdzieści cztery lata – mówiąc to, podchodzi do kamiennego krzyża, staje na pierwszym stopniu i odczytuje inskrypcję – „Rodzina Truss doznała bolesnej straty”. – Zeskakuje. – Macie ochotę zagrać w grę pod tytułem „kto najdłużej będzie leżeć na środku drogi”?

Kerry parska śmiechem.

– Dani, świruska z ciebie. Przecież nic nie piłaś.

– No dobrze, ja zaczynam – postanawia Danielle. Wygląda przód koszulki i kładzie się na czarnym asfalcie przed krzyżem, podkładając ręce pod głowę. – Ta droga jest naprawdę ciepła – stwierdza.

Przestaję gryźć twixa. Samochody mogą nadjechać z trzech różnych stron: zza dwóch rogów z ograniczoną widocznością lub od strony skrzyżowania przy krzyżu. Nasza trójka wymienia spojrzenia.

– Słyszę, że coś się zbliża – zauważa Alice.

– Wcale nie – droczy się Danielle.

Wstaję i wyteżam słuch. Czuję, że zaczynam się pocić. Słyszę szum jakiejś maszyny. I coś jeszcze. Jakby stukanie.

– Wstawaj, Dani! – krzyczy Kerry.

– To przyczepa – oznajmia Alice, zwracając się w kierunku, z którego nadjeżdża pojazd. Po kilku sekundach na bocznej drodze pojawia się land rover ciągnący niską przyczepę.

Zaschło mi w ustach i nie mogę krzyknąć, ale biegnę do Danielle, aby ściągnąć ją z jezdni. Dziewczyna wstała już sama i odpycha mnie.

– Uspokój się. Nie panikuj.

Kierowca land rovera nie zwraca na nas uwagi, tylko skręca w lewo, oddalając się.

– Dobra, spróbuję jeszcze raz – stwierdza Danielle, siadając na jezdni.

– Uważaj na siebie – ostrzega Alice. Kerry też coś mówi. Wszystkie jesteście na drodze.

Jestem pewna, że nadjeżdża kolejny pojazd, tym razem z prawej strony. Jedźcie szybko.

– Uciekaj! – krzyczę, a po chwili wszystkie lądujemy na trawiastym poboczu, podczas gdy z tunelu liściastych drzew wyłania się biały van. Przejeżdżając obok, zwalnia, a ja wrzeszczę, chwytając Alice, byśmy nie ześlizgnęły się w błotnisty rów. Na wysokości krzyża samochód przyśpiesza.

– Widzieliście twarz kierowcy? – Danielle się śmieje z błyskiem w oku. – Napędziłyśmy mu niezłego stracha.

19

Przed obiadem Fay zajęła mi miejsce obok siebie.

– Gdzieś byłaś? – pyta. – Nie mogłam cię znaleźć.

– We wsi – odpowiadam. – A później razem z Danielle poszliśmy do pokoju Alice i Kerry. Grałyśmy w karty, a Danielle założyła Kerry profil na portalu randkowym. A ty?

– Byłam na terapii... A potem nie mogłam znaleźć ani ciebie, ani Joego, więc zaczęłam się rozglądać.

Nawijam na widelec spaghetti, słuchając, jak Fay opowiada, że przeszła się na skraj ośrodka i natknęła na biegającego wokół jeziora Joego. Usiedli razem na brzegu i odbyli Głęboką Duchową Rozmowę.

– On mnie rozumie – kontynuuje. – Rozumie, przez co przeszłam. Mogę nawet powiedzieć, że mnie zainspirował.

„Zainspirował? Hmmm”. Sięgam po serwetkę, by zetrzeć sos z podbródka.

– Rozmawialiśmy też na temat Kyry. Miał dzisiaj ciężki dzień w związku z jej urodzinami. Wiedziałaś, że udziela się na internetowym forum, gdzie pomaga uczniom w depresji? Powinien zostać prawdziwym terapeutą – mówiąc to, Fay spogląda na stół, przy którym Joe toczy ożywioną rozmowę o surfowaniu. – Kiedy się go bliżej pozna, okazuje się, że jest bardzo uduchowiony.

– A nie wydaje ci się trochę. – Próbuję znaleźć odpowiednie słowo – nachalny?

– Ma silny charakter, ale to mi się podoba. Jest pewny siebie. Podobnie jak mój tata. Tata uwielbiał wymyślać nowe teorie na różne tematy.

Nie wiedzieć dlaczego zaczyna mówić o religii, a ja filtruję jej słowa, siłując się ze spaghetti.

– Ojej, zapomniałam o czymś. – Nagle Fay podnosi głos. – Wymyśliłam drużynę na dzisiejszy quiz. Ja, ty i Joe.

– Że co?

– Pippa poprosiła o nazwy drużyn, żeby wpisać je na listę. Jesteśmy Mistrzami Quizów.

„Wspaniale”.

To zajęcia międzygrupowe. Wszyscy należą do jakiejś drużyny poza kilkoma osobami, które pomagają rozdawać kartki i długopisy. Właśnie w takiej roli widziałabym siebie, zamiast być w drużynie ze sztywno wyprostowaną Fay i Joem, który siedzi niemal w pozycji horyzontalnej, z jednym kolaniem opartym na stole, rozłożony na oparciu krzesła.

– Za chwilę będziesz musiała to wyłączyć – mruczy, zerkając na mój telefon wzrokiem zniecierpliwionego nauczyciela. – Inaczej zostaniemy zdyskwalifikowani.

– Wiem. – Mimo to dalej przeglądam swoje media społecznościowe. Czekam na odzew od fałszywej Luisy. Chciałabym, żeby ona czy on potknęli się i powiedzieli coś, co ich zdradzi.

Joe porusza kolaniem i bez ostrzeżenia zbliża się do mnie.

– Co tam masz? – Jego noga dotyka mojej, na co siadam prosto na krześle, odsuwając od niego i nogę, i telefon.

Sprawdzam, czy Fay to zauważyła, ale ona przygląda się, jak rozdawane są kartki i długopisy.

– Nic – odpowiadam. Gdybym mu zarzuciła, że naruszył moją przestrzeń osobistą, powiedziałby, że jestem zbyt drętwa.

– Nienawidzę komórek – komentuje Joe. – Niestety muszę mieć swoją, ale ich nienawidzę.

Zapewne spędził równie dużą ilość rozmów, jak ja na temat właściwego korzystania z urządzeń elektronicznych w szkole. Nie będę z nim wchodziła w dyskusję. W sumie nawet nie muszę, gdyż Joe wygłasza monolog o tym, że ludzie spędzają teraz więcej czasu przed telefonem niż na rozmowie

między sobą. Prawie wybucham śmiechem. Wolę komórkę niż słuchanie jego wynurzeń.

Na stole łąduje jeden długopis i kilka kartek. Fay przysuwa wszystko do siebie. Wyłączam telefon i zaczyna się quiz. Mój umysł pracuje szybko, tyle że nie analizuje właściwych pytań. Dlaczego ktoś miałby podszywać się pod Luisę? Czy ta osoba włamała się na serwer MessageHound i przypadkiem trafiła na Luisę i jej prywatny chat, czy może zostałam obrana za cel? Dostałam odpowiedź dopiero po tym, gdy sama napisałam, ale od jak dawna intruz ma dostęp do konta?

Czuję, że ktoś mnie obserwuje.

– Wiesz to? – pyta Joe.

– Co? – Otrząsam się z zamyślenia. Do tej pory obserwowałam tylko, jak Fay wpisuje odpowiedzi przy minimalnej konsultacji z Joem.

– Podaj imiona członków grupy ABBA.

– Odpowiedź jest w nazwie – tłumaczę. – Dlatego nazywają się ABBA. To Agnetha, Björn, Benny i Anni-Frid. Moja mama jest ich fanką.

– Tak, zgadza się – potwierdza Joe, jakby od początku znał odpowiedź i tylko chciał, żebyśmy miała jakiś udział w pracy drużyny.

Zaraz po quizie, po tym, jak Pippa zebrała arkusze z odpowiedziami, włączam telefon. Od razu odzywa się sygnał.

– Sprawdzasz odpowiedzi? – pyta Fay. – Nie miałam stuprocentowej pewności co do pytania o pisklę pingwina. Znalazłaś?

– Nie sprawdzam – odpowiadam. – Przepraszam, wrócę za chwilę. – Podnoszę się i przechodzę na drugi koniec pomieszczenia, gdzie Pippa i dwóch instruktorów zaczynają oceniać wyniki.

LUISA: Dobrze ci w tej koszuli w kratę.

Szybkim wzrokiem omiatam całą jadalnię. Rozglądam się dookoła, a mój mózg wchodzi w stan najwyższej aktywności. Od początku wydawało mi się mało prawdopodobne, że prześladowca jest obcą osobą, a teraz się o tym upewniłam. To ktoś, kto dokładnie wie, kim jestem.

To wszystko zaszło już za daleko.

Podchodzi do mnie Joe z butelką wody. Bierze duży łyk i ociera usta.

– Byłabyś znacznie szczęśliwsza, gdybyś wyłączyła tę złość – poucza mnie.

„Czy to on?”

– Gdzie masz telefon? – pytam.

– Uspokój się. Jesteś strasznie agresywna. – Podnosi ręce. W jednej z nich trzyma butelkę, w drugiej zakrętkę. – Nie jestem taki jak ty i nie mam telefonu chirurgicznie przymocowanego do siebie. Zostawiłem go w pokoju.

To może być kłamstwo. Mógł schować telefon gdzieś pod stolikiem, pod swetrem czy w jakiejś torbie.

– Proszę, daj mi spokój. – Odwracam się od niego i sprawdzam odpowiedź na pytanie dotyczące pisklęcia pingwina.

– Wszyscy tu jesteśmy trochę porąbani, ale ty to całkiem inna liga – kwituje łagodnie Joe. Trochę mnie przeraża intensywność jego spojrzenia.

– Tak sądzisz? – Próbuję nie okazywać, że mnie to dotknęło, i dać mu do zrozumienia, że nic sobie nie robię z jego niemiłych uwag. – To... prawie interesujące.

Wchodzę na stronę o pingwinach. Fay będzie zadowolona, bo wpisała prawidłową odpowiedź. Podnoszę wzrok. Fay patrzy nerwowo na wracającego do stolika Joego. Miała przy sobie telefon? Badam wzrokiem pomieszczenie. Danielle i Brandon coś czytają na telefonach, podobnie Kerry i Alice, i kilka osób z czerwonych i niebieskich.

Koszulę noszę całe popołudnie i wieczór. Osoba, która do mnie pisze, może być każdym w tym pomieszczeniu.

Mamy wrócić do swoich drużyn na ogłoszenie wyników. Nogi Fay drżą pod stołem. Kiedy zauważa, że to dostrzegłam, kładzie na udach dłonie, aby je unieruchomić. W końcu wszyscy milkną, a Pippa pokazuje nagrody: czekoladowe batoniki, długopisy z napisem PRZEŻYJ Z NAMI PRZYGODĘ!, które można kupić w recepcji za 1,99 funta, oraz trzy badziewne puchary.

– Ogłosimy zwycięzców od końca. Na trzecim miejscu mamy drużynę

Kruchych Ciastek... – Pippa wyczytuje imiona graczy, wszyscy klaszczą, a medaliści idą po słodycze. – Na drugim miejscu są Mistrzowie Quizów... – Słyszając to, zwracam się ku Fay. Ma spuszczoną głowę. Jest przybita faktem, że nie wygraliśmy.

– Dostaniemy długopisy! – krzyczę. – No coś ty, Fay. Świetnie się spisałaś.

Joe szepcze jej coś do ucha i gładzi ją po ramieniu, by nakłonić ją do wstania. Głupio mi, że muszę być kojarzona z tą parą, więc podnoszę się jako pierwsza i odbieram długopis, na który zapracowałam swoją jedyną odpowiedzią. Dostajemy wielki aplauz. No pewnie, jesteśmy złotymi, osobami, którym należy współczuć. Teraz we troje pozujemy do zdjęcia. Mamy się do siebie przybliżyć, unieść długopisy i zawołać: „Zwycięstwo!”. Mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę, jak to wyszło.

Wygrywają czerwoni. Wcale nie wyglądają na zaskoczonych. Fay nie może na nich patrzeć.

Wąsaty mężczyzna, który okazuje się opiekunem czerwonych, proponuje, byśmy spędzili wspólnie jeszcze kilka godzin. Wskazuje na stojące na blacie puszki z napojami, tam, gdzie zwykle stoją płatki śniadaniowe, i oznajmia, że lada chwila zaczną grać muzyka, gdy tylko dojdą do tego, jak uruchomić sprzęt grający.

– Bawcie się dobrze, poznajcie się, a jutro wieczorem znowu się tu wszyscy spotkamy podczas dyskoteki.

Ludzie zaczynają żywo rozmawiać, ale nasza trójka siedzi przez chwilę w ciszy. Za moim krzesłem przechodzi dwójka niebieskich i słyszę szept, że żółci to sieroty.

Wstaję.

– Do zobaczenia później – żegnam się, zostawiając Fay i Joego samych.

Siadam na zewnątrz, na schodach pożarowych na tyle jadalni, z pomarańczowym napojem gazowanym sygnowanym marką supermarketu. Wiem, że nie powinnam szukać kontaktu z osobą, która zaczęła mnie

prześladować, ale chcę jej pokazać, że jestem silna i mam wszystko pod kontrolą.

SKYE: Powiedz, dlaczego mnie prześladujesz.

Biorę łyk napoju. Jego piekące bąbelki nie zdążyły jeszcze podrażnić mojego gardła, gdy przychodzi odpowiedź.

LUISA: Nie prześladuję cię. Nie jesteśmy wrogami.

Lepiej było zostać w środku i obserwować, kto akurat coś pisze.

– Cześć. – Na rogu budynku stoi Brandon. Na jego widok zrywam się na nogi. – Zastanawiałem się, dokąd poszłaś – mówiąc to, podchodzi do wyjścia pożarowego. – Tak w ogóle gratulacje za zajęcie drugiego miejsca. – Unosi puszkę lemoniady w geście uznania.

– Dziękuję, ale odpowiedziałam tylko na pytanie o ABBĘ.

– Nie masz nic przeciwko, jeśli z tobą usiądę? Wybór muzyki w jadalni jest trochę... nie w moim guście.

Wygaszam wyświetlacz telefonu.

– Kojarzysz apkę MessageHound? – pytam, uważnie obserwując przy tym jego twarz. Wydaje mi się, że trochę się krzywi, próbując uruchomić pamięć. Albo udając, że próbuje. To ironiczne, że gdy mieliśmy grać w podchody, posądziłam go o prześladowanie tylko dlatego, że wybierał te same zajęcia co ja, a teraz naprawdę jestem prześladowana.

– Tak. Jest stara jak świat, nikt jej już chyba nie używa. A co?

– Mam na niej prywatną grupę i została zhakowana – tłumaczę. – Chcę dopaść hakera.

– A po co się tym przejmujesz? – dziwi się Brandon. – Poproś członków grupy o zmianę haseł i stwórzcie nową grupę.

– Tak, ale... – Waham się, patrząc, jak rozsiada się wygodnie na schodku obok mnie. Nasze głowy są teraz prawie na tym samym poziomie. Chciałabym dotknąć jego twarzy, przejechać palcem wzdłuż kości policzkowych, ale nie mogę się do niego zanadto zbliżyć do czasu, aż będę miała pewność, że to nie on stoi za wiadomościami.

– Mój brat wiedział wszystko o hakowaniu – mówi.

– A ty?

– Ja nie. Ja interesuję się animacją. Mój brat też to lubił. Chciał studiować sztuki filmowe na uniwersytecie. – Brandon dopija napój z puszką i zgniata ją kciukiem. Czuję, że ta rozmowa kosztuje go wiele wysiłku. – Zrobił dla mnie serię czterech klipów wideo, a kiedy się dowiedział, że nie zostało mu wiele czasu, zaprogramował swoją skrzynkę e-mailową tak, by wysyłała mi je raz na miesiąc. Pierwszy przyszedł, kiedy jeszcze żył, ale nie mógł już mówić. Następne dotarły po jego śmierci. To było bardzo dziwne.

A więc przeżył coś podobnego jak ja.

– Coś jak wiadomości od zmarłego?

Brandon kiwa głową.

– Miał obsesję na punkcie tworzenia wirtualnych awatarów dla zmarłych. Istnieją już firmy, które się tym zajmują na podstawie danych z e-maili, zdjęć, mediów społecznościowych i innych cyfrowych treści.

– Ale po tym pierwszym dziwnym okresie lubiłeś je dostawać?

– Jasne. – Stawia puszkę między nogami w conversach. – Ja tak, ale mama wpadała w histerię. Za każdym razem, gdy przychodziła wiadomość, chciała od razu ją oglądać, ale od pierwszej sekundy ogarniała ją rozpacz. Tata jeszcze mieszkał wtedy z nami. Zapisał mnóstwo kopii, żeby nie zginęły.

– A teraz zdarza ci się je oglądać?

– Czasami. Kiedy nie pamiętam, jak brzmiał jego głos.

Mój telefon daje o sobie znać. Zmuszam się, by to ignorować, ale wewnątrz czuję ulgę. Brandon nie może być odpowiedzialny za moje wiadomości, gdyż siedzi tu ze mną. Pytam go o bloga, a potem mam wyrzuty sumienia, ponieważ nie do końca koncentruję się na jego słowach, gdy wyjaśnia, po czym poznać idealny zwiastun filmu lub książki. Twierdzi, że pominięte elementy okazują się ważniejsze niż te wykorzystane. Mówi o trwałych wrażeniach.

Kiedy już wyczerpuje ten temat, proponuje:

– Może się przejdziemy?

Jak najbardziej. Tak bardzo potrzebuję się przewietrzyć, że w środku czuję

mrowienie, mimo że odkąd znalazł mnie Brandon, nie wzięłam ani jednego łyka gazowanego napoju. Tyle że muszę sprawdzić, co to za wiadomość. Waham się trochę zbyt długo, aż w końcu Brandon chrząka i dodaje:

– Wiesz co? Może jednak wróćę do środka i zobaczę, co robi reszta.

To mówiąc, bierze swoją puszkę i odwraca się, unikając mojego spojrzenia. Odprowadzam go wzrokiem, czując w żołądku nieprzyjemny ścisk. Gdy znika mi z oczu, niczym uzależniona wchodzę w apkę MessageHound. Nienawidzę się za to. Tak naprawdę nie obchodzi mnie już treść wiadomości.

LUISA: Nie mów o tym nikomu.

Czy to ma być groźba? Nogi uginają się pod mną ze strachu, ale udaje mi się na nich utrzymać i pójść wolnym krokiem w stronę pokoju, uważnie obserwując otoczenie.

Po tej rozmowie z Brandonem o awatarach czuję ulgę, że na mojej komórce nie ma żadnych filmików, które mój prześladowca mógłby wykorzystać do swoich niecznych celów. Nagle wracam myślami do fragmentu rozmowy o zaprogramowaniu przez brata Brandona skrzynki pocztowej. Wchodzę w ustawienia mojej apki i w połowie listy znajduję opcję *Zaplanowana wiadomość*. Nigdy nie wiedziałam, że tak można. Joe mógł przecież napisać wiadomości wcześniej i ustawić czas ich wysłania. Podobnie jak Brandon czy ktokolwiek inny. Stwierdzam, że ta osoba mogła w łatwy sposób odpisywać mi na bieżąco, a innym razem planować wiadomości na przyszłość. Dzięki temu prześladowca miał możliwość być przy mnie w chwili, gdy otrzymałam wiadomość, i czerpać satysfakcję z mojej reakcji. Chowam dłonie i telefon do kieszeni kraciastej koszuli i mocno zaciskam pięści.

20

SKYE: Dlaczego miałabym się tobą przejmować?

Ustawiam aplikację tak, by wiadomość została wysłana o trzeciej nad ranem, tak dla jaj, a kiedy budzę się o siódmej, nie mam jeszcze odpowiedzi.

To niepokojące, gdy budzisz się w miejscu, gdzie nie wiesz, komu możesz ufać. Lista podejrzanych krążyła mi po głowie całą noc: Joe, Danielle, Brandon, Fay, Alice, Kerry. Plus reszta żółtych, wszyscy czerwoni i niebiescy, tyle że wiadomości mają charakter osobisty. Ale przecież każda z osób mogła wiedzieć o śmierci Luisy lub być z moją siostrą w jakiś sposób związana.

Gdy Fay wychodzi z łazienki i pyta, dlaczego nie poszłam na śniadanie, tłumaczę, że jestem zbyt zmęczona, i naciągam kołdrę na twarz. Z tym zmęczeniem to prawda, poza tym nie jestem jeszcze gotowa na starcie z kolejnym dniem i moim prześladowcą.

Fay nie przejmuje się Danielle, która albo śpi, albo udaje.

– Jesteś pewna, Skye?

– Aha. Co za ironia. Ty idziesz na śniadanie, a ja zostaję w łóżku.

– Joe mówi, że powinnam jeść śniadania.

– Punkt dla niego – kwituję, po czym całkowicie chowam się pod kołdrą i zostaję tak, aż Fay wychodzi.

Później, gdy Danielle jest w łazience, zauważam wystający spod jej poduszki telefon. Kiedy głośno wibruje, upewniam się, że Danielle jest pod prysznicem, po czym idę do jej łóżka, podnoszę poduszkę i sprawdzam, co jest na ekranie.

Widzę okładkę albumu, którego nie poznaję, pewnie dlatego, że nie osiągnęłam odpowiedniego poziomu zajebistości, a pod spodem wiadomość

od kogoś zwanego Chazza:

„Jak tam współlokatorki-świruski?”.

Nie jestem pewna, co spodziewałam się znaleźć w telefonie Danielle, ale na pewno nie to. Nie dziwi mnie, że na bieżąco opowiada o mnie i Fay swoim znajomym.

Wracam pośpiesznie do swojego gniazdka. Czy Danielle pogrywa ze mną przez MessageHound, ponieważ uważa mnie za świruskę? Łatwą do sprowokowania? Nie powinnam była jej mówić o Luisie i naszym prywatnym czacie tej nocy, gdy dostałam od niej pigułkę nasenną.

– Dziś paintball – oznajmia Danielle po wyjściu z łazienki. – Super. To prawie jak walka.

Po śniadaniu Fay wraca do pokoju i oznajmia, że nie będzie brała udziału w grze w paintball, ponieważ kiedyś już to robiła i wiele razy dostała kulkami.

– Czy to właśnie nie jest esencją paintballu? – pytam.

– Siniaki miałam jeszcze przez parę miesięcy – żali się. – Przy śniadaniu rozmawiałam z Pippą i powiedziała, że mogę zostać tutaj i posiedzieć na werandzie przed pokojem gier – mówiąc to, wyciąga z walizki ogromną książkę. Podręcznik do chemii.

Wszyscy żółci poza Fay czekają w głównym budynku wraz z instruktorem na minibus, który ma nas zawieźć do centrum paintballu. Oglądam plakat przedstawiający lisa i myślę sobie, że to dostojne zwierzę w niczym nie przypomina parszywego rudzielca przeczesującego dzielnicę mieszkalną w mojej okolicy. Danielle tworzy krąg z Alice i Kerry. Joe toczy ożywioną rozmowę z Henrym, a Brandon śmieje się ze swoim współlokatorem Jackiem. Nie mam mu za złe, że woli jego towarzystwo od mojego, po tym, jak potraktowałam go wczoraj wieczorem. Ale nie ma tego złego. Mogę sobie pooglądać plakat.

Gdy spoglądam na fotografię ptaka z dziwnym czubkiem na głowie, odzywa się mój telefon. Na widok imienia Luisy czuję znajome ukłucie

w żołądku. Odczytuję wiadomość oszusta.

LUISA: Miło jest porozmawiać, gdy przychodzą trudne czasy.

Rozglądam się wokół siebie, ale nikt nie ma na wierzchu telefonu. Nie mam szans ustalić, czy wiadomość nie została zaplanowana i wysłana wcześniej, ale przynajmniej jej ton jest łagodniejszy.

Zamierzam brnąć w to dziwactwo, aż natrętowi powinie się noga. Zostały nam jeszcze dwa dni w Morley Hill, a chciałabym przed wyjazdem dowiedzieć się, kto za tym stoi. Biorę oddech i piszę:

SKYE: O czym chcesz porozmawiać?

Wysyłam wiadomość i podnoszę wzrok, by sprawdzić, czy ktoś sięga po telefon po usłyszeniu sygnału lub wibracji. Nikt.

W busie Brandon ma do wyboru miejsce obok mnie, ale przechodzi dalej i rozsiada się na tylnym siedzeniu. Danielle siada obok mnie, ponieważ chce być blisko Alice i Kerry, które siedzą na tej samej wysokości w przeciwnym rzędzie. Gdy ruszamy, Danielle odpina pas i obraca nogi w stronę środka pojazdu.

Dziewczyny rozmawiają o głupich sposobach śmierci. Wymieniają ludzi, którzy spadli w przepaść, zostali porażeni prądem lub przez przypadek zadźgali się nożem, a ja próbuję ich nie słuchać, ponieważ ogarnia mnie panika na myśl, ile istnieje sposobów utraty życia.

– Na pewno słyszałyście tę piosenkę – mówi Danielle. – *Dumb Ways to Die*^[3]. Na jednym *talent show* wykonałam ją z koleżanką. Nauczyłyśmy się całego tekstu na pamięć. Zaraz wam ją znajdę. Poczekajcie. – Wyciąga z kieszeni telefon i uruchamia go. – Kiepski sygnał, dajcie mi chwilę. Zaraz. Wiadomość od taty. Ależ on jest, kurna, beznadziejny. Nie pamięta, gdzie trzymamy żarówki.

Zerkam na swój telefon i odczytuję wiadomości od mamy z dziś rana. Ona na pewno nie jest beznadziejna. Jest ogarnięta i dobrze zorganizowana. Tylko ta jej potrzeba, by wszystko szło zgodnie z oczekiwaniami, jest trochę męcząca. Odpowiadam jej w radosnym tonie, tak jak lubi. „Wszystko gra :) Dzisiaj mamy paintball”. Pies z apki MessageHound macha ogonem i jak

najszybciej otwieram wiadomość.

LUISA: Co sądzisz o Moorly Hill?

Błyskawiczna odpowiedź na pytanie, które wysłałam przed kilkoma minutami. Trochę mi głupio z powodu dziwnego dźwięku, który wydobywa się z mojego gardła, ale Danielle się nie odwraca. Czyżby zdołała mi odpisać w ciągu tych kilku sekund, gdy odpowiadała na wiadomość taty i szukała w necie piosenki? Wychylam się i zerkam na jej telefon. Kątem oka zauważam kolorową animację, z której Danielle śmieje się z dziewczynami. Odpinam pas i prawie wstaję, aby rozejrzeć się po minibusie. Joe siedzi z przodu obok instruktora. Nie widzę jego rąk, ale na pewno patrzy przed siebie. Na tylnym siedzeniu Brandon rozmawia z Jackiem. Zarówno Joe, jak i Brandon mieli wystarczająco dużo czasu, by wysłać szybką wiadomość i schować telefon.

W słowie „Morley” jest błąd. Czy to dlatego, że oszust się śpieszył, a może ma problemy z ortografią? Myślę, że mogę skreślić Fay z listy podejrzanych. To perfekcjonistka, typ, który czyta wiadomości przed wysłaniem. A już na pewno takie wiadomości.

Wjeżdżamy na rozległy zalesiony obszar bez zabudowań. Gdy bus się zatrzymuje, mogę sobie wyobrazić, że za chwilę otrzymam łuk i strzały, a potem zostanie mi wszczepiony nadajnik GPS. Dostaję od faceta imieniem Dave czarny kombinezon, kask, gogle i rękawice. Mamy schować wszelkie wartościowe przedmioty do szafki, łącznie z telefonem, i po chwili stajemy w kolejce po broń i kulki z farbą. Po raz ostatni sprawdzam telefon przed odłożeniem go do szafki. Czytam następną wiadomość od mamy. „Pieczemy z Oskarem ciasto!”.

Niebiescy przyjechali przed nami autokarem. Siedzą w pierwszej części ogrodzonego terenu, tak znudzeni czekaniem na nas, że nawet nie udają, że do siebie strzelają, tylko poopierali się o ogrodzenie. Dave przeprowadza kilkominutową rozgrzewkę, następnie dzieli nas losowo na grupy i rozdaje ochraniacze na szyję w czterech różnych kolorach dla każdej z grup.

Pierwsza gra polega na prostej eliminacji przeciwników. Gdy tylko któryś z zawodników zostaje trafiony, musi opuścić strzelnicę, a zwycięża drużyna,

której przedstawiciel zostaje na polu bitwy jako ostatni. Szybko trafiam dwie osoby, co daje mi taki zastrzyk adrenaliny, że moje ciało się rozluźnia i czuję się silna i zdeterminowana. Moja drużyna nie wygrywa, ale jestem jedną z ostatnich osób w grze.

Dave zaprasza nas do strefy piknikowej, gdzie mamy czekać na następną rozgrywkę, którą właśnie kończy inna grupa. Bardziej niż miejscówka na piknik na leśnej polanie do tego miejsca pasuje określenie „śródmiejskie pustkowie”. Jest tu kilka koślawych stołów piknikowych z powycinanymi inicjałami, parę kępek trawy i ogromna ilość petów. W pewnej odległości od siebie leżą bokiem trzy białe krzesła i wyglądają tak, jakby zostały wywrócone zimną i stały się częścią krajobrazu. Niebiescy rzucają się do stołów i zostawiają nam jeden, jakby dla grupy o specjalnych potrzebach. Przypomina mi to wydzielone miejsca w autobusie: dla osób starszych, niepełnosprawnych, kobiet w ciąży i grupy żółtych.

Danielle bierze krzesło, podciąga nogawki spodni i rozsiada się.

– Było ciężko, ja mam już dość.

– Zwycięzcy nigdy się nie poddają, a poddani nigdy nie zwyciężają – mądrzy się Joe.

– Ta, jasne. Dzięki za mowę motywacyjną. Jakbyś nie zauważył, nie jestem nawet w twojej drużynie.

Joe podchodzi do ostatniego wolnego stołu i siada na nim, opierając stopy na ławce. W ten sposób dosłownie się wywyższył.

– Czy ktoś z was chciałby omówić najlepszą paintballową taktykę? – pyta.

– Znam ciekawą teorię psychologiczną.

– Omówić? – Dziwię się. – Wydawało mi się, że wolisz bezpośrednio nakazywać ludziom, co mają robić.

Henry parska śmiechem.

– Gadaj, Joe. Jaka jest najlepsza strategia?

– Nie śpiesz się. Obserwuj i czekaj. A potem obserwuj i czekaj jeszcze trochę.

– Jakie to głębokie – rzucam.

Dave woła głośno:

– Czas uzupełnić płyny, brygada! – po czym wyjaśnia zasady następnej gry. Walczą dwie drużyny, a zadaniem każdej z nich jest przechwycenie flagi przeciwnika, która powiewa na szczycie ich drewnianego fortu.

Podążamy za Dave'em do strefy miejskiej, gdzie oprócz fortów znajdują się wszelkiego rodzaju wraki, łącznie ze spalonym samochodem. Ta gra okazuje się mniej chaotyczna niż poprzednia i wymaga skradania się. Dzięki dobrej współpracy moja drużyna przechodzi do następnej rundy.

Finał rozpoczyna się spokojnie. Pierwsze kilka minut spędzam, czołgając się po ziemi, i przeciskając się między samochodami do schronu zrobionego ze starego przystanku autobusowego i kilku metalowych paneli.

Brandonowi i Kerry, którzy również są w mojej drużynie, udaje się przebiec przez otwarte pole i ukryć za ścianą kubłów na śmieci, nieco bliżej fortu przeciwników. Na kilka sekund robi się przedziwnie cicho, ponieważ nikt się nie rusza.

Wreszcie podnoszą się krzyki i rozlegają strzały, a gdy wyglądam przez wąską szparę między panelami, widzę, że nie wiadomo skąd pojawił się reprezentujący moją drużynę chłopak z grupy niebieskich i udało mu się wyeliminować dwóch przeciwników patrolujących fort. Kilkoma szybkimi ruchami wbiega na drewnianą konstrukcję, podczas gdy przeciwnicy próbują z całych sił go zestrzelić. Ma niesamowity fart, że nikt go nie trafia. W końcu wyciąga flagę z mocowania i macha nią triumfalnie.

Koniec gry. Wygraliśmy.

Wychodzę ze swojego schronu i czuję, jak ktoś chwyta mnie od tyłu. Po chwili czyjaś ręka blokuje mój kark i robi mi się niedobrze. Nie mogę iść prosto, dlatego zataczam się, tracę równowagę i daję się pociągnąć.

Narasta we mnie panika niczym potrzeba wymiotowania.

– Mam zakładniczkę – woła napastnik. To Joe. – Wymienię ją za flagę!

– Niezła próba. – Ktoś komentuje. Nie wiem kto, ponieważ mam unieruchomioną głowę. Dlaczego nikt go nie powstrzymuje?

– Puszczaj – warczę, kopiąc w tył. Moje kopnięcie na niczym się nie

zatrzymuje, więc zaczynam się szarpać. Dłonie na mojej szyi zaciskają się mocniej i jestem przerażona, że nie będę w stanie oddychać. Jeszcze kilka sekund, a stracę przytomność.

– Dobrze, już wystarczy. Puść ją – nakazuje Dave.

– Powiedz „proszę” – szepcze mi Joe do ucha. Potrafię sobie teraz wyobrazić pozycję, w jakiej stoi. Na kilka sekund przestaję stawiać opór, a po chwili sprawnym ruchem uderzam go łokciem w strefę krocza.

– Suka! – W końcu mnie puszcza i odchodzi do swojej drużyny.

– Masz jakiś problem? – krzyczę. – Trzymaj się ode mnie z daleka!

Joe prostuje się i oddala, kręcąc głową. Siadam na kubie na śmieci. Jestem roztrzęsiona i spocona.

– Zbierzcie się wszyscy – woła Dave i przywołuje mnie gestem ręki.

Zwlekam możliwie jak najdłużej. Dave mówi:

– Wiem, że porażki bywają trudne. Wiem, że kilka osób dostało zastrzyk adrenaliny podczas gry w paintball, ale proszę was o opanowanie, dobrze? Ty – wskazuje palcem Joego – masz przeprosić tę dziewczynę za to, że przesadziłeś.

– Naprawdę? Tylko się wygłupiałem, ale nie ma sprawy. – Joe unosi rękę i macha do mnie. – Przepraszam, jeśli źle mnie zrozumiałaś.

Nie odpowiadam. Nawet nie kiwam głową. Dave jest zadowolony.

– Tak lepiej. Nie chcę już być świadkiem podobnego zachowania. A teraz czas na lunch.

– Co zrobił Joe? – pyta Brandon, który pojawia się obok mnie, gdy idziemy w stronę zaparkowanego przy wjeździe do ośrodka vana z cateringiem. – Skrzywdził cię?

– Wziął mnie na zakładniczkę. Chciał, żebym błagała o uwolnienie – mówiąc to, masuję szyję w miejscu, do którego przycisnął rękę. – Może zrobił to dlatego, że wcześniej mu się sprzeciwiłam.

– To głupek.

Każdy z nas dostaje soczystozielony napój, plastikowy pojemnik

z frytkami i zmiądzoną rybą oraz kilka saszetek keczupu. Taki lunch mamy zjeść w strefie piknikowej. Większość żółtych od razu rzuca się do piknikowego stołu, po cztery osoby na stronę. Jest między nimi Joe. Słyszę, jak głośno opowiada o zdrowej żywności i o tym, że zwykle stara się utrzymywać makrobiotyczną dietę, cokolwiek to oznacza. W ogóle nie patrzy w moją stronę.

Brandon dołącza do Jacka i Nate'a, którzy siedzą po turecku na ziemi. Podchodzę do nich. Po tym, co się stało, nie mam zamiaru zbliżyć się do Joego. Frytki są blade i wiotkie, a ryba pływa w oleju. Zamykam pudełko.

– Paskudne jedzenie, co? – mówi Jack, połykając wielką frytkę. – Nie dziwię się, że nie jesz.

Nie chodzi tylko o jedzenie. Nadal jestem w szoku. Czuję się poniżona. Nawet nie chcę sobie wyobrazić, jakim Joe byłby chłopakiem. Na zewnątrz pełen uroku, a wewnątrz wściekły. Dominujący. Wzdrygam się na wspomnienie jego nieustępliwych dłoni na skórze. A ja, głupia, powiedziałam mu o sobie wszystko już pierwszego dnia.

– Idę do szafki sprawdzić telefon – oznajmiam chłopakom. – Gdyby Dave pytał, jestem w toalecie.

– Co się dzieje? W busie cały czas go sprawdzałaś – zauważa Brandon.

Dlaczego mnie obserwował? Poza tym co go to obchodzi?

– Nic. – Wstaję. – Mama się denerwuje. To wszystko.

Telefon rozgrzał się niemal do czerwoności z powodu wysokiej temperatury w szafce. Odsuwam się od cuchnącej toalety i siadam na stercie drewna. Nikogo nie widzę w zasięgu wzroku, a mimo to bez przerwy się rozglądam. Włączam telefon i ponownie odczytuję ostatnią wiadomość z błędem. „Co sądzisz o Moorly Hill?”.

Drewno lub wilgotna ziemia, na której leży, śmierdzi zgnilizną, ale i tak jest tu lepiej niż przy toaletach. Poza tym mam zasięg, a potrzebuję dowiedzieć się czegoś więcej na temat Joego. Google nie odpowie mi na pytanie, czy to on wysłał do mnie wiadomości, ale może wyjaśnić jego idiotyczne zachowania.

Jest członkiem klubu wspinaczkowego, wygrał też zawody surfingowe w Cornwall. W profilach w mediach społecznościowych ma poustawiane filtry prywatności. Pozostałe informacje okazują się dotyczyć innych osób o tym samym imieniu i nazwisku.

Zaciskam mocno powieki. „Myśl. Myśl!”. Jak miała na imię jego dziewczyna? K... Kate, Kylie. *Kyra*. Nie pamiętam, skąd pochodziła, ani niczego innego. Wyszukuję po jej imieniu oraz słowach kluczowych „samobójstwo” i „znęcanie się”. Jakiś czas czekam na załadowanie wyników. Przebiegam wzrokiem po ekranie, ale nie widzę niczego, co mogłoby pasować do byłej dziewczyny Joego. Przechodzę do kolejnej strony, i kolejnej. Czyżby to zmyślił? Zmienił jakieś fakty? Każda z osób, które tu przyjechały, została skierowana przez szkołę, terapeutę albo innego specjalistę. Nie mógł nas okłamać.

„Prześladowana dziewczyna odbiera sobie życie”.

Kiedy klikam link i widzę zdjęcie, rozpoznaję *Kyrę*. Ma na sobie szkolny mundurek i spięte włosy. Uśmiecha się w typowy sposób jak do szkolnej fotografii. Jest zawstydzona i nie pokazuje zębów.

Nie wiem, czego mam się spodziewać, ale czytam artykuł. *Kyra* mieszkała z mamą i starszym bratem. Wzięła śmiertelną dawkę leków przeciwbólowych dziadka. Po jej śmierci okazało się, że wcześniej zrobiła sobie zdjęcie nago i wysłała do kolegi ze szkoły, który udostępnił je dalej i wkrótce stało się hitem okolicy.

Czytam też wypowiedź jej mamy:

„Rodzina jest w szoku. *Kyra* zostawiła liścik, w którym napisała, jak bardzo jest jej wstyd, ale przecież nie miała się czego wstydzić”.

Cytowana jest także dyrektorka szkoły, która opisuje *Kyrę* jako sumienną, lubianą uczennicę i łączy się w bólu z jej rodziną.

Na końcu artykułu jest wzmianka o pogrzebie, „skromnej, rodzinnej ceremonii”, oraz to oficjalnym pożegnaniu wyznaczonym na dwa miesiące później, czyli na dzień „niedoszłych szesnastych urodzin dziewczyny”.

Czytam to zdanie jeszcze raz. Joe mówił, że szesnaste urodziny *Kyry*

wypadałyby wczoraj. Przypominam sobie jego brak emocji przy śniadaniu. O co mu chodziło? Może wymyślił sobie urodziny, ponieważ dzień wcześniej świętował je Brandon?

Szukam innych artykułów na podstawie kluczowych słów, jakie znalazłam w pierwszym. Znajduję jeden znacznie krótszy, wydrukowany w przeddzień ostatniego pożegnania. Powiększam załączone zdjęcie tak mocno, jak tylko się da. Podpis brzmi: „Rodzina i przyjaciele Kyry pragną uczcić jej życie”. Na zdjęciu znajduje się grupa ludzi wchodzących do kościoła ze spuszczoneymi głowami, w ciemnych płaszcach i szalikach. Od razu rozpoznaję Joego. Z obu stron trzymają go pod ręce dwie dziewczyny.

21

Zaraz po powrocie do pokoju w Morley Hill jako pierwsza wchodzę pod prysznic. Danielle jest na mnie wściekła, ale ignoruję ją i strumieniem wody zagłuszam głośne monotonne przeboje dyskotekowe, które odtwarza na swoich przenośnych głośnikach. Telefon zostawiłam na umywalce, tak by móc raz na jakiś czas sprawdzić, czy ekran podświetla się po odebraniu wiadomości. Fay wraca do pokoju, kiedy jestem już przebrana w krótkie spodenki i T-shirt i grzebię w walizce w poszukiwaniu kreacji na dzisiejszą dyskotekę. Znajduję jedyną sukienkę, którą spakowałam. Jest czarna, gładka, bez rękawów. Pewnie nie będzie na mnie leżała tak dobrze jak dawniej. Jak wtedy, gdy byłam szczuplejsza, bardziej wysportowana, inna. Narzucam ją na walizkę, by nie pogniotła się jeszcze bardziej niż w środku.

– Jak poszło na paintballu? – pyta Fay, rzucając podręcznik na łóżko.

– Dobrze, dopóki Joe nie wziął mnie na zakładniczkę, niby w żartach.

– Naprawdę? Nie potrafiliście zrobić czegoś tak podłego. Jest przeciwny przemocy w każdej formie.

– Sprawdziłam w necie tę jego dziewczynę. – Zależy mi na tym, by Fay zrozumiała, jaki naprawdę jest Joe. – W lokalnej gazecie znalazłam artykuł, z którego wynika, że Kyra miała urodziny w październiku, nie w lipcu.

Fay krzywi się.

– Musieli się pomylić. Nie można wierzyć gazetom.

– Ale tam było napisane, że ostatnie pożegnanie zostało specjalnie przesunięte na dzień jej szesnastych urodzin. W takim kontekście chyba trudno o pomyłkę, prawda?

– Musi być jakieś wytłumaczenie. – Fay mruga oczami i wpatruje się w dal. – Spytałam go. Na pewno mi to wyjaśni. Wiem, że tak zrobi.

Nie tego oczekiwałam. Miałam zamiar podejść Joego, ale skoro Fay sama to zaproponowała, proszę bardzo. Odzywa się mój telefon, oznajmiając przychodzącą wiadomość. Sprawdzam ekran dwukrotnie. Mama.

Fay siada na łóżku po turecku, a następnie podciąga nogi. Wygląda, jakby przybrała pozycję jogi, która kojarzy mi się z popularnym wyzwaniem ułożenia ciała tak, by zajmowało jak najmniej przestrzeni. Zauważam, że pod jednym łokciem trzyma swojego obrzydliwego pluszowego królika. Czy ona... to niemożliwe... go *wącha*?

Gdyby była w wieku Oskara, usiadłabym obok niej i przeprosiła, że naskoczyłam na Joego, wiedząc, jak bardzo go polubiła. Ale zrobiłam to, aby ją ostrzec, ponieważ mimo że jest nieco wkurzająca, posiada pewne cechy, które mi się podobają i które rozumiem. Ma głębsze przemyślenia na różne tematy niż większość ludzi, ale widzę, jak męczy i paraliżuje ją poczucie winy. Do tego stopnia, że jedzenie i wykonywanie zadań stało się dla niej czymś problematycznym.

– Jak chemia? – pytam z łóżka po drugiej stronie pokoju. Strony podręcznika są szare od częstego otwierania i zewsząd wystają jaskrawe karteczki z notatkami.

– Nie mogłam się skoncentrować. Myślałam o tacie i o wypadku. Czasami tak się wstydzę, że nie umiem myśleć o niczym innym.

– To musi być okropne. – Jestem zbyt tchórzliwa, żeby powiedzieć „wiem, co czujesz”. Opieram się o poduszkę, ściskając telefon.

– Co by było, gdybym się z nim nie pokłóciła? Gdybym nigdy nie wsiadła do samochodu? Gdybym postanowiła zrezygnować z lekcji fletu albo wybrała autobus? – Gdyby zaczęła mrugać oczami jeszcze szybciej, mogłaby dostać jakiejś stroboskopowej padaczki. – Byłam zła, bo nie dał mi spokoju, gdy tego potrzebowałam. Nie mógł przerwać rozmowy telefonicznej z kolegą – mówiąc to, Fay chwyta się za głowę, a królik upada jej na kolana.

Nie ma pojęcia, jak bardzo utożsamiam się z jej sytuacją i jak bardzo nękają mnie pytania typu „co by było, gdyby” i „dlaczego tego nie zrobiłam”. Jednak nie potrafię być równie otwarta jak ona.

Drzwi łazienki otwierają się tak szeroko, że uderzają w ścianę. Danielle

staje z rękami na biodrach w swoim szlafroku w stylu kimona.

– Skye, używałaś mojej odżywki?

– Eee, tak. Przepraszam. Moja się skończyła.

– Trzeba było zapytać. – Po chwili ze spóźnionym zapłonem atakuje Fay:

– A tobie co?

– Nic. – Fay unosi głowę. – Tylko sobie myślę.

– Nie myśl za dużo. Źle ci to robi. – Danielle sięga po leżącą na jej szafce szczotkę do włosów. – Boże, aż strach pomyśleć, jaką klapą będzie dzisiejsza dyskoteka. Plus jest taki, że mam szansę nagrać kilka niezłych momentów. – Bierze do ręki telefon. Dobrze by było, gdyby odpuściła sobie to filmowanie, ale gdybym się poskarżyła, Pippa mogłaby wprowadzić zakaz używania komórek, a tego bym nie zniosła.

Ignoruję Danielle i oglądam strupek na kolanie.

– Tak przy okazji – wtrąca Fay – Pippa kazała ci przypomnieć, że za pół godziny jest wykład o budowaniu odporności.

Budowanie odporności kojarzy mi się z chorobą.

– To nie moja bajka – rzucam.

Nagle z głośników wylewa się głośna muzyka Danielle.

– Boli mnie głowa – żali się Fay. – Mogłabyś założyć słuchawki?

Gdy już Danielle niechętnie podłączyła słuchawki, a Fay położyła się pod oknem, by kontynuować lekturę podręcznika, mogę wreszcie wrócić do telefonu.

Na fejsie i insta same zdjęcia znajomych na wakacjach. Baseny, grille, szalone desery lodowe, żaglówki, uśmiechnięte twarze. Annika jest z rodziną na Cyprze. Wrzuciła zdjęcie epickiego skoku jej taty na płasko do basenu. Basen jest pełnowymiarowy. Musi taki być. Annika tam trenuje. Utrzymuje rytm. Większość ubrań, które ma na sobie na zdjęciach, widzę po raz pierwszy. Wyobrażam sobie wszystkie te wyprawy na zakupy, w których nie uczestniczyłam.

Kiedy Fay wychodzi na wykład, a Danielle znika, by odbyć prywatną rozmowę telefoniczną, postanawiam wygooglować każdą osobę z grupy

żółtych, której nazwisko pamiętam z formularzy przy zapisach.

Co za ironia. Jak na kogoś tak gorliwie zakłócającego prywatność innych Danielle jest w sieci prawie anonimowa, poza wzmianką o niej w jednym artykule. Została nominowana do nagrody fundowanej przez stowarzyszenie młodych opiekunów za opiekę nad tatą – inwalidą oraz mamą, zanim ta zmarła na raka trzustki. To jeszcze nie oznacza, że nie włamała się na konto MessageHound. Poza tym nie znajduję niczego, co mogłoby wskazać lub wyeliminować z kręgu podejrzanych kogokolwiek innego.

Pozwalam sobie na szybki przegląd zdjęć w apce MessageHound. Na chwilę, w której mogę poudawać, że wszystko jest tak, jak dawniej, gdy Luisa była na drugim końcu każdej wiadomości. Znajduję zdjęcie jej stopy, które zrobiła, aby pokazać mi siniaka, którego sprawił jej ktoś, nadeptując ją na imprezie. Wiem, że pochodzi z ubiegłego lata, ponieważ rozpoznaję czerwono-różowe paznokcie. Przenoszę wzrok na swoje, pomalowane tak samo. Na kilku z nich popękał lakier. Chyba powinnam pomalować je innym kolorem. Ta myśl pociąga za sobą falę smutku.

Kiedy zbliża się wieczór, nie jestem pewna, czy będę w stanie przetrwać dyskotekę w towarzystwie mnóstwa dzieciaków z obozu, których nie znam, i kilku, które poznałam w stopniu minimalnym. Nie zapominam też o Joem. Jednak alternatywa jest taka, że zostanę w pokoju z Fay, która mówi, że nie może iść, ponieważ nie znosi głośnej muzyki, a poza tym jest zmęczona.

– Powinnaś pójść chociaż na chwilę – mówię bardziej do siebie niż do niej.
– Jeśli będzie okropnie, zawsze możesz wrócić. Przecież nie musisz czekać na autobus czy rodzica, który po ciebie przyjedzie, prawda? – mówiąc to, chwytam sukienkę na wysokości talii i rozwijam materiał, by sprawdzić, jak jest ciasna. Muszę przyznać, że dość mocno mnie opina.

– Joe też będzie, prawda? – pyta Danielle. – Myślałam, że już samo to wystarczy, żeby cię zachęcić. – Sprawdza ostry makijaż w małym lusterku, a ja zastanawiam się, kto teraz opiekuje się jej tatą. I czy Danielle ufa tej osobie.

Odzywa się mój telefon.

– Wkurza mnie ten piskliwy sygnał – komentuje Danielle. – Może byś go zmieniła na odgłos kaczki czy coś podobnego?

Patrzę na nią. Czyżby zaprogramowała wysłanie tej wiadomości? Korci mnie, by ją otworzyć, ale nie chcę tego robić w jej obecności.

Fay wsuwa stopy w błyszczące baletki z gumowym paskiem trzymającym stopę. Takie buciki często noszą ślubne drużyny. Te dziesięcioletnie.

– Idźcie, dogonię was – oznajmiam. – Muszę odpisać mamie.

– Mogę zaczekać – mówi Fay.

– A ja idę – postanawia Danielle. – Do zobaczenia. – Mija mnie i wychodzi.

Fay stoi przy łóżku, podczas gdy otwieram wiadomość, starając się przy tym, by moja twarz nie pokazywała żadnych emocji.

LUISA: Nie zapomnij.

– Skye? Skye! Czy z twoją mamą coś nie tak?

– Słucham? – Widzę, że Fay podchodzi bliżej, krzywiąc się ze zmartwienia. – Nie, nie. Wszystko w porządku. Chodźmy już.

Nie zapomnij... o Luisie? Czy o czymś innym? Dwa proste, ale i zagadkowe słowa, które przyprawiają mnie o dreszcze, gdy kroczę ścieżką obok Fay w ten wilgotny wieczór.

Trzeba przyznać, że ktoś się postarał, by zamienić główną jadalnię w coś przypominającego salę klubową. W oknach pojawiły się czarne zasłony, ustawiono światła i powieszono lustrzaną kulę. Jest profesjonalny didżej, a przynajmniej żywa osoba odpowiedzialna za muzykę. Nikt jeszcze nie tańczy, ale pomieszczenie jest pełne. W mroku dostrzegam, że wszystkie stoły z jadalni zostały wyniesione.

Kiedy wchodzimy, Fay chwyta mnie za rękę i szepcze:

– Nie zostawiaj mnie, dobrze?

– Jasne, nie martw się – zapewniam i trochę robi mi się jej szkoda.

Wszyscy żółci siedzą przy jednym stole. Danielle załapała się na ostatnie wolne krzesło, obok Brandona. Joe rozmawia z Alice. Pewnie daje jej dobre

rady i podtrzymuje swój wizerunek dżentelmena.

– Zaczekaj. – Powstrzymuję Fay przed podejściem do grupy. – Nie mają wolnych krzeseł. Usiądźmy gdzieś indziej.

– Gdzie?

Rozglądamy się i w końcu Fay woła:

– Patrz. – Widzę, że Brandon do nas macha. Zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć, Fay jest już w połowie sali.

„Oddychaj. Wdech przez nos, wydech przez usta”.

– Tutaj, Skye! – Brandon proponuje mi pół swojego krzesła. Alice przesuwa się i siada na kolanach Kerry, a Fay zajmuje zwolnione miejsce, choć byłoby sensowniej, gdyby to Fay usiadła komuś na kolanach, skoro jest zdecydowanie najłżejsza w naszym towarzystwie.

Joe przysuwa swoje krzesło bliżej niej.

– Jak się czujesz? – pyta.

Wciskam się na krzesło obok Brandona, próbując ocenić, jak bardzo będzie mi z niego wystawać tyłek. Brandon pachnie zdecydowanie lepszym dezodorantem niż przeciętny chłopak. Ma na sobie dżinsy i koszulę z czarno-białym nadrukiem przedstawiającym kwiaty.

– Dostałem ją w prezencie – tłumaczy, widząc, że się jej przypatruję. – Normalnie takich nie noszę.

* * *

Wszyscy wyśmiewają okropną muzykę. Jack bawi się na stole pudełkami po pringlesach, a Brandon demonstruje, jak połączyć chipsy, by utworzyły duży pierścień. Kiedy już zrobiliśmy zdjęcia, ktoś popycha budowlę, która rozpada się i chipsy lądują na czyichś kolanach, na stole i na podłodze. Danielle wyciąga z torebki butelkę wódki, bierze łyk i częstuje Kerry.

– Podaj dalej – mówi. Muzyka nieco się poprawia i kilka osób idzie potańczyć, a niebawem dołączają do nich następne. Przesiadam się na wolne krzesło.

– Lubisz tańczyć? – zwraca się do mnie Brandon, który musi podnieść głos, abym go usłyszała.

Gestem ręki pokazuję: „Średnio. Zależy”. Spoglądam w stronę Fay, która zauważa moje spojrzenie. Kiwa głową, co oznacza: „Czuję się dobrze z Joem. Możesz mnie zostawić”.

– No chodź! – proponuje Brandon. Nawet nie udaję, że się waham, ponieważ uwielbiam ten pozytywny kawałek, trochę się wyluzowałam i naprawdę chcę z nim zatańczyć. Już teraz wiem, że nie wstydzę się tańczyć, że robi to dlatego, ponieważ lubi rytm i muzykę, i dobrze się przy tym bawi. Jest jedną z osób, których pewność siebie wzrasta na parkiecie.

Nie myślę o niczym, tylko śpiewam durne słowa piosenki, unoszę ręce i czuję, jak moje ciało się rozluźnia. Brandon bierze mnie za rękę, obraca i wywija piruety, a potem tańczymy naprzeciw siebie, naśladując swoje ruchy. Śmieję się, gdy nie potrafię za nim nadążyć. Tańczymy do upadłego, a kiedy didżej puszcza wolną piosenkę, czuję na plecach dłońe Brandona i wszystko inne przestaje istnieć. Jesteśmy tylko ja i on. Uwielbiam, jak na mnie patrzy głębokim, rozmarzonym wzrokiem, tak jakbym była warta tego spojrzenia. Moja skóra jest niesamowicie wrażliwa na jego dotyk. Pragnie go więcej. Nie miałabym nawet nic przeciwko, gdyby Danielle nas nagrywała.

– Najlepszą rzeczą, jaka mnie spotkała w tym tygodniu, było poznanie ciebie – szepcze Brandon. – Oczywiście trochę kiepsko, że musieliśmy spotkać się tutaj – mówiąc to, podnosi wzrok na jadalnię i Morley Hill, komentując w ten sposób znaczenie tego miejsca dla nas dwojga. – Przy tobie nie muszę cały czas udawać, że dobrze sobie radzę.

Kiwam głową.

– Ty przy mnie też czujesz się sobą, prawda?

Mam w sobie pustkę. Nie potrafię mówić, więc tylko się sztucznie uśmiecham. Brandon przysuwa się bliżej, na tyle, że czuję na twarzy dotyk jego włosów. Kiedy kończy się piosenka, mówię:

– Chce mi się pić. Przyniosę nam coś.

– Pójdę z tobą.

– Nie trzeba – stwierdzam i odchodzę, nie dając mu szansy na reakcję. Przy stoliku z napojami pozwalam innym osobom wpychać się przede mnie, a później bez końca oglądam, co mam do wyboru, i udaję, że nie potrafię się zdecydować. Nie byłam szczerą z Brandonem. Nie pokazałam mu, kim jestem naprawdę. Osobą, która woli kłamać, niż przyznać się do tego, jaką rolę odegrała w śmierci swojej siostry. Osobą, która nie ufa ludziom. On zasługuje na kogoś znacznie lepszego. Powinien mierzyć wyżej.

Przynoszę puszki do naszego stolika, który teraz jest pusty. Nie ma nawet Fay. Musiała wrócić do pokoju. Brandon podchodzi do mnie tanecznym krokiem, z przesadnie sugestywnymi ruchami.

– Nie czuję się najlepiej – mówiąc to, wręczam mu napój, taki sam, jaki pił wczoraj po quizie. – Napiję się i będę musiała iść do siebie.

Kolejne kłamstwa. Brandon chce mnie odprowadzić, ale kręcę głową.

– Zostań i baw się dobrze. – Odwracam się, żeby nie patrzeć na jego twarz, ale i tak zdążyłam dostrzec w niej zawód.

Parkiet jest przepełniony. Gra skoczna piosenka, a na skraju roztańczonego tłumu jakaś para kołysze się w uścisku. Chłopak jest wysoki i umięśnionymi ramionami obejmuje znacznie niższą, szczupłą dziewczynę. Praktycznie wciska ją w swoją klatkę piersiową. To Joe i Fay.

22

– Znam wyjaśnienie – mówi łagodnym tonem Fay.

Otworzyłam oczy nie dalej jak przed pięcioma sekundami. Fay siedzi na łóżku, czyta podręcznik do chemii i nie mam pojęcia, o czym teraz mówi. W łóżku między nami Danielle leży nadal bezwładnie pod kołdrą i ciężko oddycha. Na zewnątrz słychać dźwięki rozpoczynających pracę instruktorów i personelu. Trzaskanie drzwiami. Ktoś krzyczy coś o splątanej siatce do badmintonu.

– Kyrze nie podobało się, że jej urodziny są w październiku, bo pozostali członkowie rodziny obchodzili swoje w tym samym miesiącu – tłumaczy Fay. – Dlatego postanowili, że razem z Joem będą je świętować w lipcu. Taka ich wspólna tradycja. Moim zdaniem to słodkie.

Pocieram oczy, by wyostrzyć wzrok. Niby to jakieś wyjaśnienie, ale chyba go nie kupuję.

– Jak długo ze sobą chodzili? Ile trwała ta ich tradycja?

– Nie wiem, ale Joe powiedział, że to tradycja, i mnie to wystarczy.

– Zastanawiam się, dlaczego Kyra wysłała nagie zdjęcie do tego chłopaka, skoro chodziła wtedy z Joem. Może chciała z nim zerwać?

Fay ze złością kręci głową.

– Została wrobiona.

– Jak to?

– Nie wiem, ale Joe twierdzi, że to nie twój interes.

Czuję się, jakbym dostała w twarz. Sięgam po telefon. Brak wiadomości.

Na śniadanie idę sama. Fay mówi, że wczoraj przez większość dnia źle się

czuła, ponieważ zmusiła się do jedzenia śniadania, i dzisiaj nie zamierza popełniać tego błędu. Ja też nie mam zamiaru się obżerać, ale chcę wyjść z pokoju.

Na schodach prowadzących do głównej jadalni zatrzymuje mnie Pippa.

– Skye, miałam nadzieję, że cię zobaczę. Szkoda, że nie udało ci się wczoraj dotrzeć na wykład o odporności. Widzę, jak bardzo jesteś przywiązana do swojego telefonu.

Rzucam jej wściekłe spojrzenie. Za nic w świecie nie pozwolę go sobie skonfiskować.

– Rozmawialiśmy o wadach i zaletach mediów społecznościowych i forów internetowych.

Czy Pippa wie coś o moich wiadomościach w aplikacji MessageHound?

– Porównywaliśmy wartość przyjaciół w realnym świecie i nieznajomych w świecie wirtualnym – ciągnie Pippa.

Próbuje mnie ostrzec? Staram się nie pokazywać żadnych emocji.

Grupa dziewczyn idzie trawnikiem w stronę głównej jadalni. Stoimy na ich drodze.

– Przeprowadzono bardzo ciekawe badania na temat mediów społecznościowych i żałoby. Sama też zajmuję się tym tematem. – Pippa zerka na zbliżające się dziewczyny. – W każdym razie to były udane warsztaty. Postaraj się przyjść na następne spotkanie. Myślę, że ci się to przyda.

Kiwam głową i szybko wchodzę do jadalni, zanim zostaną wchłonięta w tłum dziewcząt. Kiedy staję w kolejce do bufetu, myśli wirują mi w głowie. Czy Pippa próbuje mnie przygotować do wzięcia udziału w jakimś chorym eksperymencie?

Nie, chyba już całkiem popadłam w paranoję.

Biorąc tacę ze stosu, przypominam sobie o Nicu. Tracę kontrolę nad ciałem i moja taca ląduje na podłodze. Dlaczego do tej pory nie podejrzewałam Nica? Niedługo kończy odbywać krótki wyrok. Miał dobrego prawnika. Podnoszę ponownie tacę, ale muszę próbować kilka razy, zanim

udaje mi się ją odpowiednio mocno chwycić. Jest jeszcze mężczyzna odpowiedzialny za zabójstwo Luisy. Czy więźniowie mają dostęp do internetu? Może zostałam oznaczona na czymś Instagramie lub Twitterze w tej kraciastej koszuli i mój prześladowca to widział? A może to ktoś z drużyny pływackiej? Ile osób mogło mnie wtedy tak bardzo nienawidzić?

Ręka trzęsie mi się tak, że więcej płatków ląduje na tacy niż w misce. Polewam płatki mlekiem i szukam wolnego stolika. Chciałabym usiąść sama, ale Kerry siedzi ze współlokatorami Joego i Rohan gwizdże, aby mnie zaprosić. Przynajmniej nie ma z nimi Joego.

– Joe poszedł pobiegać – informuje Henry. – Dziś rano obudził się w doskonałym nastroju. Nie mam pojęcia dlaczego.

Kerry się śmieje.

– Założyłam się z Alice, że Skye i Brandon zostaną pierwszą parą w naszej grupie, i niewiele się pomyliłyśmy! Wygrali Fay i Joe. Ach. – Przechyliła głowę na bok i robi egzaltowaną minę. Nie wyczuwam w jej tonie sarkazmu. – Fay zrezygnowała dziś ze śniadania?

– Aha, czyta w łóżku – oznajmiam. Mieszam płatki i wyglądzam je łyżką tak, by zanurzyły się w mleku niczym zatopione miasto.

– Słodko razem wyglądają, prawda? – pyta Kerry. – Ona nieśmiała, szczupła i mądra, on potężny, pewny siebie i wysportowany.

Chłopaki potakują.

– Joe naprawdę ją polubił – potwierdza Rohan.

Czyżbym jako jedyna nie uważała, że ci dwoje tworzą dobraną parę?

Po śniadaniu nie wracam od razu do pokoju, ale siadam na ławce i rozmyślam o Luisie i Nicu i o tym, że nikt nie widział, że coś jest nie tak, aż było za późno. „Nie zapomnij”, brzmiała ostatnia wiadomość. Otwieram aplikację i piszę:

SKYE: Wszystko pamiętam.

Następnie sprawdzam prognozę pogody. Zachmurzenie, ale ciepło. Dziesięć procent prawdopodobieństwa deszczu.

W dniu śmierci Luisy było gorąco i parno. Dla mamy ten dzień rozpoczął się źle. Zapomniała, że przypada jej kolej przygotowania kawy i ciastek na spotkanie grupy wsparcia związanej z Oskarem. Brat umówił się na niewinną randkę, ale ona martwiła się, że dziewczyna zarazi go jakąś grypą i przez to nie będzie mógł być operowany. Postanowiła mu sprawdzić temperaturę w obawie, że już gorączkuje. Próbowała nakłonić tatę, aby został z nim w domu, ale on miał ważne spotkanie z księgową i zaczął na nią krzyczeć, że nie zauważyła, że jest spóźniony. Na domiar złego nie była gotowa na przyjęcie koleżanek, które miały się u nas zatrzymać na jedną noc w drodze na wakacje, a jakiś lis znowu zrobił kupę na trampolinie.

Słyszałam to wszystko, leżąc w łóżku.

Mama weszła do mnie i kazała mi wstać, ubrać się i na początek razem z Luisą posłać łóżka w pokoju dla gości. Następnie poszła do Luisy i powtórzyła jej to samo. Trzaśnięcie drzwiami wejściowymi miało oznaczać, że nie żartuje.

– Lepiej się czujesz, Skye?

Głos Brandona przywraca mnie do rzeczywistości. Musiał zjeść śniadanie niesamowicie szybko albo poszedł do jadalni tylko po bułkę, którą trzyma w dłoni.

– Aha, a ty?

– Też. – Siada obok mnie na ławce. Gdyby zapytał, czy mam coś przeciwko, sama nie wiem, co bym mu odpowiedziała. Wyciąga przed siebie długie nogi, ukazując doskonałe, kształtne kolana i łydki.

– Mam nadzieję, że wczoraj wieczorem nie powiedziałem niczego głupiego, co mogłoby cię... zdenerwować...

– Nie, nie. Wcale nie. Ja tylko...

– Skye – przerywa mi. – Masz chłopaka?

To mnie zaskoczyło.

– Eee, nie mam. Wczoraj nie czułam się najlepiej, ale dziś jest już w porządku.

– Okej. – Teraz to on wygląda na zażenowanego. – W takim razie zobaczymy się przy ścianie wspinaczkowej. – Podnosi się, a ja powstrzymuję się przed tym, by wyznać mu wszystko o wiadomościach i o tym, że nie spróbowałam uratować Luisy. I jeszcze, że bardzo go polubiłam. Ale to by wymagało zaufania, a ja nie mogę sobie pozwolić na popełnienie kolejnych błędów.

– Dobrze – odpowiadam głosem, który nie do zniesienia przypomina ton mamy, gdy zbyt usilnie próbuje sprawiać wrażenie radosnej i wesołej. – Do zobaczenia.

Kiedy Brandon odchodzi wystarczająco daleko, otwieram MessageHound.

SKYE: Już dłużej nie wytrzymam.

Odpowiedź przychodzi natychmiast.

LUISA: Dlaczego?

Podnoszę wzrok i widzę plecy Brandona zmierzającego do swojego pokoju. Je bułkę i jestem pewna, że nie korzystał z telefonu. Odprowadzam go wzrokiem do ścieżki, która wiedzie do jego budynku. Odpowiedź przyszła przed chwilą, a to oznacza, że Brandon nie może być tym, kto je pisze. Osoba podszywająca się pod Luisę zrobiła mi przysługę. Teraz mogę wyeliminować Brandona z kręgu podejrzanych.

Gdybym tylko mogła mu zaufać.

Na ekranie telefonu pojawia się zdjęcie, ponieważ nadal mam otwartą aplikację. To jakieś kwiaty. Białe kwiaty i zielone liście na drewnianym stole. Nie ma żadnego tekstu. Przypomina mi to wieniec z pogrzebu Luisy. Co to ma znaczyć? Że ja też zasługuję na śmierć?

23

Dzisiaj jest nasz ostatni pełny dzień przed powrotem do domów, a w planie mamy skok z dwudziestometrowej wieży w byłej bazie wojskowej. Plakaty rozwieszone w głównej jadalni opisują tę atrakcję jako adrenalinogenną przygodę polegającą na swobodnym spadku bez spadochronu czy liny dzięki wynalazkowi o nazwie powerfan, czyli wiatrakowi spowalniającemu spadanie. Właśnie to wzbudziło mój entuzjazm, gdy po raz pierwszy czytałam broszurę.

Ale najpierw czeka nas półtoragodzina wspinaczka na wewnętrzny mur Morley Hill. Instruktorzy proszą nas o opróżnienie kieszeni i umieszczenie ich zawartości w plastikowych pojemnikach próżniowych. Wrzucam do środka paczkę miętówek, ale telefonu jeszcze nie. Ściągamy buty i zakładamy śmierdzące i zniszczone obuwie do wspinaczki. Dostajemy kaski i mamy usiąść na dwóch ławkach w oczekiwaniu na swoją kolej.

Zaczynają Henry i Rohan. Obserwuję ich przez kilka minut, ale po pewnym czasie nie mogę już słuchać pokrzykującego na nich Joego, jakby był ich trenerem. Włączam telefon i oglądam zdjęcie białych kwiatów. Zastanawiam się, czy oznacza coś, czego jeszcze się nie domyśliłam, i ta myśl nie daje mi spokoju. Początkowo zakładałam, że prześladowca wykorzystał jakąś stockową fotkę, ale kiedy je powiększam, po jakości stwierdzam, że może być oryginalne. Widać na nim lekkie rozmazanie, jakby obiektyw aparatu był ubrudzony, a kwiaty nie są ułożone zbyt porządnie. Ktoś zadał sobie trud, żeby je kupić i położyć na stole do zdjęcia, co sprawia, że sytuacja jest jeszcze bardziej groteskowa.

– To było niesamowite. – Brandon zdejmuje kask i pociera czubek głowy, by poprawić fryzurę. – Widziałaś mnie na szczycie ściany? – Jest trochę spocony. I trochę na haju.

Waham się, zdziwiona, że zdążył już się wspiąć i zejść na dół.

– Nie wierzę! Byłaś zbyt zajęta swoim telefonem, żeby podziwiać moją chwilę chwały – żali się. Przygląda mi się uważniej. – O co chodzi?

– O nic takiego.

– Ktoś cię dręczy? Możesz mi powiedzieć. Naprawdę – to mówiąc, podchodzi bliżej i mówi tak, by nikt inny go nie słyszał: – Joe powiedział mi, że jego dziewczyna popełniła samobójstwo, bo była nękana w internecie. Że nikt się nie zorientował, jak poważny miała problem, aż pewnego dnia było za późno. Pokazał mi ich zdjęcie zrobione dzień przed jej śmiercią. Spędzili ze sobą cały dzień i w żaden sposób się nie zdradziła.

Joe bardzo pragnie uwagi.

– Brandon, nikt mnie nie nęka, rozumiesz? – „Raczej prześladowe”.

– Jesteś pewna? Bo gdyby jednak, to...

Zaintrygowana czekam, aż skończy zdanie, ale Brandon urywa myśl z grymasem.

– To co byś zrobił?

– Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, aby ci pomóc.

– Zawiadomiłbyś policję? Umieścił wpis na blogu? – Mówił tak szczerze, że nie mogłam się powstrzymać przed tym komentarzem.

– Przyznaję, że nie wiem, co bym zrobił, ale może masz rację. Wpis na blogu. Czemu nie? – Uśmiecha się. Tym uśmiechem rozwiewa nieco krępującą atmosferę, która towarzyszyła nam dziś rano.

– Jestem wzruszona.

Instruktorka mnie woła. Wstaję i chowam telefon do tylnej kieszeni spodenek, po czym zapinam ją na guzik.

– Powodzenia – woła za mną Brandon. – Pomachaj do mnie ze szczytu. Oczywiście jeżeli tam dotrzesz.

Już kiedyś się wspinałam, na przykład na przyjęciach z Anniką i resztą, którzy uwielbiali wszelkie atrakcje zapewniające adrenalinę. Ścianki wspinaczkowe, które zdobywałam, były łatwiejsze i nie tak wysokie. Poza

tym byłam wtedy lżejsza i bardziej wysportowana.

Po przypięciu mnie do liny instruktorka sugeruje, gdzie powinnam postawić stopy i położyć dłonie, a później muszę już radzić sobie sama. To nie może być takie trudne, skoro innym się udało. Postanawiam ruszyć najszybciej, jak potrafię, chwytając kolejno kolorowe plastikowe uchwyty i wypatrując następnych.

W domu mamy wiele zdjęć, na których chodzę po drzewach, po wielkich konstrukcjach na placach zabaw, na samym końcu liny pod sufitem sali gimnastycznej. Dawniej byłam nieustraszona, nie obchodziło mnie nic oprócz zdobywania szczytów i wygrywania wyścigów. A może wcale nie byłam nieustraszona? Może tak mi się wydawało, ponieważ miałam siostrę o całkowicie innych zainteresowaniach i małego brata, który nie mógł za bardzo biegać i się wspinać ze względu na wadę serca?

– Świetnie ci idzie! – woła instruktorka. – Już prawie jesteś.

Wyobrażam sobie dotknięcie szczytu. Widzę zabrudzenie w miejscu, do którego dotarli moi poprzednicy tą samą trasą. Z jakiegoś powodu wszystkie inne myśli przysyłania mi obraz kwiatów. Czuję pieczenie w ramionach, a moje dłonie są mokre od potu, przez co muszę łapać za uchwyty mocniej, by się nie ślizgały. Moje zeszywniałe palce walczą teraz z bólem i podciągają mnie bardzo powoli w górę, jak gada, który potrzebuje więcej słońca.

W tej fotografii jest coś, co nie daje mi spokoju.

– Dogoniłam cię – woła ktoś z prawej strony. To Danielle, która choć boryka się z wyszukiwaniem odpowiednich uchwytów, i tak wspina się szybciej ode mnie.

– Plus jest taki, że wspinając się, nie możesz mnie nagrywać – odpowiadam.

– Nagrywanie to nic osobistego. Lubię nagrywać absurdy. Ludzie zawsze wolą pamiętać ugrzecznoną wersję rzeczywistości.

– Nie lubią, gdy robi się z nich idiotów. – Jeszcze tylko trzy, może cztery plastikowe uchwyty i będę na szczycie.

– Woła nudę. – Danielle zatrzymuje się, by zastanowić się nad kolejnym ruchem. – Woła bezpieczny i nudny tryb życia.

Raz... dwa... trzy... i jestem. Ułamek sekundy przed Danielle.

Wypuszczam powietrze i pozwalam sobie na spojrzenie w dół. Brandon do mnie macha, a ja mu odpowiadam, przez co rozluźniam nieco rękę i bark. Udziela mi się jego entuzjazm. Uśmiecham się szeroko, a nawet wydaję z siebie głośnie „juhuuu!”.

– Gotowa na zjazd? – woła instruktorka.

Kiwam głową.

– Odchyl się w uprząży, tak jakbyś chciała usiąść, i ostrożnie odpychaj się stopami od ściany – tłumaczy.

Gdy się odchyłam, przez chwilę ogarnia mnie czysty strach. Kiedy instruktorka utrzymuje mój ciężar na linie, strach ustępuje miejsca rozbawieniu. Czuję, jak w tylnej kieszeni spodenek przesuwają się moje telefon, i zdaję sobie sprawę, że guzik musiał się rozpiąć, ponieważ telefon jest chyba bardziej na zewnątrz niż w środku. Sięgam po niego. Nie mogę go złapać. Spóźniam się o ułamek ułamka sekundy.

– Neeee! Uwaga! – krzyczę.

Wysokość ściany i waga telefonu przekładają się na jego niesamowitą prędkość. Komórka o centymetry mija głowę instruktorki i rozbija się o ziemię.

„O Boże”.

Kobieta klnie, wszyscy milkną, a ja zostaję spuszczone nadzwyczaj szybko. Instruktorka jest w szoku. Nie może wykrztusić słowa. Powoli na jej bladą twarz wraca kolor. Czerwony.

– To było strasznie głupie. Mogłaś mi wyrządzić poważną krzywdę.

– Przepraszam... – Robi mi się niedobrze. – Bardzo przepraszam.

Instruktorka wybałusza na mnie oczy.

– Nie pamiętasz, że kazałam wam opróżnić kieszenie?

Spuszczam wzrok. „Głupia, głupia, głupia”.

– Podnieś telefon. Resztę sesji przesiedzisz na ławce.

Brandon zdążył już podnieść komórkę.

– Ekran się potłukł – oznajmia, podając mi urządzenie.

Siadam na ławce. Cała drzę.

– Mogłam jej rozwalić głowę – dukam.

Brandon wzrusza ramionami.

– Ale nie rozwaliłaś. Czasami nie dzieje się to, co najgorsze – mówiąc to, wskazuje mój telefon. – Działa?

Uruchamiam go i spoglądam na pęknięty ekran. Nic nie widać. *Cholera*. Nie działa. Czuję się całkiem odcięta od świata.

– Możesz skorzystać z mojego – proponuje Brandon. – Zostawiłem go w pokoju, ale potem go przyniosę.

– Dzięki. – Chyba powinnam jak najszybciej napisać do mamy, że rozbiłam telefon. Może zdążę, zanim zaczną atakować Pippę lub posterunek policji po tym, jak nie zamelduję się na czas.

Brak dostępu do aplikacji może mi dobrze zrobić. Biorąc pod uwagę dziwne zachowanie co do urodzin Kyry i agresję podczas paintballu, najprawdopodobniej to Joe stoi za wiadomościami. Jeśli to on, będzie wiedział, że mój telefon nie działa, i całe to szaleństwo dobiegnie końca.

Myślę o zdjęciu kwiatów oraz trapiącym mnie pytaniu, czy to możliwe, że przegapiłam jakąś istotną związaną z nimi wskazówkę. Może widziałam te kwiaty w którymś z wazonów w Morley Hill?

– Wystarczy mi już wspinania – stwierdza Brandon. Siada na ławce obok mnie i zdejmuje buty do wspinaczki i czarne sportowe skarpetki. Podoba mi się, że jest tak blisko, że prawie dotykamy się ramionami. Kiedy tak siedzi, rozprostowuje palce stóp i wyciąga spomiędzy nich jakiegoś paprocha, zdaje sobie sprawę, że jego zachowanie jest aktem solidarności ze mną. W tym się specjalizuje.

Patrzemy, jak reszta wspina się po raz drugi.

– Straciłam mnóstwo zdjęć siostry, których kopii nie miałam nigdzie indziej – oznajmiam bez emocji, nagle uświadamiając sobie ten fakt.

Podnoszę ręce. – Tylko nie mów, że powinnam była to zrobić. Chciałam.

– Niedaleko mnie jest taki mały serwis o dobrej renomie, gdzie naprawiają telefony i odzyskują z nich dane. Trochę jak komis z mnóstwem części zamiennych do różnych sprzętów. Gdybyś chciała, mógłbym tam zanieść twój telefon. Zobaczymy, co powiedzą.

Wiem, że nadzieja jest nikła, ale zawsze to coś.

– Dzięki. Dam ci go jutro przed wyjazdem. – Na razie ściskam komórkę w dłoniach. Brandon nie ma pojęcia, jak trudno będzie mi przekazać mu aparat, mimo że wiem, że nie ma dostępu do zawartych w nim informacji.

– Mojemu kumplowi wypadł telefon z kolejki górskiej. Nie udało im się mu pomóc. Ale kolejka była znacznie wyższa od tej ścianki i na dole nie było miękkiej maty.

– Telefon mojego taty został raz uprany w pralce – odpowiadam. – Jego też nie udało się uratować.

Wymieniamy się opowieściami o zniszczonych telefonach. Brandon wspomina koleżankę swojej mamy, która nie wiedząc czemu zostawiła telefon na dachu samochodu. Po chwili ruszyła, a samochód za nią przejechał po telefonie. To okropne, ale nie mogę przestać się śmiać. Przez kilka chwil, zanim przypominam sobie o własnym telefonie, przedziwnych wiadomościach i o tym, co się stało ubiegłego lata, czuję się niemal szczęśliwa.

– Nie wiem, dlaczego śmiałaś się po tym, co zrobiłaś – rzuca Joe po zakończeniu sesji, przechodząc obok nas. – Uważasz, że obowiązują cię inne zasady niż innych, prawda? Musisz się wiele nauczyć.

Przez chwilę nie mam w sobie wystarczająco dużo powietrza, by mu odpowiedzieć. Joe przeraża mnie tym swoim aroganckim i niewzbudzającym zaufania wzrokiem.

– To nie... Ja... – dukam.

– Odpuść sobie – wtrąca Brandon. – On nie jest tego wart.

24

Do wieży trzeba dojechać busem. Wybiera się tam cała grupa żółtych. Nawet jeśli nie wszyscy cieszą się na skok, niektórzy liczą na piękne widoki, które będą mogli sfotografować lub sfilmować. Widzimy szarą metalową wieżę na długo przedtem, zanim skręcamy w drogę prowadzącą do opuszczonej bazy wojskowej.

Wychodzimy z busa i spoglądamy w górę.

– Wygląda jakby żywcem wyjęta z koszmaru – stwierdza Fay.

– Coś jak sceneria dystopijnego thrillera – dodaje Brandon. – Oczywiście ostatnia walka odbędzie się na szczycie wieży.

Pippa zbiera nas wokół siebie.

– Jako osoba, która wykonała ten skok już kilka razy, mogę wam powiedzieć, że to fenomenalne doświadczenie. Na początku spada się szybko, a potem łagodnie ląduje – mówiąc to, unosi rękę i wykonuje nią gest w powietrzu. – Ale *nikt* nie powinien czuć presji, że musi skoczyć. Możecie wziąć cały osprzęt, wjechać na górę i zrezygnować. Popodziwiacie widoki, a potem wrócicie ze mną na dół.

Pakuję się do windy razem z pierwszą połową grupy, upewniwszy się, że nie będzie tam Joego. Nie mam zamiaru wysłuchiwać jego rad dotyczących skoku ani przypadkiem znaleźć się w jego uścisku. Kiedy zamykają się drzwi, rozmowy cichną.

– Nie bójcie się – komentuje instruktor. – Nikt nie umarł podczas tego skoku. Jeszcze. – Chyba nikt mu nie powiedział, z jaką grupą będzie miał do czynienia.

Wychodzimy z windy i stajemy na metalowej siatkowanej podłodze, cienkiej i skrzypiącej. Tu w górze wieje silniejszy wiatr i mogę przysiąc, że

powietrze jest rzadsze. Muszę głębiej oddychać.

Gdy są już wszyscy, możemy sami zaproponować kolejność skakania albo losować numer z kapelusza. Henry bardzo chce być pierwszy, a reszta powoli ustawia się w kolejce. Ja jestem ósma, za Brandonem i przed Danielle. Joe zostaje z tyłu i stwierdza, że nie zależy mu na kolejności. Fay trzyma się blisko niego. W końcu jest jedenasta, a Joe dwunasty.

– W każdej chwili możecie zrezygnować, nawet stojąc na platformie – powtarza instruktor. – Nikogo nie popychamy.

Rozlegają się nerwowe śmiechy. Niektórzy się wahają. Rozumiem to, choć nie jestem wśród nich. Mój żołądek wykonuje salta, a gardło się zacisnęło, ale zamierzam skoczyć. Chcę się dowiedzieć, jakie to uczucie, gdy się swobodnie spada. Chcę być odważna.

Są tu metalowe ławeczki. Wszystko jest metalowe i brzydkie. Słuchamy wykładu o zasadach bezpieczeństwa. Mamy się zachowywać odpowiedzialnie po wylądowaniu. Następnie Henry i Rohan wspinają się po krótkiej drabince na platformę. Zbieramy się przy barierce i obserwujemy, jak Henry zostaje przypięty do liny. Odwraca się, pokazuje nam uniesione kciuki i po chwili znika z krzykiem.

Brandon odwraca wzrok i siada na ławce. Idę za nim.

– Niedobrze mi – mówi.

– To nerwy.

Brandon bierze głęboki wdech i wzdycha.

– A jeśli zwymiotuję?

– To zależy z której strony wieje wiatr. Może być paskudnie.

Pippa pokazuje Danielle pobliskie atrakcje turystyczne. Danielle nagrywa, ale pewnie nie atrakcje, o których myśli Pippa. Słyszę coś na temat starożytnego cmentarza, a potem geologiczne wyjaśnienie wysokości wzgórza. Oprócz głosu Pippy słyszę też gładzenie Joego, który stoi kawałek dalej z Fay. Oni nie podziwiają widoków.

– Wszystko zaczyna się od jednego kroku – tłumaczy chłopak. Fay kiwa głową, a Joe kontynuuje swoją mowę motywacyjną. Następne zdanie, które

wychwytyję, brzmi: – To test, Fay. Rozumiesz?

– O co mu chodzi? – pytam Brandona.

– Komu? – Brandon nie ma pojęcia, o czym mówię. Pokazuję mu wzrokiem. – Joemu? Nie słuchałem go.

– O tym, że ten skok to test.

– Test na odwagę? – Brandon przykłada dłoń do klatki piersiowej. – Coś w tym jest. Moje serce już nieźle wali.

Fay odwróciła się od Joego i widzę, że jest bliska płaczu. Nogi jej się trzęsą i skuliła się, jakby oczekiwała ciosu. Jak wychudzony pies na reklamie organizacji pomagającej krzywdzonym zwierzętom.

– On wywiera na niej presję – mówię do Brandona.

– Tak sądzisz? Nie martw się. Jest z nami Pippa. Dopilnuje, by Fay nie skoczyła wbrew sobie – mówiąc to, zerka w stronę platformy. – Cholera. Zaraz skacze osoba numer sześć... Czyli jestem następny.

Joe ciągle mówi do Fay, ale teraz tak cicho, że go nie słychać. Fay ociera oczy brzegiem dłoni. Metalowa podłoga robi głośny hałas i oboje patrzą na mnie, kiedy się do nich zbliżam.

– Fay, jeśli nie chcesz skakać, nie rób tego.

Joe poprawia pasek w spodenkach, ukazując fragment swojego kaloryfera czy innego kalafiora.

– Eee, to chyba cię nie dotyczy, Skye.

– Jeśli Fay jest nieszczęśliwa, to dotyczy. – Patrę w pełne łez oczy dziewczyny. – Nie chcesz skakać, prawda?

Przez chwilę mam wrażenie, że nie zrozumiała, co powiedziałam. Jakby z jej inteligencją stało się coś tragicznego. Wreszcie kręci głową.

– Widzisz? – Od razu żąłuję triumfalnego tonu w swoim głosie, ale wiem, że miałam rację.

Joe wzrusza ramionami. Jego twarz nie wyraża żadnych emocji.

– Decyzja należy wyłącznie do Fay – zapewnia. Następnie otacza ją ramieniem i przyciąga do siebie. Fay wtula się w niego, jakby potrzebowała

się ogrzać. Wlepiam w nią wzrok, próbując zrozumieć, jak ktoś może być jednocześnie tak mądry i głupi.

– Skye! – woła Brandon. Stoi na drabince prowadzącej na platformę. – Nasza kolej, chodź.

Kiedy stajemy na metalowej podłodze platformy, jeden z instruktorów mówi:

– Przypomina to trochę trampolinę na basenie, prawda? – Nie czeka na odpowiedź, tylko klaszcze w dłonie i pyta: – No dobrze, to kto pierwszy?

Brandon podnosi rękę.

– Ja, ale jeśli Skye woli być przede mną, nie ma problemu. – Stoi tyłem do przepaści znajdującej się kilka metrów od nas. Jeden krok naprzód i jesteś w nicości.

– Nie ma znaczenia. Chcę już mieć to za sobą – stwierdzam. Rozmowa to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję.

– W takim razie ja – postanawia Brandon. – Zanim się rozmyślę. – Podoba mi się to, że nie próbuje ukrywać strachu w głosie. Staje na skraju przepaści. – No to lecimy.

Szykując się do skoku, Brandon spogląda na mnie.

W tym spojrzeniu jest wszystko. Siła i słabość. Cały on. Po chwili znika z okrzykiem, nie wrzaskiem. Krzyczę:

– Juhuuuuuuu! – I nagle czuję, że najsilniejszą częścią mojego ciała jest mój głos.

– Jest na dole? Wszystko w porządku? – pytam instruktora, który wychyla się poza półkę, aby sprawdzić linę.

– Tak, złotko. – Następnie woła do kolegi na dole: – Który mamy numer?

– Ja jestem ósma – odpowiadam na wypadek, gdyby kolega stracił rachubę. – Skye Colton. – Może potraktuje mnie lepiej, znając moje imię, nie numerek.

Kiedy instruktor stwierdza, że jestem gotowa, staję na krawędzi.

„Dasz radę”.

Robię krok naprzód. Najpierw tracę oddech, ale zaraz krzyczę. W jednej sekundzie czuję, że żyję. Nagle zlewają się wszelkie kolory.

Spadając, mam moment jasności umysłu. Muszę wrócić do Cisowego Domku. Jeśli istnieje szansa na uwolnienie się z jego paralizującego uścisku, muszę z niej skorzystać.

25

Brandon jest tuż przede mną. Bez kasku. Bez uprzęży.

– Czy to nie najwspanialsze uczucie? – Przytula mnie i śmieje się, uwalniając koszulę z mojej uprzęży. – Nie czułaś się niewiarygodnie odważna? – Jest taki szczęśliwy. Jego oczy lśnią. Mówi i mówi.

Siedzimy na trawie z resztą grupy w kręgu. Opowiadamy historie i obserwujemy skoki kolejnych osób. Wiwatujemy. Zdejmuję kask, uprzęż, buty i skarpetki. Trawa jest miękka i delikatna. Jej dotyk podoba się moim palcom z paznokciami *à la* Luisa.

Po południu wybiorę się do Pitford. Plan dnia można dostosować. Pływanie. Taki czy inny warsztat. Może partyjka roundersa. To będzie moja ostatnia szansa przed jutrzejszym wyjazdem z Morley Hill.

Skacze kolejna osoba, której ciało wydaje się miniaturowe wobec ogromu wieży. Kiedy bezpiecznie ląduje na ziemi, układam się na plecach na trawie i kładę dłoń na brzuchu. Mój oddech jest głęboki, równy, niemal idealny. Głosy ludzi zmieniają się w jeden szept. Po pewnym czasie mam świadomość, że nad moją twarzą pojawił się cień, więc odwracam głowę, by sprawdzić, kto to. Brandon kładzie dłoń na mojej nodze, jego ciemna skóra stanowi kontrast dla mojej. Wygląda to jak tajny znak.

– Jesteś jakaś wyciszona.

Uśmiecham się do niego. Czuję, że robi mi się ciepło od jego dotyku.

– Rozmyślam.

– O czym?

– O tym, że dziś po południu chciałabym odwiedzić mój stary dom.

– Chcesz, żebym z tobą pojechał? – Jego uwagę odwraca ktoś, kto do niego krzyczy. Woła do tej osoby: – Zaczekaj chwilę.

– Nie musisz – mówię, gdy znowu mnie słucha. – To będzie dla ciebie nudne.

– Dobrze, w takim razie poćwiczę skoki do wody na bombę. Nie wszędzie na to pozwalają, więc trzeba korzystać, ile się da.

Wstaję i otrzepuję nogi z trawy. Czuję wzory, które odcisnęły mi się na skórze. Gdyby Brandon wykazał większy entuzjazm co do wycieczki, wziąłabym go ze sobą.

Wszyscy skupiają wzrok na wieży. Oglądamy ostatniego skoczka. Twarz Brandona z profilu wygląda perfekcyjnie. Gdyby mierzono symetrię, uzyskałby świetny wynik. Po wakacjach może będziemy utrzymywać ze sobą kontakt w sieci, ale wątpię, czy jeszcze kiedyś będziemy tak razem siedzieć.

Zwraca się do mnie:

– Czyli Fay skoczyła.

Patrzę na wieżę, a potem na osobę opadającą na ziemię. Tak, to Fay.

Cała grupa woła ją do siebie na trawę. Powoli do nas dołącza. Jest oszołomiona, jakby nie dowierzała, co zrobiła.

– Tak bardzo się bałam – przyznaje drżącym głosem, klękając na skraju grupy. – Zrobiłam to, prawda? Zrobiłam?

– Zdecydowanie tak – potwierdza Brandon. – Później ze strony ściągniesz sobie oficjalne zdjęcie. Jako dowód.

– Co cię do tego skłoniło? – pytam. Podążam za wzrokiem Fay i patrzę na szczyt wieży. Stoi na niej Joe. Założę się, że pragnie, by wszyscy go teraz podziwiali.

– Zrobiłam to dla niego – mówi.

W drodze powrotnej do ośrodka Fay siedzi w busie obok Joego z zamkniętymi oczami. Jest o niego oparta jak śpiące dziecko o rodzica. Joe dostał ogromne brawa podczas skoku i później po lądowaniu. Wszyscy wtedy staliśmy. Nieważne, że nasza dwunastka miała to już za sobą, on był lepszy. Joe wykonał swoją ewolucję stylowo, machając do nas niczym gwiazdor wjeżdżający na scenę podczas koncertu. Pippa zjechała windą z aparatami

i innymi przedmiotami i podziękowała mu za pomoc Fay w przezwycięzeniu strachu. Chłopak zbył jej uwagę, stwierdzając, że jest dumny z Fay. Nasze spojrzenia się wtedy spotkały. Nie oderwał ode mnie wzroku i lekko kiwnął głową.

– Nie czuję się przy nim komfortowo – mówię do Brandona, odwracając się do niego po tym, jak przez pewien czas wpatrywałam się w Joego i Fay.

– Myśli, że pozjadał wszystkie rozumy – stwierdza Brandon. Ciekawe, czy ma świadomość, że jedna z jego nóg znajduje się milimetr od mojej. – Może zachowuje się tak, bo jego dziewczyna popełniła samobójstwo? Robi z siebie kogoś ważnego, no wiesz, żeby czuć się lepiej we własnej skórze?

– Może – odpowiadam, ale myślę, że Brandon jest po prostu grzeczniejszy ode mnie i potrafi znaleźć wytłumaczenie dla zachowania Joego.

– Trauma robi z ludźmi różne rzeczy – ciągnie. – Weźmy mojego tatę. Kiedyś był wyluzowany, ale po śmierci mojego brata uciekł do Stanów i popadł w pracoholizm. Odwiedziłem go tam dwa razy i za każdym razem nie wziął ani jednego dnia wolnego. Wiem, że musi ciężko pracować, ale przecież jestem jego jedynym dzieckiem. Rozumiesz mnie?

Kiwam głową. Myślę o mamie i tacie, którzy obwiniają się za to, że nie zorientowali się, w co się wpakowała Luisa, ponieważ byli zbyt zajęci dzieckiem z wadą serca i biznesem ojca. Teraz mają zamiar przeprowadzić kampanię edukacyjną na temat narkotyków, jakby nie było ich wystarczająco dużo. Jakby się bali, że w przeciwnym wypadku nie zapamiętamy Luisy w pozytywnym świetle. Może to ja będę musiała ich przekonać, że to niekonieczne.

– Tata ciągle powtarza, że przyleci tu na wakacje, ale nigdy mu się to nie udało. Wysyła mi markowe koszule i myśli, że ma mnie z głowy.

– Zwróciłam uwagę na te koszule – przyznaję.

Brandon unosi dolną część kraciastej koszuli, którą ma na sobie, i krzywi się. Na rękawie i kołnierzyku jest naszyty symbol jeża.

– Są straszne, co? Ale uznałem, że nic się nie stanie, jeśli się podrażą czy zniszczą podczas różnych zajęć. Mogłem zabrać swoje prawdziwe koszulki.

Są lepsze.

Unoszę brwi.

– Lepsze, bo sam je wybrałem. Mimo że znacznie mniej eleganckie.

Bus skręca w podjazd Morley Hill i parkuje pod budynkiem recepcji. Czekać, aż Pippa otworzy z zewnątrz rozsuwane drzwi, pytam dziewczyny o zmywacz do paznokci. Nikt nie ma zmywacza, ale Alice proponuje, że pożyczy mi niebieski lakier.

Lakier ma kolor dobrze utrzymanego basenu. Jest jasny i gładki.

Opierając stopę o drewnianą ramę łóżka, nakładam go na paznokcie, na czerwień i róż. Dziesięć minut po wyjściu Fay Danielle udaje się na basen, trzaskając za sobą drzwiami.

Słyszę tylko krzyki ludzi w oddali. Kładę się na plecach i czekam, aż wyschnie lakier.

Z zamyślenia wyrywa mnie nagłe walenie do drzwi.

– Kto tam? – wołam.

– Brandon. Przyniosłem telefon. Pomyślałem, że chciałabyś zadzwonić do mamy.

Rzucam okiem na paznokcie. Jeszcze lśnią. Czyli nie wyschły.

– Zaczekaj. – Kuśtykam do drzwi na piętach tak, by paznokcie się nie dotykały, i otwieram drzwi. – Sorry za zapach lakieru.

Brandon wręcza mi telefon i wchodzi do środka. Waha się, aż wskazuję mu łóżko Danielle. Jako chłopak nie powinien w ogóle przebywać w bloku D, a tym bardziej w moim pokoju, ale skoro on się tym nie przejmuje, ja też nie muszę.

Siadam na łóżku, sprawdzam paznokcie i zaczynam pisać SMS-a do mamy. Wiadomość jest krótka.

– Dzięki. – Zamierzam podejść do łóżka Fay i oddać mu telefon. – Mam nadzieję, że w odpowiedzi nie dostaniesz jakichś bzdur.

– Nie szkodzi. – Wstaje, by wziąć ode mnie telefon. – Tak sobie myślałem, że wszyscy się wkurzą, jeśli będę skakał na bombę do basenu. Lepiej pojedę

z tobą do Pitford. Jeśli ci to nie przeszkadza. – Patrzy na moje paznokcie i dodaje: – Kiedy już wyschnie lakier.

Moje serce bije mocniej.

– Jasne – odpowiadam.

26

Opuszczamy ośrodek z tyłu, przechodząc ponad ogrodzeniem. Idziemy wąską ścieżką, a potem skręcamy w lewo, w stronę wioski. Nie potrzebujemy zbyt wiele czasu, by się zorientować, że jedyny przystanek autobusowy znajduje się przy głównej drodze.

Kiedy przyjeżdża autobus, jest wypełniony starszymi ludźmi, więc musimy stać i skupiać na sobie wzrok pasażerów. W Hoathley czekamy na kolejny autobus na przystanku przed gmachem kościoła United Reformed Church, otoczonego niskim murem. Siedziałam tu z Luisą niezliczoną ilość razy, zanim zdała egzamin na prawo jazdy. Dzisiaj stoję wtulona w Brandona, ze wzrokiem wbitym w ziemię, w nadziei na to, że nikt mnie nie rozpozna.

W autobusie do Pitford opowiadam mu o wiadomościach. Nie jest mi łatwo. Dawno się nikomu nie zwierzałam.

– Każdy, kto udaje w sieci zmarłą osobę, musi być świrem – mówi Brandon. Znajduję ukojenie w jego zszokowanej minie, ponieważ wiem, że rozumie, jaki koszmar przeżywam. – Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

Mogłabym skłamać, ale nie widzę sensu.

– Byłeś jednym z podejrzanych. Ale wiem, że to niemożliwe, ze względu na czas wysłania jednej z wiadomości.

– Okeeeej. – Brandon sprawia wrażenie urażonego.

Dodaję łagodnym tonem:

– Nie chciałam, żebyś to był ty, ale nie mogłam ufać *nikomu*.

Brandon kiwa powoli głową, jakby nadal o tym myślał, po czym mówi:

– Cieszę się, że zostałem wyeliminowany. Ale myślę, że po powrocie

powinnaś powiedzieć o tym Pippie.

– Może. Wolalabym zająć się tym sama. – Gdy tylko jakiś dorosły zostanie wtajemniczony, sprawa będzie dodatkowo rozdmuchana, a rodzice zakazą mi korzystania z telefonu do końca życia.

Brandon kładzie rękę na fotelu autobusu, prawie mnie obejmując, i pyta, kto może za tym stać.

– W sumie chyba każda osoba z Morley Hill. Możliwe, że ktoś z dawnego życia rozpoznał mnie we wsi w tej koszuli w kratę, ale bardziej wydaje mi się, że to Joe. Potrzebuję tylko dowodu.

Brandon kiwa głową.

– Też bym na niego stawiał.

– Nie mogę patrzeć, jak wciągnął Fay do swojego świata – żalę się. Rozmawianie o tym na głos i zaufanie, jakim obdarzam Brandona, dają mi pewne poczucie spokoju. Pomaga mi też fakt, że opuściłam klaustrofobiczny klimat Morley Hill. Zamykam oczy i przygotowuję się na widok starego domu, a jeszcze dziewięć miesięcy temu jedyne, jaki znałam. Wyobrażam sobie poszczególne fragmenty budynku, począwszy od pokoju Luisy, by ćwiczyć kontrolowanie paniki. Przechodzę przez każdy pokój i wchodzę do ogrodu, gdzie zmuszam się, by zwizualizować sobie basen, który kiedyś tak bardzo lubiłam.

Wielki market budowlany, przy którym mamy wysiąść, pojawia się szybciej, niż jestem na to gotowa. Wsiadamy z autobusu i znajduję się w znajomej okolicy, która wydaje mi się obca. Jakbym wróciła tu po wojnie.

Przechodzimy przez ulicę na światłach i wchodzimy na drogę z oznaczeniem „Pitford”. Mijamy dyskont meblowy, w którym weekendami pracowała koleżanka Luisy, pub o nazwie Crown oraz stojące daleko od drogi domy z wysokimi lśniącymi żywopłotami wyciszającymi hałas ulicy. Pomiędzy świstem przejeżdżających samochodów słyszymy krzyki dzieciaków bawiących się przed domami oraz wycie elektrycznego sprzętu ogrodowego. Gdybyśmy podążyli środkiem wioski w stronę parku, dotarlibyśmy do ulicy, przy której mieszka Annika.

Czuję się lepiej, skręciwszy dwukrotnie w prawo, gdzie szansa natknięcia się na Annikę lub innego znajomego ze szkoły jest mniejsza. Tutaj zabudowa jest znacznie luźniejsza, a przy niektórych domach stoją przyczepy do przewozu koni. Przed małym domkiem na zakręcie drogi nadal stoi niski stół. Na sprzedaż: fasolka szparagowa, zabrudzona ziemią rzodkiew, bulwiaste ogórki i kobiałki malin. Jeden słoik jagodowego dżemu. Obok drewniany pojemnik na pieniądze. Brandon urywa rzodkiewkę, wyciera o spodniki i rozgryza. Uśmiecham się, widząc jego grymas, gdy zaczyna odczuwać gorycz. Przesadnie się wzdryga. Ciekawe, czy miał w sobie taki sam kłujący niepokój, gdy po raz pierwszy wrócił do swojego starego domu, w którym mieszkał z bratem? I ten strach, że się rozklei?

Widać już znaki. Pierwszy oznajmia: SKLEP NA FARMIE. DARMOWY PARKING. Jest też strzałka. Drugi znak głosi: FARMA W DOLINIE I CISOWY DOMEK. Czuję ścisk w żołądku.

Nigdy nie było tu porządnej drogi. Zwykła dróżka pełna dziur, z wielkimi białoszarymi głazami. Są też mniejsze kamienie, niektóre dość ostre. Kiedy byliśmy małe, Luisa i ja robiłyśmy zawody w chodzeniu tędy boso, by się przekonać, która jest odporniejsza na ból.

Strome trawiaste nasypy mają typowy dla lipca kolor dzięki białym, żółtym i różowym kwiatom, a w popołudniowej ciszy słychać głośne bzyczenie owadów. Przy końcu drogi zaczyna się ciemny drewniany płot ogradzający Cisowy Domek, ale samego domu nie widać jeszcze jakiś czas – przesłaniają go liściaste drzewa. Brandon pyta, czy w ogrodzie są jakieś cisy, i odpowiadam, że jest jeden duży w głębi, podobno mający kilkaset lat. Nie wiem, czy celowo odciąga moją uwagę, ale na pewno mi to pomaga.

– Ten Cisowy Domek jest ogromny – stwierdza, gdy naszym oczom ukazuje się szczyt budynku.

– To był kiedyś stary budynek gospodarczy – wyjaśniam. – Nowy budynek to ten domek na początku drogi za farmą.

– Czyli masz kasiastą rodzinę?

– Kiedyś tak. Mój tata dobrze zarabiał, ale jego interes padł. – „Padł” to może nie najlepsze określenie, ponieważ sugeruje, że stało się to nagle,

a w rzeczywistości widmo upadku wisiało nad nami długi czas.

Podążamy wzdłuż części ogrodu, skąd da się dostrzec dach budynku przy basenie, gdzie znajdują się przebieralnia, prysznic, toaleta i kotłownia. Nie pokazuję go Brandonowi. Idziemy dalej.

W basenie nie ma nikogo, inaczej już byśmy to słyszeli. Brandon ma na sobie bluzę z kapturem, ale pogoda zdecydowanie sprzyja pływaniu. Tata powiedział, że dom kupiła jakaś rodzina z małymi dziećmi. Max Tomkins uważa, że ci ludzie pochodzą z innej okolicy, w przeciwnym wypadku nigdy nie kupiliby domu, w którym zginęła nastolatka. Chyba że zapłacili cenę znacznie niższą od rynkowej.

Zostaliśmy w domu na czas rekonwalescencji Oskara po operacji, a potem, w październiku, przeprowadziliśmy się. Musieliśmy sprzedać mnóstwo mebli, które nie zmieściłyby się w wynajętym mieszkaniu.

Wielka metalowa brama jest zaryglowana i blokuje drogę na podjazd. Nigdy wcześniej nie widziałam jej zamkniętej. Gdy podchodzimy bliżej, odczytuję nową prostokątną tabliczkę.

„Cisowy Domek

Własność prywatna

Proszę dzwonić”

Opieram się o bramę i czuję wielką chęć powrotu do tego domu, ale w czasach, gdy jeszcze nie było Nica. Nie do wiary, że Luisy już nie ma. Że nie pojechała gdzieś samochodem mamy albo że nie leży z telefonem na sofie w salonie ze świeżo opróżnioną paczką czipsów o smaku soli i octu na stoliku obok. Że już nigdy jej nie zobaczę. Mój żołądek zamienia się w ciecz i przeraża mnie możliwość, że zacznę wymiotować tutaj, przy bramie.

Brandon chwyta mnie lekko za ramię.

– Wszystko w porządku? – pyta, pomagając mi przejść przez ulicę na trawiaste pobocze. – Może na chwilę usiądziesz?

Siadamy tak, że nasze nogi znajdują się na drodze, gdzie błądy pył z kamieni unosi się w rosnącym upale. Słyszę znajome odgłosy gospodarstwa. Czuję słaby zapach dzikich kwiatów. Brandon mówi, a jego

słowa stają się tylko dającym mi pokrzepienie ciągiem dźwięków. Skupiam wzrok na moim starym domu. Został trochę odremontowany. Odmalowany. Posadzono nowe kwiaty. To ten sam dom, ale jednocześnie inny. Obojętny. Czuję się zagubiona, bez punktu zaczepienia. Odleglejsza od Luisy niż kiedykolwiek wcześniej.

– Zgaduję, że nie chcesz zadzwonić i poprosić o wpuszczenie? – pyta Brandon.

Jedno spojrzenie wystarczy, by poznał moją odpowiedź. Moja rodzina byłaby przerażona tą mroczną pielgrzymką.

– Lepiej wracajmy. – Muszę stąd odejść, zanim stracę panowanie nad sobą. Zanim zauważy mnie ktoś z dawnego życia.

– Będziesz miała coś przeciwko, jeśli pójdę do sklepiku na farmie? – pyta Brandon, kiedy się podnosimy. – Wziąłbym coś do jedzenia. – Widzi moje niezdecydowanie. – Wrócę naprawdę szybko, a ty możesz zostać tutaj.

– Nie, pójdę z tobą – postanawiam.

Jeśli zastanę Toby'ego, będzie mi głupio, ale jakaś część mnie pragnie po raz ostatni ujrzeć sklepik. W ramach pożegnania. Toby i ja rozmawialiśmy podczas pogrzebu, a konkretnie na stypie w hotelu w Hoathley, ale rozmowa była sztywna i formalna, jakbyśmy byli sobie obcy. Przyszedł do mnie kilka razy po śmierci Luisy, ale powtarzał wtedy tylko, że nie wierzy w to, co się stało, więc przestałam mu otwierać, a mama odbębniała za mnie uprzejme rozmowy przy drzwiach.

Podczas ostatnich tygodni, gdy tu mieszkaliśmy, żołądek bolał mnie za każdym razem, kiedy wyglądałam przez okno sypialni na basen. Czasami ból był tak silny, że zginałam się wpół. Tata miał tyle długów, że w zasadzie przestaliśmy robić zakupy na farmie, a Oskar bał się przebywać w domu, chyba że przy szczelnie zamkniętych oknach i drzwiach.

– Robią tu też ciasta, prawda? – pyta Brandon, na co przytakuję.

Przed sklepikiem stoją trzy samochody, między innymi wysłużone volvo. Klienci. Pracownicy wjechaliby bramą po lewej stronie i zaparkowali na wewnętrznym parkingu. Srebrne metalowe wiadra z kwiatami przed sklepem

są nowe, podobnie jak czarna stojąca tablica z napisanymi kredą ofertami specjalnymi. Ale reszta wygląda znajomo aż do bólu. Ze sklepu wychodzi starsza kobieta i prawdopodobnie jej córka. Ta młodsza przytrzymuje nam drzwi. Brandon podbiega, by przejąć od niej drzwi, a ja przekraczam próg, zanim zdążę się na to w pełni przygotować.

Omiatam pomieszczenie wzrokiem, by sprawdzić, kto dziś pracuje, w nadziei, że to Wendy lub Carol z wioski, ale niemal od razu zauważam Toby'ego. Wypełnia przeszklone lodówki plastikowymi tubkami oliwek. Sądzi, że dźwięk dzwonka przy drzwiach został spowodowany przez wychodzących klientów, a nie przez nas. Widzę wysokiego mężczyznę z siwą brodą, niezwykle starannie wybierającego owoce, ale tylko kątem oka, ponieważ nie mogę oderwać wzroku od Toby'ego. Nadal ma przysadzistą budowę ciała, ale jego ramiona są jakby bardziej zwieszane, a twarz pokrywa krótki zarost, wcale niebrzydki. Gęste kasztanowe włosy są cieńsze i przygładzone. Stracił swoją charakterystyczną energię. Nie potrafię sobie teraz wyobrazić, by wyzwiał kogokolwiek na wyścig do obory.

– Sprawdzę ciasta – mówi Brandon, na co Toby podnosi wzrok. Na jego twarzy maluje się szok.

– Skye? Co ty tu robisz?

Nie jestem jeszcze gotowa, by mówić. Mój mózg próbuje się przestawić i wymyślić sposób, by sobie poradzić z przebywaniem w tym miejscu. Przed ubiegłymi wakacjami Toby zdążyłby już rzucić we mnie oliwką. Dzisiaj patrzy na mnie tak, jakbym powróciła z zaświatów.

– Jestem w Morley Hill – dukam wreszcie. – Po drugiej stronie Hoathley. Na obozie. Pomyślałam, że wpadnę do Pitford, skoro to tak niedaleko. – Znowu słyszę u siebie ten superuprzejmy ton mamy.

– Jasne.

Przytulenie nie wydaje mi się odpowiednie. Spałam z nim w jednym łóżku, walczyłam na śnieżki, byliśmy ze sobą blisko, ale nigdy się nie przytulaliśmy.

– Używają tam waszego sosu chilli.

– Tak? – pyta, odsuwając się od lodówki. Siwobrody mężczyzna chce zapłacić za owoce. Dołączam do Brandona i przytrzymuję mu kartonowe pudełko, podczas gdy on wyjmując szczypcami gigantyczny kawałek ciasta cytrynowego. Kręcę głową, widząc, że ma zamiar nabrać drugi kawałek dla mnie.

– Przy okazji – to jest Brandon – mówię, gdy przychodzi nasza kolej do płacenia.

Toby kiwa głową i przyjmuje zapłatę od Brandona, ale cały czas skupia uwagę na wychodzącym ze sklepu mężczyźnie, który przy drzwiach woła:

– Zdróweczka!

– Więc nareszcie uznałaś, że możemy się spotkać? – rzuca Toby, zamykając kasę i wręczając Brandonowi resztę.

Nie tak miała wyglądać ta rozmowa.

– Ja...

– Nie pożegnałaś się przed wyjazdem. Nawet nie wiedziałem, że się wyprowadziliście, zanim powiedziała mi o tym mama – mówiąc to, Toby podchodzi do prowadzących na podwórze drzwi wahadłowych, jakby potrzebował zaczerpnąć świeżego powietrza. Górna część drzwi jest otwarta i widzę przez nie stodołę, w której są trzymane ciągniki.

– To się stało tak szybko – mówię i czuję, że oblewam się rumieńcem.

– Zauważyłam, że usunęłaś mnie ze znajomych.

„Byłeś zbyt angażujący”.

– Ale nie szkodzi – ciągnie. – Nie musisz się tłumaczyć. – Przenosi wzrok na Brandona. – Powiedziała ci, co się stało ubiegłego lata?

Nie pomyślałam, że Toby będzie miał ochotę rozmawiać o tamtych wydarzeniach.

– Tak, wiem o jej siostrze.

– To cały czas gorąca historia. Narkotyki i morderstwo.

Brandon staje jak wryty.

„Nie mów już nic więcej”. Opieram się o ladę, aby dać wytchnienie

chwiejącym się nogom.

– Luisa i ja chodziliśmy ze sobą przez kilka lat – opowiada Brandonowi Toby. – Byliśmy sobie bardzo bliscy. Ale na uniwersytecie wpadła w złe towarzystwo. Była ostatnią osobą, którą ludzie posądziliby o związek z narkotykami. – Agresywny ton, jakim mówi, jest dla mnie nowością. Kiedyś był znacznie łagodniejszy.

Brandon zamyka pudełko z ciastami.

– Zdarza się – mówi. Cieszę się, że jest taki rzeczowy. Dobrze, że jest ze mną tutaj, zamiast skakać na bombę do basenu w Morley Hill.

– Więc jak sobie radzisz, Toby? – pytam, chcąc zmienić temat. Chcę go uszczęśliwić.

Chłopak porządkuje rzędy opakowań granoli.

– Dużo pracy, sporo dostaw.

Chcę dodać, że nie mam na myśli sklepiku, ale on mnie uprzedza.

– A ty? Co sądzisz o Morley Hill?

„Co sądzisz o Moorly Hill?”. Toby nie znosił pisania i ortografii.

Dostaję gęziej skórki.

„Chcę, żebyś była szczęśliwa, ale jestem na ciebie zła”.

„Nie zapomnij”.

– Ktoś wysyła do mnie wiadomości, podając się za Luisę. Wiesz coś o tym?

Mam świadomość, że Brandon mnie obserwuje.

Toby krzywi się w grymasie.

– Nie. Jakie wiadomości? Czy to jest prawdziwy powód twojego przyjazdu? Więc nie chciałaś się ze mną zobaczyć, tylko oskarżyć mnie o przysyłanie wiadomości?

– Ja tylko... – Czy ja tracę zmysły? Po co Toby miałby mnie prześladować? Jak mógł mnie zobaczyć w koszuli w kratę? Czy to on kierował białym vanem, gdy byliśmy we wsi? Czy teraz właśnie takim samochodem dostarcza produkty ze sklepu? Podchodzę do okna. Nie

przypominam sobie widoku takiego auta, ale może nie zwróciłam na niego uwagi. Za to moją uwagę przyciągają wiadra z kwiatami. Są tam różne bukiety, poukładane kolorami. Widzę kilka białych z dekoracją z liści.

– Te białe kwiaty... – zaczynam.

– Osiem dziewięćdziesiąt dziewięć – przerywa Toby. – Dwa bukiety za piętnaście. Bierzesz?

– Nie... – Muszę oczyścić umysł.

– To ulubione kwiaty Luisy – zapewnia Toby. – Róże i frezje.

„Naprawdę?”. Wyobrażam sobie, jak Toby wyjmuje bukiet z wiadra dla Luisy, a woda kapie na ziemię z ich łodyg. I nagle już wiem. Podbiegam do lady i kładę dłonie na gładkiej drewnianej powierzchni z jedną wyblakłą plamą, którą wzięłam za zabrudzenie na obiektywie.

To Toby jest moim prześladowcą. Położył kwiaty właśnie tutaj.

– Chcesz, żebym odtworzyła to okropne zdjęcie kwiatów? – pytam. – Możemy je porównać z oryginałem. – Mój telefon leży zniszczony w Morley Hill, ale mogłabym ściągnąć aplikację na telefon Brandona.

Toby przenosi wzrok na Brandona i z powrotem na mnie.

– Myślałem, że ci się spodobają.

– Ty draniu – warczy Brandon. – Oczywiście, że jej się nie podobały.

– Przeraziłeś mnie – mówię.

Toby marszczy brwi.

– Nie chciałem cię przerazić, raczej tobą wstrząsnąć. Sprawić, żebyś przemyślała pewne rzeczy.

Targa mną wściekłość.

– Uważasz, że potrzebuję wstrząsu?

Przypominam sobie naiwną nadzieję, że naprawdę to Luisa się ze mną skontaktowała, wywołując we mnie niepewność i strach. Przypominam sobie to, że nie mogłam zaufać Brandonowi.

– Jak mogłeś?

Wybiegam.

Toby krzyczy za mną:

– Zaczekaj, Skye. Proszę. Chcę ci wszystko wyjaśnić. – Ale ja się nie zatrzymuję. Wybiegam ze sklepu i biegnę przez parking w stronę bramy, na której z Luisą i Tobym lubiliśmy przesiadywać jako dzieci. Szarpaliśmy nią wtedy tak mocno, że aby się na niej utrzymać, musieliśmy użyć wszystkich sił. Opieram się teraz o nią i chowam głowę w ramiona, wciągając w nozdrza metaliczny zapach i czując na gorącej skórze spływające łzy. Toby był osobą, za którą mogłabym ręczyć własnym życiem.

Jak to możliwe, że on, człowiek, z którym przesiadywałam na tej bramie, leżałam na trawie i śniegu, czy nawet w jednym łóżku z Luisą, który pozwolił mi pomagać w sklepiku, na długo zanim naprawdę mogłam się do czegokolwiek przydać, zmienił się w kogoś gotowego tak głęboko mnie zranić? Z taką premedytacją? Wracam myślami do dni, kiedy wolałam udawać, że jestem jedną z Mulliganów, nie Coltonów. Do mojej sekretnej fantazji, że Luisa poślubi Toby'ego i wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Jak to się stało, że wszystko legło w gruzach?

Słyszę dwie pary stóp krocących po ostrych kamieniach parkingu. Jedna z osób dociera do mnie szybciej i czuję na plecach jej dłoń. Wiem, że to Brandon, jeszcze zanim mówi:

– Powinnaś z nim o tym porozmawiać.

– Skye, przepraszam, zachowałem się jak palant. – Toby brzmi tak jak w dzieciństwie, gdy przepraszał mnie za to, że przesadził podczas zabawy krowimi plackami. Moja furia odrobinę słabnie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam, odwracając się nagle i wycierając nos o rękę, ponieważ do wyboru mam tylko to lub brzeg koszulki. – To było prywatne konto.

– Nie planowałem tego. – Toby spuszcza wzrok na duży kamień i kopie go czubkiem roboczego buta. – Robię to, co pozwala mi poczuć się bliżej Luisy. Chciałbym odpuścić, ale nie potrafię. Jest na to za wcześnie. Dlatego spotykam się z jej dawnymi przyjaciółmi, jem jej ulubione chipsy w kinie

w Hoathley. Po naszym rozstaniu nie pisała już do mnie na MessageHound. Twierdziła, że to bzdurne, ale wiedziałem, że wy dwie nadal korzystałyście z apki i wymieniałyście się zdjęciami. Chciałem zobaczyć te zdjęcia, których wcześniej nie znałem.

– Ale po waszym rozstaniu Luisa chyba zmieniła hasło?

Unosi głowę.

– Zmieniła ze swojej daty urodzin na twoją. Wiele razy widziałem, jak się loguje, gdy dostarczałem towary do waszego domu. Nigdy nie zmieniła nazwy użytkownika.

Kręcę głowę. Data urodzin jako hasło. To takie przewidywalne. I do tego *moich* urodzin. Czuję, że do oczu napływają mi nowe łzy.

– Wysłałaś tę wiadomość mówiącą, że za nią tęsknisz – ciągnie Toby. – Ja też tęskniłem. Nie mogłem się powstrzymać przed odpisaniem, a potem... coś mi odbiło. Byłem zły. – Widzi, jak ocieram łzy wierzchem dłoni. – Chodź, mam w sklepie ręczniki papierowe.

Patrzę na Brandona, który kiwa głową.

Może to dlatego, że na siebie nie patrzymy, ale mam wrażenie, że w drodze powrotnej do sklepu Toby mówi swobodniej. Opowiada, że zobaczył mnie w Morley Hill w poniedziałek, kiedy dowoził tam produkty, a potem drugi raz we wsi. Pożyczył tego vana na jakąś imprezę, którą zaopatrywał.

– Za każdym razem chciałem się przywitać, ale rezygnowałem, bo myślałem, że mnie zignorujesz.

– Nie zrobiłabym tego – zapewniam, choć wiem, że byłabym zawstydzona. Pewnie potem próbowałabym uciec jak najdalej stąd.

Jesteśmy w sklepie. Brandon przycupnął na taborecie, na którym się staje, by dosięgnąć do najwyższych półek. Toby schyla się i wyciąga spod lady rolkę ręczników papierowych, po czym odrywa dla mnie kilka listków.

– Nie mogłem mieć takiej pewności. Przez ostatnie miesiące nie chciałaś mieć ze mną nic wspólnego – mówiąc to, bierze głęboki wdech. – Byłem zazdrosny, że dobrze się bawisz na obozie. Chciałem, żeby choć raz to mój

głos się liczył. Tyle że... – Krzywi się. – Wiem, że to nie był mój głos, ale Luisy.

Teraz to widzę. Jak go zostawiliśmy. Najpierw Luisa, potem reszta rodziny. Nasze rodziny od zawsze były ze sobą związane, a ja o tym zapomniałam. Nigdy nie myślałam o tym, jak bardzo Toby kochał Luisę, mimo że ona nie miała już dla niego czasu. Nas też kochał. Wydmuchuję nos i wrzucam papier do kosza za ladą.

– Wiem, że wasza rodzina przeszła piekło – dodaje Toby. – Ale moja wcale nie miała łatwiej. Brakuje nam jej.

– Mimo że się zmieniła?

Kiwa głową.

– Szczerze mówiąc, myślę, że miała tylko taką fazę. Tak jakby przeszła na weganizm.

I wszystko wraca. Toby jest miły jak zawsze. Znow jesteśmy sobą. Nie chcę już na niego krzyczeć. Widzę w jego twarzy, jak bardzo jest mu ciężko.

– Naprawdę mi przykro – kwituje. Pociera oko i wygląda na tak przemęczonego, że zastanawiam się, czy i on ma problemy z zasypianiem.

– Ja też cię przepraszam – odpowiadam.

– Wiesz co? Brakowało mi twojej pomocy w sklepie.

– Dlatego, że nikt inny nie przyjąłby takiej żalostnej zapłaty, jaką mi oferowałeś? – Uśmiecham się półgębkiem.

– Częściowo.

Nie ma już między nami wrogości, ale konwersacja nadal jest sztywne.

– Jak klienci? – pytam.

– W porządku. Tak samo upierdliwi jak zwykle.

Aż podskakuję na dźwięk szczekania na podwórzu.

– Kip! – wołam.

– Chcesz go zobaczyć? – pyta Toby, choć to pytanie jest niepotrzebne.

Zerkam na Brandona, który otwiera pudełko z ciastem, i podążam za Tobym przez wahadłowe drzwi. Chłopak otwiera dolne drzwiczki i gwizdże,

i po chwili podbiega do nas Kip, machając uszami. Kucam, aby się z nim przywitać, a psiak skacze na mnie z impetem, machając nie tylko ogonem, ale całym ciałem, i dyszy we mnie śmierzącym oddechem.

– Poznaje cię – cieszy się Toby. Spośród wszystkich psów w gospodarstwie to właśnie Kip najczęściej potrafił okazywać radość z czyjegoś zainteresowania.

– Kto się wprowadził do Cisowego Domku? – pytam, gdy Kip się uspokoił i siedzi z wywieszonym jęzorem i postawionymi uszami.

– Rodzina z sześcioletnimi bliźniakami. Teraz wyjechali na wakacje. Pilnujemy ich posiadłości.

– Więc nie przeszkadzałoby ci, gdyby Skye chciała się tam rozejrzeć przed naszym powrotem do Morley Hill? – wtrąca się Brandon.

Przygryzam wargę. Czy naprawdę tego chcę?

– Myślę, że któreś z was mogłoby przeskoczyć przez ogrodzenie do ogrodu – stwierdza Toby – i od wewnątrz otworzyć bramę, chyba że została zamknięta na kłódkę. Przed domem jest kamera monitoringu, druga przy bocznej bramie, a trzecia nad drzwiami werandy.

Brandon wyrzuca puste pudełko po cieście do kosza za ladą.

– Co o tym sądzisz, Skye?

Wyobrażam sobie czerwoną wodę i wodorostowe włosy Luisy. Ale miałam w sobie na tyle odwagi, by skoczyć z wieży. Udało mi się dotrzeć aż tutaj.

– Dobrze, zrobię to.

27

Pokonanie drewnianego ogrodzenia nie będzie proste. Płot jest wysoki, nie ma się czego chwycić, brak też słabych punktów. To wyjątkowy ogród. Plusem jest to, że nowi właściciele nie dodali na szczycie drutu kolczastego czy kartki z informacją, że został pokryty specjalną farbą antywłamaniową.

– Zrobię ci podpórkę – proponuje Brandon. – Co jest po drugiej stronie?

– Kwiaty.

– Dobre miejsce do przeskoczenia?

– Nie gorsze niż inne – odpowiadam, patrząc na jego bicepsy. – Gotowy?

– Do dzieła. – Brandon staje bokiem do ogrodzenia ze splecionymi palcami, abym mogła na nich stanąć. – Odepchnij się od moich rąk, a ja spróbuję cię podnieść.

Nasłuchujemy, czy nikt nie nadjeżdża. Następnie robię krótki rozbieg i stawiam trampek w strzemienu z jego dłoni. Nie wyczuliśmy odpowiedniego momentu. Tracę równowagę i mimo że dosięgam do krawędzi ogrodzenia, jestem zbyt nisko, by się na nie wspiąć.

– Au!

– To była rozgrzewka – mówi Brandon po tym, jak zesłam na ziemię i sprawdziłam zadrapanie na nodze w miejscu, w którym miała kontakt ze ścianą. – Raz, dwa, trzy. – Od razu zaczyna odliczanie, a na trzy stawiam stopę stabilniej w jego dłoniach i naciskam na nie mocno, podczas gdy on wypycha mnie do góry. Chwytam krawędź ogrodzenia. Ręce mi się trzęsą, gdy zmuszam je do utrzymania ciężaru ciała, podciągając się wyżej. Kiedy udaje mi się rzucić krótkie spojrzenie na ogród, chwieję się, ale utrzymuję równowagę i po chwili już wiem, że w koślawym stylu zdołam przeskoczyć na drugą stronę.

Ląduję na grządce różowych kwiatów.

– Nic mi nie jest, gdybyś się zastanawiał – wołam do Brandona i próbuję wskrzесиć kwiatki, prostując je.

W ogrodzie zmieniło się bardzo mało. Jest czysty i ładny, z różowymi, fioletowymi i białymi kwiatami. Nadal brak pomarańczowych i żółtych motywów, czyli kolorów, które nie pasowały do wizji mamy. Trawnik jest starannie skoszony w charakterystyczne pasy. Na werandzie stoją nowe meble ogrodowe w nieco innym stylu. Zwracam uwagę na kamerę monitoringu z tyłu domu, która jest skierowana w stronę drzwi werandy, oraz na nową skrzynkę alarmową.

Wtedy zmuszam się do konfrontacji z basenem. Nadal jest otoczony szklaną ścianą. Za nią lśni woda schowana pod rozwijaną pokrywą. Błękitna, nie czerwona.

– Pójdę wzdłuż ogrodzenia – woła Brandon. – Do zobaczenia przy bramie.

– Okej, daj mi chwilę – odpowiadam, ale mój głos się łamie i jest tak słaby, że równie dobrze mógł mnie w ogóle nie usłyszeć.

„Bądź dzielna”.

Idę po miękkim trawniku w stronę bramki-zabezpieczenia przed dziećmi. Otwieram ją jednoczesnym naciśnięciem i podniesieniem, dokładnie tak samo jak owego feralnego dnia. Dziwne, że w naszych głowach zostają takie najmniejsze detale i zakorzeniają się głęboko bez żadnej przyczyny.

Przy budynku z przebieralnią stoi nowa ławka. Plastikowa, w kolorze turkus. Wygląda świetnie, lepiej niż nasze wiklinowe krzesła, które trzeba było chować przy pierwszych kroplach deszczu i które mogły dziurawić kostiumy kąpielowe, jeśli zapomniało się o białej poduszce pod pupę.

Trudno mi patrzeć na przebieralnię. Ciągnę za drzwi w nadziei, że będą zamknięte. Są zamknięte. Widzę roślinę o małych białych kwiatkach, której zapach czułam w Morley Hill. Dotykam gigantycznej donicy, w której rośnie, i ogarnia mnie jej słodki, silny i orzeźwiający aromat.

Stąpając po twardych, białych kamieniach, moje buty powodują nadzwyczaj donośny hałas, gdy podchodzę do miejsca, w którym Luisa

roztrzaskała głowę. Na posadzce nie ma najmniejszego pęknięcia ani śladu krwi. Kto wyszorował to miejsce? Przyklękam, zanurzam rękę w basenie i od razu ją cofam. Gdyby był ze mną terapeuta, pewnie zapytałby: „Dlaczego to zrobiłaś, Skye?”.

Bez powodu. To tylko czysta woda. Nic złego nie może się stać. Pochyliłam się do przodu i próbuję ponownie: nabieram wodę w dłoń, a następnie czekam, aż spłynie między palcami. Do moich nozdrzy dociera zapach chloru i prawie wymiotuję. Według powtarzanej w naszej rodzinie legendy umiałam pływać, zanim nauczyłam się chodzić. To był mój talent. Umiejętność, która odróżniała mnie od Luisy i Oscara. Zawsze miałam wrażenie, że ten basen należy do mnie. Uwielbiałam jego płytki, których błękit był ciemniejszy niż w większości basenów, jego nagłe zagłębienie przy jednym z końców oraz fakt, że płynąc w stronę domu, widać było przez szklane panele drugą stronę ogrodu.

– Skye? – W głosie Brandona słyszę zaniepokojenie.

Opuszczam strefę basenu i biegnę w kierunku wysokiego ceglanego muru na końcu ogrodu, w zacienione miejsce, gdzie unoszą się chmury owadów, a rosnąca między korzeniami drzewa trawa jest sprężysta. Właściciele odnowili kompostownik, dobudowując drewnianą konstrukcję. W moje nozdrza uderza silny zapach ściętej trawy.

Przed bramą stoi taczka, którą przesuwam. Mechanizm ryglujący jest pokryty rdzą jak zawsze. Żadnych kłódek.

– Skye?

– Jestem tutaj – wołam zza bramy. Przygotowuję się do odbezpieczenia zasuw, bojąc się, że ręce mogą mi odmówić posłuszeństwa lub przytnę sobie skórę.

Jedną z zasuw muszę poluzować, poruszając nią w górę i w dół, druga puszcza bez oporu. Brandon pomaga mi otworzyć bramę na tyle, by mógł wślizgnąć się do środka.

– Witam w moim starym ogrodzie – mówię.

– Ładnie tu – przyznaje, podchodząc do głównego trawnika. Zatrzymuje

się na widok basenu, a ja go doganiam.

– Zamoczmy stopy – proponuję. Tym razem do otwarcia bramki zabezpieczającej potrzebuję kilku prób.

– Organizowałaś imprezy w basenie? – pyta Brandon, zbliżając się do wody, po czym ściąga trampki i skarpetki i zanurza stopę. – Oj, zimniejsza, niżby się wydawało.

– Kilka, ale rodzice mieli bardzo surowe zasady. Bali się, że ktoś mógłby utonąć. – Odwracam wzrok w stronę miejsca, gdzie dawniej stała trampolina.

– To musi być dla ciebie trudne. Gdy tylko będziesz chciała wracać, wrócimy.

– Dzięki, na razie czuję się dobrze. – To prawda. Jest mi tu dobrze.

Brandon siedzi na skraju basenu ze stopami w wodzie i rękawami bluzy podciągniętymi do łokci. Trudno mi pojąć, że naprawdę tu jesteśmy. To jak zderzenie dwóch światów.

– Gdy już się przyzwyczaisz do temperatury, jest całkiem przyjemnie – oznajmia Brandon.

Powoli przykucam, rozsznurowuję buty, jeden po drugim, wstaję i je zdejmuję. Żadne z nas się nie odzywa. Siadam obok niego z podciągniętymi nogawkami. Powolnym ruchem zawieszam kolejno nogi nad powierzchnią wody, rozciągając mięśnie brzucha.

– No, dalej – zachęca mnie Brandon i po chwili zanurzam nogi w basenie, wydając stłumiony krzyk.

Zataczamy kręgi stopami. Chyba nigdy nie siedziałam w ten sposób przy basenie. Woda zawsze zbyt mocno mnie przyciągała i nie umiałam się oprzeć przed zanurzeniem w niej.

– Gdybym miała kostium, mogłabym popływać.

– Możesz się rozebrać – stwierdza Brandon, po czym dodaje zawstydzony: – To znaczy nie do naga. Zostać w bieliźnie. To prawie jak bikini, prawda?

„Niezupełnie”. Mam na sobie liliowe majteczki z koronką. A stanik... Odsłaniam ramię koszulki. To nie ten, który kiedyś był biały, a teraz jest szary, ale zupełnie nie pasuje do majtek: turkusowy z białymi ramiączkami.

Ale najważniejsze jest to, że chcę pokonać swoją fobię. Basen jest czysty i spokojny, a mnie daleko do panikowania. Cała ta historia z MessageHound już się skończyła. Wszystko się skończyło.

– Zrobię to – postanawiam. Nie namyślając się, zrzucam wierzchnią warstwę ubrań i biegnę do płytszego końca basenu.

Brandon śmieje się, patrząc, jak zanurzam się w wodzie, która sięga mi do ud, i piszczę z zimna.

– Właściciele nie są fanami ogrzewania wody – komentuję.

– Są na wakacjach – tłumaczy Brandon. – Nie spodziewali się gości.

Gdybym miała kostium, poruszałabym się znacznie wolniej, ale teraz, chcąc ukryć stanik, przykucam i zanurzam się po szyję.

– O Boże! – krzyczę. – Nie czuję nóg.

– Więc płyń.

– Wskoczysz tu?

– Nie. Za zimno dla mnie.

– Mięczak.

„Jestem w basenie, w którym zginęła Luisa”. Ta świadomość ścisza moje gardło. Robię wdech i wydech przesadnie głośno, aby móc go kontrolować. Po kilku sekundach tracę koordynację. Zamieniłam się w moją babcię, która pływała tak wolno, że nigdy nie rozumiałam, dlaczego nie idzie na dno.

„Jedna długość i wychodzę”. Odwracam się w stronę domu i odpycham od pokrytej gładkimi płytkami ściany po płytszej stronie. Wyciągając szyję tak, by trzymać głowę ponad wodą, układam się na wodzie i kopię nogami na tyle, by poruszać się naprzód. Czuję się z tym nienaturalnie, więc zanurzam głowę. To ulga móc schować się w świecie przytłumionych dźwięków i rozproszonego światła. Bezwiednie zmieniam styl na kraul i ogarnia mnie znajome uczucie oderwania od realnego świata. Na końcu basenu wynurzam głowę, chcąc zaczerpnąć powietrza.

„Zrobiłam to: przepłynęłam jedną długość”.

Przede mną, za szklanymi panelami, znajduje się trawnik i weranda. W swoich wizjach często jestem właśnie tu, na skraju basenu, i w ten sam

sposób spoglądam w stronę domu. Widzę biegnącą Luisę. Tego popołudnia nikogo tam nie ma, mimo to moje serce bije nieregularnie, a żebra się zaciskają.

„Nie mogę oddychać”.

Cisowy Domek, ubiegłe lato

Robię kilka długości, w większości pod wodą, na jednym oddechu – to mój ulubiony trening. Wynurzając głowę po przepłynięciu kolejnej długości, jestem zwrócona w stronę domu i widzę biegnącą po trawie Luisę. Próbuje mi coś pokazać.

Później, kiedy jedynymi dźwiękami są odgłosy ptaków, szczekający w oddali pies i łomot w mojej głowie, pozostaję w ukryciu. Wciskam twarz w kolana i wciągam w nozdrza opary chloru ze skóry, które sączą się do każdego skrawka mojego ciała.

Zostaję tam, ale sama nie wiem, jak długo. Mój mózg zamienia się w papkę i nie potrafi analizować faktów.

Kiedy już się podnoszę i wychodzę na zewnątrz, widzę czerwoną wodę, unoszące się w niej ciało pozbawione życia i falujące włosy. Jest też mama. Zrzuca sandały i wskakuje w ubraniu do basenu. Wyciąga Luisę na brzeg.

– Dlaczego nic nie zrobiłaś? – krzyczy na mnie z czerwonej wody. Wkrótce pojawia się policja i inni. Na skroni Luisy widzę rozcięcie, które kojarzy mi się z surowym mięsem. Jej twarz jest nabrzmiała. Wiem, że moja siostra jest martwa, ale na razie to zbyt potworna myśl do pojęcia. Dlatego krzyczę na nią, by się obudziła, i nie potrafię przestać.

Teraz

Wystaję w połowie poza basen. Moja głowa leży na zgiętych rękach. Jakbym została wyrzucona przez morze na brzeg. Płucom brakuje tlenu, a serce bije zdecydowanie zbyt szybko. Z czoła spływa mi pot, nie woda.

– Skye, podaj mi rękę.

Brandon wyciąga mnie z basenu i siadam roztrzęsiona, czekając, aż spłynie ze mnie strach. Nie mam na tyle energii, by się przejmować, że widzi mnie półnagą albo że mam na sobie starą niedopasowaną bieliznę.

– Czy to był atak paniki? – Zdejmuje bluzę i okrywa mnie nią. – Za minutę się ogrzejesz – to mówiąc, energicznie masuje moje plecy i siada tak blisko, że jest na mokrej plamie, która powstała wokół mnie.

W tej pozycji spędzamy sporo czasu. Stopniowo zaczynam się rozluźniać. W końcu Brandon się odzywa:

– W szóstej klasie był u nas chłopak, który utonął podczas wakacji w hotelowym basenie po przedawkowaniu narkotyków.

Próbuje mi tym samym powiedzieć, że mnie rozumie.

– Moja siostra nie brała narkotyków – odpowiadam. – Zaczęła nimi handlować na studiach. Jej chłopak, Nico, był dilerem. Chodziło o pieniądze. Luisa wiedziała, że tata zapożyczył się na sporą sumę i nie jest w stanie spłacić długu. Byliśmy na skraju utraty domu, a ona mogła stracić kieszonkowe... a lubiła mieć fajne rzeczy. – Aby zrozumieć prawdę, trzeba spleść ze sobą kilka wątków. Nigdy dotąd nie próbowałam nikomu tego tłumaczyć z taką precyzją. – Wydaje mi się, że podobały jej się też emocje związane z handlowaniem. Chyba na początku robiła to dla żartu. Myślała, że

sobie poradzi. Była przyzwyczajona do tego, że to ona decyduje i robi wszystko po swojemu. Taka już była.

Moje usta są suche i czuję na wargach smak chloru. Wtulam się w swoje kolana, tak jak tamtego dnia.

– Powiedziałam ci, że nie było mnie tutaj, kiedy Luisa utonęła, ale skłamałam. Byłam schowana tam – wskazuję przebieralnię. – Luisa i Nico zadarli z jakimś dilerem z Hoathley, ponieważ zaczęli handlować na jego terytorium. Przyjechał do naszego domu, żeby... z nią porozmawiać. – Mój żołądek zaciska się w supeł. – To była moja wina. Powiedziałam mu, gdzie mieszkamy, i doprowadziłam go prosto do niej.

Później, gdy przesłuchiwała mnie policja, zdałam sobie sprawę, że podałam dilerowi adres jakiś tydzień przed śmiercią siostry. Byłam dumna, że mogę być częścią jej interesu związanego z suplementami diety, i kilka razy pomogłam jej rozwieźć różowe koperty. Miałam wtedy wręczyć kopertę kobiecie siedzącej samotnie na ławce w parku, ale kiedy tam dotarłam, była z kimś, z jakimś mężczyzną. Zapytał mnie, gdzie Luisa prowadzi swój biznes. Miałam nie rozmawiać z klientami, ale Luisa została na parkingu i rozmawiała przez telefon, a ja wiedziałam, że będę musiała poczekać, aż skończy. Powiedziałam, że w Pitford. Zapytał, czy obok sklepiku na farmie. Był uprzejmy i uśmiechnięty, więc powiedziałam, że po sąsiedzku. W Cisowym Domku. Pomyślałam wtedy, że „Cisowy Domek – suplementy diety” brzmiałoby dobrze, ale kiedy wróciłam do samochodu, Luisa nadal rozmawiała i zapomniałam jej o tym napomknąć.

– Nie wiedziałaś, co robisz – broni mnie Brandon. Kręcę głową. Nie wiedziałam, ale byłam taka głupia. Zbyt ufna. Bluza z kapturem miękko przylega do mojej skóry. Ma zapach Brandona. Mogłabym przestać mówić, ale wtedy nie wyznałabym całej prawdy.

– Luisa i ten diler pokłócili się – kontynuuję. – Obserwowałam ich przez szparę w drzwiach.

„Mów dalej – powtarzam w duchu. – Do końca”.

– Według policji uderzył ją pięścią. Wtedy miałam już schowaną w kolanach twarz, ale słyszałam jej krzyk. – Wzdrygam się na wspomnienie

wrzasku, który posiekał mi mózg i pozbawił mnie oddechu. – Po ciosie straciła równowagę i potknęła się. Uderzyła się w głowę i nieprzytomna wpadła do basenu. I utonęła. – Robię minimalną przerwę, po czym nieodwracalnie zmieniam opinię Brandona na swój temat. – Utonęła, bo jej nie uratowałam. Byłam tam i nic nie zrobiłam – mówię drżącym głosem. – Luisa kazała mi się schować i nie wiedziałam, czy ten facet już odjechał, czy nie, ale to tylko wymówki. Byłam sparaliżowana szokiem i... przerażeniem. Tak jakbym zamarzła i nie wiedziała dlaczego.

– Och – mówi Brandon, a przynajmniej tak to zabrzmiało. Takie przestraszone „och”. Siedzimy dalej w ciszy, a ja wyobrażam sobie, o czym może myśleć.

– Zawsze są rzeczy, które ludzie zrobili lub ich nie zrobili i później tego żałują – odzywa się w końcu. – Mój tata ciągle się martwił, że mieszkamy zbyt blisko słupów telegraficznych, a mama uważała, że powinni zabrać brata na leczenie w jakieś inne miejsce.

Mam wrażenie, że celowo zmienił znaczenie wszystkiego, co przed chwilą powiedziałam, jakby wstydził się stawić czoło rzeczywistości.

– Ty nic nie rozumiesz – nie ustępuję. – Powinam była coś zrobić i to na sto procent mogło uratować życie mojej siostry. – Podnoszę się. – Ty mówisz o czymś zupełnie innym. Dlaczego udajesz, że to to samo?

– Ja tylko...

Nie zniosę tego uspokajającego tonu.

– Przestań. Nie potrzebuję niczyjego współczucia.

– Skye, ty...

– Co? – krzyczę. Chciałabym usłyszeć, co naprawdę chce mi powiedzieć pod przykrywką tej pokrzepiającej gadki. – Co ja?

Brandon marszczy czoło.

– Przesadzasz.

Ale to ja wiem, co widziałam. Widziałam też szok w jego spojrzeniu, kiedy mu powiedziałam. Nie chce mnie denerwować. Będzie mu łatwiej próbować mnie uspokoić do czasu, aż się ode mnie uwolni.

– Więc mi odpowiedz: gdybyś mógł uratować brata jakąś transplantacją, mimo że istniałoby dość duże ryzyko dla twojego zdrowia, podjąłbyś próbę?

– Jasne. Zrobiłbym wszystko, żeby go ocalić.

– No widzisz. Właśnie o tym mówię.

– Ale...

– Sam przyznałeś. Zrobiłbyś wszystko, żeby go ocalić.

– Na Boga... – Brandon traci cierpliwość. Kręci głową i wstaje. Patrzy na bramę. Założę się, że chciałby odejść i mnie tu zostawić. Zawiodłam go. Zdegustowałam.

Przynajmniej wie teraz, jaka jestem. Czuję ulgę po tym otwarciu się.

Zdejmuję jego bluzę i mu oddaję.

– Powinniśmy już wracać.

Bierze ode mnie bluzę.

– Nie jest ci zimno?

– Przeżyję – odpowiadam. Nic mi nie będzie. Muszę tylko pojechać do Morley Hill, przetrwać jeszcze jedną noc i mogę wracać do domu. Mam dość drużyn, rozmów i bycia jedną z żółtych. Sięgam po swoje ciuchy i czuję ból w całym ciele. Zmęczenie wdarło się do każdej mojej komórki. Ubranie się zajmuje mi trochę czasu, ponieważ materiał klei się do mokrej skóry. Kiedy patrzę w dół, widzę wstydlive mokre plamy na spodenkach i koszulce. Chciałabym mieć znowu na sobie jego bluzę, ale nie zamierzam o nią prosić. Brandon założył już skarpetki i trampki i czeka na mnie przy wyjściu. Wyciskam wodę z włosów i zakładam buty. Przechodzę kilka kroków, po czym zatrzymuję się, by je zasznurować. Zajmuje mi to całą wieczność z powodu sztywnych, przemarzniętych palców.

Opuszczamy strefę basenu w ciszy i pewnie zamykam bramkę, tak że głośno klika. Ten odgłos roznosi się echem po ogrodzie i w mojej głowie.

Przy ogrodzeniu Brandon pyta cicho:

– Zostawimy bramę otwartą od środka?

Już się ode mnie odseparowuje.

Kręcę głową. Właściciele oszaleliby, gdyby spostrzegli, że ktoś otworzył bramę od środka, ale problem w tym, że jest ona wbudowana w mur, przez co trudno się na nią wdrapać. Zerkam w stronę najbliższego drzewa.

– Wydaje mi się, że dam radę przejść z gałęzi na mur, a potem na ziemię.

Brandon wygląda na zaskoczonego, ale przytakuje, po czym przeciska się przez otwartą bramę i znika.

Rygluję zasuwę i odprowadzam taczkę na swoje miejsce. Nie śpiesząc się, wciągam się na pierwszą gałąź drzewa. Moje ciało nie pracuje tak sprawnie jak dawniej, a ubrania są niewygodne, ale nie mogę teraz o nich myśleć. Ani o Brandonie.

„Wspinaj się. Do góry, do góry”.

Chwytam za gałąź, która powinna pozwolić mi dotrzeć na szczyt ogrodzenia. Raz. Dwa. Trzy. „Ziuuu”. Trochę tracę równowagę, ale udaje mi się odbić od ściany i zeskoczyć na pole. Ląduję w kuckach na obie nogi w kępkowatej trawie. Jestem w szoku, że udało mi się nie zrobić sobie krzywdy.

Jest przy mnie Brandon.

– Wszystko w porządku?

Kiwam głową.

– To dobrze, chodźmy.

Na polu stoją krowy, ale żadne z nas nie ma ochoty na strojenie sobie z nich żartów. Skupiamy się na powrocie do drogi.

– Więc już po wszystkim – mówi Brandon na przystanku autobusowym, kiedy widzimy pojawiający się w oddali autobus. Wiem, że ma na myśli wiadomości, ale może odnosi się też do strachu przed pływaniem, do tego jestem pewna, że częściowo chodzi mu o nas.

– Aha. Tobie nie planował tej akcji ze straszaniem. Po prostu go poniosło.

Brandon kiwa głową, ale nie wiem, czy naprawdę mnie słucha. Ogląda żywopłoty i mury nowo postawionych domów. Przygląda się dzieciakom na rowerach. Czekając na drugi autobus w Hoathley, bawi się telefonem. Myślę

o długim prysznicu, który mnie czeka po powrocie do pokoju. Do zmycia zapachu chloru potrzeba wiele czasu i dużej ilości żelu do kąpieli.

Idąc przez pole, mówię w końcu:

– Dzięki, że ze mną pojechałeś. Przepraszam za nadmiar wrażeń.

– Nie ma za co. – Jest teraz dla mnie bardzo formalny i wcale nie mam mu tego za złe.

Jutro wieczorem będę już w domu. Nie będę prowokowała mamy, odpowiem na każde z pytań taty dotyczących obozowych zajęć i będę udawała zainteresowanie i wielką zazdrość o wszystko, co robił Oscar w czasie mojej nieobecności. I ciągle będę próbowała zapomnieć o Brandonie.

Przechodzimy przez ostatni płot i docieramy do miejsca na ognisko. Żegnamy się pośpiesznie, po czym rozchodzimy do swoich bloków.

Idę do pokoju. Dziewczyn nie ma w środku, ale oczywiście Fay zdążyła się już spakować. Zestawiła walizkę z półki na łóżko, a ten jej koszmarny królik leży na poduszce. Rzeczy Danielle, podobnie jak moje, są porzucane po całym pokoju. Nadal zmarznięta po pływaniu wślizguję się pod kołdrę i na pięć minut chowam pod nią głowę, zanim wezmę prysznic.

Drzwi otwierają się gwałtownie i słyszę głos Danielle:

– Skye, gdzie byłaś? Jesteś chora?

Ściągam poduszkę z głowy i przewracam się na bok.

– Byłam na małej wycieczce. Teraz odpoczywam.

– Widziałaś Fay?

– Nie, a co?

– Nigdzie jej nie ma. Muszę ją znaleźć.

Ponownie obracam się na brzuch i opieram czoło na skrzyżowanych rękach.

– Pewnie poszła gdzieś z Joem i wróci na obiad.

– Joe twierdzi, że od dawna jej nie widział.

Unoszę głowę na tyle, by Danielle mogła mnie usłyszeć, i pytam:

- A o co tyle szumu? Dlaczego jej potrzebujesz?
- Nie ma też moich tabletek.

30

Zginęła mała puszką wraz z zawartością: białymi kredowymi tabletkami i walcowatymi pigułkami w bladoniebieskiej otoczce.

– Brałam je dziś rano – mówi Danielle. – Ktoś musiał tu wejść i je ukraść – mówiąc to, rzuca mi oskarżycielskie spojrzenie. – Nikomu o nich nie mówiłaś, prawda?

Siedzę oparta o poduszkę. Trzeba było wejść pod prysznic od razu po powrocie. Moje ubrania cuchną, a włosy są sztywne i poplątane.

– Nie.

– Wiedziałyście o nich tylko ty i Fay. Kiedy spytała, co trzymam w tym pojemniku, powiedziałam, że tabletki na migrenę.

„Poważnie?”. Lekarstwo na migrenę luzem w pudełeczku zamiast w listkach? Fay, która chce zostać lekarzem, z pewnością by tego nie kupiła.

– A po co miałyby je zabierać? Może znalazła je sprzątaczką i komuś oddała.

Danielle przygryza wargę.

– Fay wpędzi mnie w tarapaty, jestem pewna. Powiedz mi, czy ten pokój wygląda, jakby ktoś w nim sprzątał w ciągu naszego pobytu?

Ostatni raz widziałam Fay w busie, w drodze powrotnej z bazy wojskowej, gdzie siedziała wtulona w Joego.

– Może powiedziała Joemu i to jego sprawka? Chciał ci dać nauczkę. Wiesz, jaki on jest.

– Rozmawiałam z nim. Powiedziałam, że jej szukam, ale nie wyjaśniłam dlaczego. Dowiedziałam się, że mówiła mu, że chce spędzić trochę czasu sama, aby się spakować. Szukam jej już długo. Przejdziesz się ze mną jeszcze

raz przed obiadem? Muszę zrobić rundkę wokół wioski.

– A mogę się najpierw wykapać?

– Nie, dobrze wyglądasz. Zaraz... Czy ty pływałaś? Te mokre włosy... Myślałam, że masz fobię.

– Ja... – To zbyt skomplikowane. Zabieram z walizki suche ubrania i idę do łazienki. – Daj mi chwilę.

Idę za Danielle i sprawdzamy kolejno wspólną salę, pokój, w którym czerwoni ćwiczą grę, główną jadalnię, żółtą jadalnię, pokój gier i basen. Wyczuwam u Danielle rosnącą panikę związaną z zaginionymi tabletkami i proponuję spacer alejkami po ośrodku, łącznie z tą prowadzącą wokół jeziora.

Zatrzymujemy się przy hangarze, by zapaliła papierosa. Dzisiaj skończyły się zajęcia na łodziach, więc nie ma tu żadnych instruktorów.

– Będę miała poważne problemy – stwierdza Danielle, opierając się o ścianę przy dużych zamkniętych drewnianych drzwiach wychodzących na jezioro, po czym zamyka oczy.

Otwieram boczne drzwi hangaru i wchodzę do środka. Jedyne dwa okna są częściowo pokryte zieloną, wilgotną pleśnią, a światło nie działa. Wewnątrz jest ponuro i na pewno nie jest to miejsce, w którym chciałoby się przebywać. Przechodzę obok poręczy z kamizelkami ratunkowymi i metalowych schowków na buty. Kajaki leżą na stojakach przy dużych drzwiach. Po przeciwnej stronie znajduje się blat z częściami łodzi i narzędziami, wgnieciona szafka na dokumenty, a na samym końcu część kuchenna z paskudnymi plamami na ścianie. Na blacie leży oparty o ścianę zalaminowany certyfikat BHP, pod którego spodem ktoś dopisał markerem „wolne żarty”.

– Nie ma jej tu! – wołam.

Danielle dopala papierosa, wyrzuca go do jeziora i idziemy dalej. Kolejne budynki są pozamykane. Zastanawiamy się, w co ostatnio była ubrana Fay, i uznajemy, że w koszulkę z koalą na przedzie i krótkie spodenki,

najprawdopodobniej różowe. Pytamy kilkoro czerwonych, którzy ćwiczą śpiew na kilka głosów, czy jej nie widzieli. Nie widzieli.

– Musimy spróbować we wsi – stwierdza Danielle.

– Która godzina?

Zerka na telefon, ale mi nie odpowiada.

– Zajmie nam to pięć minut – nalega.

– Zaczekajmy do obiadu. Zobaczymy, czy się pojawi. – Zastanawiam się nad pięciominutowym prysznicem. Wyobrażam sobie czyste włosy i skórę, które nie będą mi przypominały o basenie w Cisowym Domku.

Danielle ciągnie mnie za rękę.

– No chodź. – Prowadzi mnie ścieżką w stronę recepcji. – Na pewno znajdziemy ją na ławeczce obok krzyża – mówi bez przekonania.

– Za nic nas nie wypuszczą o tej godzinie. Będziemy musiały wyjść z tyłu, przez pola.

– Robiłaś to już? Z Brandonem? – mówiąc to, puszcza mi oczko. Nie podoba mi się ten gest.

– Podczas tej zabawy w podchody, pamiętasz? – Kieruję się w stronę furtki.

– Dookoła robi się z tego niezły dystans – marudzi Danielle, gdy pokonujemy ogrodzenie na końcu pierwszego pola. – Ej, nie masz czasem numeru Fay?

– Nie i jak znam życie, już dawno spakowała telefon. – Przypominam sobie walizkę na zaścielonym łóżku. Królika na poduszce. Gdy weszłam do łazienki, aby się przebrać, nie było tam nic z jej kosmetyczki. Musiała już wszystko schować. Dlaczego to zrobiła? Przecież potrzebuje tych rzeczy na dziś wieczór i jutro rano. I dlaczego nie daje mi to spokoju?

– Danielle, musimy wracać do pokoju.

– Słucham?

– Musimy sprawdzić walizkę Fay – mówiąc to, odwracam się i ruszam biegiem ścieżką, pokazując Danielle, by za mną podążyła. – Szybciej! –

krzyczę, przyśpieszając. – Wszystko ci wyjaśnię na miejscu.

Cisza panująca w pokoju napawa mnie obawą. Niepokój zamienia się w strach. Dotykam zamszowej powierzchni burgundowej walizki, wyczuwam palcami zamek i szukam jego końca.

– Fay spakowała się na dobre – stwierdzam. – To zły znak.

Suwak wydaje głośny zgrzyt, kiedy go rozsuwam. Powoli otwieram wieko. Na samej górze, na poskładanych ubraniach, leży złożona kartka. Danielle zagląda mi przez ramię, a ja wyciągam kartkę, żeby lepiej ją widziała. Takiego listu nie czyta się na głos.

„Mamo,

nie mogę żyć we wstydzie.

Przepraszam za wszystko.

Fay”

Danielle chowa twarz w dłoniach.

W głowie mam obraz Luisy unoszącej się w basenie twarzą w dół.

– Musimy znaleźć Pippę – mówię.

W żółtej jadalni większość osób ponakładała sobie jedzenie i zasiadła do obiadu. Pippa stoi na końcu kolejki. Już po sposobie, w jaki weszliśmy do jadalni, wie, że stało się coś złego. Wręczam jej kartkę, a Danielle tłumaczy, o co chodzi z tabletkami. W całym pomieszczeniu rozlegają się szepty, a następnie szalone spekulacje, zwłaszcza gdy ludzie widzą łkającą Danielle. Wyczuwam, że Brandon na mnie patrzy i chce się dowiedzieć, co się dzieje, ale gdy Pippa prosi, żebyśmy wyszły z nią na zewnątrz, wykonuję jej polecenie, nie zerkając na niego.

– Pójdziemy do gabinetu w budynku recepcji – oznajmia Pippa, gdy tylko zamykają się za nami drzwi jadalni. – Wiemy, co robić w takich okolicznościach. Skontaktuję się z policją i dyrektorem ośrodka. Wszyscy instruktorzy pomogą nam w poszukiwaniach. Nie martwcie się.

Kiwam lekko głową. Wydaje się, że Pippa wie, co mówi.

– Zaczekajcie! – Biegnie za nami Joe. – Co się stało? Jeśli chodzi o Fay, muszę się dowiedzieć.

– Wiesz, gdzie ona jest? – pyta Pippa.

Joe kręci głową.

– A ta kartka... Czy to...

– Ty i Fay jesteście blisko – przerywa mu Pippa. – Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

– Po południu, po pływaniu. Chciała się spakować. Co się stało?

– Myślimy... – Pippa wolno wypowiada słowa – chociaż nie jesteśmy pewni... że mogła przedawkować leki, ale nie wiemy, gdzie jej szukać.

Joe zaciska powieki.

– Nie, tylko nie to. Znowu...

Czy to zwykły zbieg okoliczności, że coś podobnego przytrafia mu się ponownie?

– To musi być dla ciebie trudne – dodaje Pippa – ale potrzebuję twojej pomocy. Dzwoniła do ciebie dzisiaj? A może pisała?

Kręci głową.

– Nie, nie dała znaku życia. – Brzmi całkiem przekonująco, ale ja mu nie ufam.

– Możesz sprawdzić telefon? – uprzedzam Pippę.

– Nie kontaktowała się ze mną – mówi z naciskiem Joe, ale wkłada dłoń do kieszeni spodenek, aby wyjąć z niej telefon. Patrzy na ekran. – Żadnych wiadomości. – Następnie odblokowuje ekran i pokazuje go Pippie. – Dzisiaj nic. Wie, że za bardzo nie lubię korzystać z telefonu.

Jego wieczorna wiadomość do Fay na pewno będzie gdzieś zapisana. „Śnij o aniołkach, Fay x”. Dobór słów przyprawia mnie teraz o dreszcze.

– Dzięki, Joe. Chodź z nami do gabinetu. Ty też powinieneś złożyć zeznania.

– Jasne. Pomogę, na ile będę mógł.

Zanim chowa telefon do kieszeni, zauważam jego tapetę. To zdjęcie jego i Fay. Dziewczyna ma na nim coś, co już kiedyś widziałam, ale u kogoś innego. Trójkątny kawałek wyrzeźbionego drewna z niewielkim symbolem.

Prawie identyczną ozdobę widziałam na fotografii Kyry. Ale najbardziej niepokoi mnie fakt, że na obu zdjęciach dziewczyny mają takie samo nieobecne spojrzenie.

31

Danielle, Joe i ja czekamy w ciszy, podczas gdy Pippa wykonuje kilka telefonów. Nie mogę usiedzieć w spokoju. Krzyżuję i prostuję nogi, gryzę wewnętrzną część policzka. Cała grupa żółtych powinna teraz szukać Fay. Ktoś powinien przeczesywać każdy centymetr ośrodka. Nie rozumiem, dlaczego nie ma tu jeszcze policji, dlaczego nie słychać syren. Kiedy przybywa dyrektor ośrodka, pyta nas o to, co wiemy, sporządza notatki i prosi, byśmy poczekał w biurze do czasu, aż Pippa wyda polecenia instruktorom w pokoju dla pracowników. Gdy już jesteśmy sami, Danielle mówi:

– Mój tata bardzo to przeżyje.

– Jesteś niewiarygodnie samolubna – komentuje Joe, po czym wstaje i podchodzi do tablicy ogłoszeń. – Powinnaś myśleć raczej o Fay. I o tym, co zrobiłaś. – Jest odwrócony plecami do nas, pochyla głowę i masuje skronie, ale mogłabym przysiąc, że czyta któryś z listów przyczepionych do tablicy.

Tak wiele rzeczy z nim związanych nie daje mi spokoju. Zdjęcia z Kyrą i Fay w podobnych naszyjnikach i z podobnymi minami, kłamstwa na temat daty urodzin Kyry, jego dziwne zachowanie. Jednak to wszystko jest mało konkretne i nie mam argumentu, który mogłabym przedstawić policji, nie wychodząc przy tym na wariatkę.

Ja też się podnoszę. Muszę się ruszyć, coś zrobić. Przez okno widzę parę instruktorów, którzy nadjeżdżają na rowerach i kierują się w stronę stojaka. Zwlekają z zapinaniem kłódek. Rozmawiają swobodnie. Mam ochotę na nich wrzasnąć, by się pośpieszyli. Trzeba znaleźć Fay. Tracimy czas.

„Myśl. Myśl!”. Czy Fay zostawiła jakieś wskazówki co do miejsca, do którego się uda? O czym wtedy myślała?

Instruktorzy oddalają się, a ja chodzę po całym pokoju, aż w końcu staję przy drugim oknie, z którego widać cały teren ośrodka. Opieram głowę o szybę, pragnąc, by chłodne szkło mnie orzeźwiło. Widzę stąd drogowskazy z nazwami poszczególnych części Morley Hill. „Ognisko”, „Park linowy”, „Basen”... „Jezioro”. W głowie mam słowa Fay z dnia, w którym pływaliśmy kajakami:

„Chciałabym mieszkać na takiej wyspie. Samotnie. Z dala od cywilizacji”.

Mogła popłynąć na wyspę. Na przykład kajakiem. Dotarcie tam nie zajęłoby jej wiele czasu. To odosobnione miejsce. Podobało jej się. Nikt by jej nie zauważył, bo po jeziorze pływa wiele kajaków.

– Wracam za chwilę – zwracam się do Joego i Danielle.

Danielle kiwa głową, ale Joe się podnosi.

– Dokąd się wybierasz? Powinnaś tu zostać. Tamten facet nas o to poprosił.

Ignoruję go, opuszczam pomieszczenie i wpadam do pokoju dla personelu. W jego drzwiach stoją instruktorzy, których widziałam na rowerach.

– Proszę – dyszę. – Muszę natychmiast porozmawiać z Pippą. Chyba wiem, gdzie możemy znaleźć Fay.

Wszyscy patrzą najpierw na mnie, a następnie ze zdziwieniem na siebie nawzajem, jak gdyby nie wierzyli, że ktokolwiek spoza pracowników Morley Hill może wiedzieć, gdzie przebywa dziewczyna.

– Hmm, no dobrze – odzywa się jeden z nich, wystawiając głowę z pokoju. – Rozmawia przez telefon. – Po chwili znowu zwraca się w moją stronę. – Więc jaki masz pomysł?

– Wyspa na jeziorze.

– Okej. Żaden problem. Jestem pewien, że sprawdzimy wszędzie. Ale najpierw zaczekamy na instrukcje.

– Powinniście się pośpieszyć – mówię łamiącym się głosem. – Czy mogę porozmawiać z dyrektorem ośrodka?

Instruktor patrzy na mnie bez zrozumienia.

– To znaczy z kim?

– Z tym wysokim. – „Doskonały opis, Skye”. Nie pamiętam, jak się nazywa ani w co jest ubrany. Chyba w szarą koszulkę z białym logo. Kręcę głową. Nie mogę dalej tracić czasu. – Zapomnij o tym. Powtórz Pippie, co powiedziałam, gdy tylko skończy rozmawiać.

– Dobrze. – Jego odpowiedzi już nie słyszę, ponieważ biegnę do hangaru z łodziami.

* * *

Jedynym miejscem, którego nie sprawdziłam w hangarze za pierwszym razem, były stojaki. Nie upewniłam się wtedy, czy nie brakuje jakiegoś kajaka. Ciągnę za duże frontowe drzwi. Otwierają się ze skrzypieniem, rozpędzają się i z impetem głośno uderzają o ścianę. Jedno miejsce na stojaku jest puste. Jeszcze wilgotne po kajaku, który wylądował tu po popołudniowej sesji, po czym ponownie został zwodowany.

Albo wzięła go Fay, albo któryś z instruktorów sportów wodnych, albo też w ośrodku zawsze był o jeden kajak mniej od miejsc na stojakach, a mokre plamy są spowodowane przestawianiem łodzi po treningu. Zakładam wersję z Fay i nie mogę się doczekać, aż ktoś oprócz mnie zacznie działać. Już zbyt wiele czasu stracono na sporządzanie notatek i wydawanie instrukcji.

Wszystkie kajaki są jednoosobowe. Jeśli Fay jest na wyspie, to albo będę musiała ją przekonać, by wróciła sama, płynąc obok mnie, o ile będzie w stanie, albo zaczekamy na pomoc ze strony instruktorów. Wyciągam najbliższy kajak i kładę go na ziemi, po czym biegnę z powrotem po kamizelkę ratunkową i wiosło.

Ubrana w kamizelkę ciągnę kajak do jeziora, a wiosło i japonki wrzucam do środka. Przez chwilę zastanawiam się nad skorzystaniem z pomostu, ale decyduję się zwodować go bezpośrednio z brzegu. Gdy woda sięga mi prawie do brzegu spodenek, chwytam kajak najstabilniej, jak potrafię, podnoszę jedną nogę i wkładam ją do środka. Powoli umieszczam w kajaku resztę ciała. Już siedzę, ale wiosło utknęło pod siedzeniem. Wyszarpuję je i kajak się chwieje.

„Tylko spokojnie. Oddychaj głęboko”.

Woda jest ciemniejsza i chłodniejsza niż tamtego poranka i ma zapach wilgotnej jaskini lub piwnicy, gdzie można spodziewać się najgorszego.

Mam kiepską technikę, ale najważniejsze, że poruszam się we właściwym kierunku, a łódź zachowuje się raczej stabilnie. Im dalej odpływam, tym ciszej robi się wokół. W oddali słyszę szydercze krzyki ptaków, a bliżej tylko plusk wody pod wiosłem.

W ramionach czuję piekący ból i sztywnienie spowodowane wysiłkiem. Daję z siebie wszystko. Wzrok mam utkwiony w łódź przede mną. Porastające brzeg wyspy drzewa wystają jak włosy z grzywki w nieładzie. Coraz trudniej mi wyciągać wiosło z wody. W końcu zauważam, że woda zmienia kolor. Staje się jaśniejsza, co znaczy, że dotarłam do płyczyny. Znak na brzegu oznajmia: ZAKAZ WSTĘPU NA WYSPĘ (REZERWAT PRZYRODY). Próbuję dotknąć wiosłem dna jeziora. Dosięgam go, ale nadal jest zbyt głęboko, żebym mogła wyskoczyć. Jeszcze pięć machnięć i nie mogę dłużej czekać. Wyciągam jedną nogę, przechylam kajak zbyt mocno i jest po sprawie. Ląduję w wodzie. Jest na tyle płytka, by stanąć na dnie, ale wystarczająco głęboka, by się utopić. Jestem przemoczona od pasa w dół, a ciężar wody ściąga mi spodenki.

Ale udało mi się.

– Fay! – krzyczę. – Fay, to ja, Skye!

Kajak nie chce dać się wciągnąć na żwirowy brzeg wyspy. Zamiast tego kiwa się na powierzchni wody lub cofa w stronę środka jeziora. Próbuję go popchnąć, wyobrażając sobie chaotyczny wzór rys, jaki powstaje przez to na kadłubie łodzi. Wokół mnie na tafli wody lądują ciężkie krople deszczu niczym farba na płótnie, a niebo ciemnieje. Lada chwila nadejdzie oberwanie chmury.

Z wody wyspa sprawiała wrażenie małej, a teraz wygląda jak ogromna dżungla wielkości największego z pól Mulliganów. Jeśli Fay przyплыnęła tu kajakiem, musi być gdzieś blisko, bo na jeziorze nie płynęła żadna łódź. Znajduję swoje japonki, ale z mokrymi stopami chodzi się w nich niewygodnie, więc niosę je w rękę. Do głowy przychodzi mi pewna myśl.

Fay na pewno ukryła kajak po drugiej stronie wyspy, aby nie był widoczny z naszego brzegu. Powinnam była najpierw okrążyć wyspę, zamiast w pośpiechu do niej dobijać.

Kuśtykam po kamienistej plaży. Na zakręcie linii brzegowej spostrzegam zwalone drzewo i przyśpieszam kroku. Gruby pień byłby idealnym miejscem na ukrycie kajaka.

Zeskakując po drugiej stronie drzewa, widzę wystającą spomiędzy krzaków łódź.

– Fay! – krzyczę, przewracając się na ukryty kajak. – Faaaay! – Ale w środku nie ma nic oprócz wiosła. Musiała pójść do lasu. Biegnę wzdłuż gęstwiny jeżyn i pokrzyw, poszukując wzrokiem miejsca, w którym zostały podeptane. Wreszcie zauważam małą przerwę, rzucam japonki na ziemię i wsuwam w nie stopy. Wchodząc ostrożnie do lasu, czuję, że kamienie ustępują miejsca nierównej, miękkiej glebie. Deszcz spada na mnie przez przerwy między gałęziami, a raz na jakiś czas oblewa mnie woda zebrana w liściach, którymi poruszam, idąc. Na pierwszych kilku metrach zostaję kilka razy poparzona pokrzywami i wzdrygam się, słysząc ruch jakiegoś niewielkiego zwierzęcia w pobliżu. Mimo to dalej przedzieram się przez gęstwinę. Moje oczy przyzwyczajają się do ciemności i podążam szlakiem podeptanych roślin. Stopy ślizgają się w japonkach, które też mają problem z utrzymaniem się na ziemi.

Mokre spodenki obcierają mi uda, a odkryta skóra jest wystawiona na działanie pokrzyw, cierni i staje się pożywką dla chmar owadów. Boję się, że zaraz wpadnę na leżące lub zwisające z drzewa ciało Fay. Wyobrażam sobie, jak będzie wyglądała. Czy będzie żywa, czy martwa.

– Proszę, powiedz, gdzie jesteś – wołam głosem, którego nigdy by nie usłyszała przy takiej ulewie.

W tym wilgotnym i zacienionym świecie widzę paprocie, młode pąki i wysuszone opadłe liście, które teraz butwieją, oraz gnijące jagody. Spotykają się tu życie i śmierć. Przeciskam się między dwoma gęstymi krzakami i widzę coś różowego. To spodenki Fay. Dziewczyna leży bokiem na starym ręczniku swojego taty, w krótkich spodenkach, koszulce z koalą

i przemoczonych trampkach. Jej ręce i nogi, podobnie jak moje, są pokaleczone i poparzone pokrzywami. Śpi, jest nieprzytomna albo nie żyje.

– Fay? Fay! Słyszysz mnie? – Przewracam ją na plecy i uderzam w policzki, co widziałam na filmach. – Proszę, otwórz oczy. – Trudno powiedzieć, czy oddycha. Jej twarz jest blada, ale nie śmiertelnie. Klatka piersiowa się nie porusza i nie mogę wyczuć pulsu. Opanowuję panikę i przykładam dłoń do jej ust. Czuję nieznaczny ruch powietrza. Słaby oddech.

– Podniosę cię teraz – mówię, wsuwając jedną rękę pod jej chłodny kark, a drugą pod kolana, i podnoszę ją. Waży mniej od mojego brata, ale nie wiem, jak daleko będę w stanie ją donieść. Jej ciało jest wiotkie, a głowa leci do tyłu.

– Już dobrze, Fay – szepczę. – Pomogę ci. – Krocząc przez gąszcz, nie umiem się ustrzec przed uderzającymi mnie gałęziami drzew czy fragmentami roślin, które wpadają mi do oczu i we włosy. Mięśnie, stawy i cała górna część ciała męczy się od ciężaru dziewczyny.

– Jesteśmy już prawie przy brzegu. Nic ci nie będzie. – Wychodzę z lasu na deszcz i padam na kolana na kamienistej plaży. Nie dam rady jej dalej nieść. Z chwilą gdy ją kładę na ziemi, Fay wydaje z siebie jęk.

Nachylam się nad jej twarzą.

– Fay? Słyszysz mnie? To ja, Skye.

Jej powieki drżą, ale nie otwierają się.

– Nie... – Charczy. – Nie zostawiaj mnie.

– Nie zostawię cię, obiecuję. – Z moich przemoczonych ubrań cieknie woda i przechodzi mnie dreszcz. Mnie jest ciężko, ale stan Fay będzie się w tych warunkach szybko pogarszał.

Nie ma szans, bym dowiosłowała do brzegu z nią przewieszoną przez kadłub kajaka. Jak długo będę musiała czekać, aż ktoś przyplynie na wyspę, żeby nam pomóc? Jesteśmy zbyt daleko, żeby ktokolwiek mógł nas dostrzec. Będę musiała wrócić do kajaka, znaleźć jaskrawą kamizelkę ratunkową i nią pomachać. Najszybsza droga to ta ponad drzewem, ale z Fay nie będzie łatwo ją pokonać. Wstaję, aby ocenić wielkość przeszkody i stwierdzić, czy dam

radę przenieść Fay, czy lepiej pójść samotnie, pomimo złożonej obietnicy. Być może to jedyny sposób. Po drugiej stronie drzewa coś się porusza. Proszę, niech to będzie człowiek. Ktoś, kto będzie mógł pomóc Fay szybciej ode mnie. Postać w czarnym kombinezonie do pływania z gładkimi, mokrymi włosami biegnie po plaży w naszą stronę.

– Tutaj! – krzyczę przez wiatr i deszcz. – Szybciej!

Ulga zamienia się w paralizujący strach, gdy poznaję tę osobę. To Joe.

32

– Dlaczego jesteś taka przerażona? – pyta Joe, wskakując z lekkością na drzewo i zeskakując na dół. – Przestraszyłem cię?

Zataczam się do tyłu, nieudolnie próbując zasłonić przed nim Fay.

Podchodzi bliżej.

– Co z nią? – pyta, po czym dotyka swoich włosów, żeby sprawdzić, jak bardzo są wilgotne.

– Zostaw ją.

Joe zagląda za moje plecy, a kiedy zobaczył, co chciał, zaczyna się wycofywać. Moje serce wali jak oszalałe.

– Zostawić? – Wygląda na rozbawionego. – Dokładnie to mam zamiar zrobić.

– Gdzie są instruktorzy? Pippa? – Patrzę w dal w nadziei, że na plaży pojawi się ktoś jeszcze.

Joe spogląda w niebo.

– O, zobacz, przestaje padać.

– Gdzie są wszyscy, Joe? – pytam powoli.

– Zostałem wyznaczony do przeszukania wyspy.

Robię krok w tył.

– Słucham?

– Powiedziałem, że zajmę się wyspą razem z instruktorem sportów wodnych, Timem. Pamiętasz go? Uratował cię, gdy wpadłaś do wody.

Próbuję zachować spokój.

– A gdzie jest Tim?

– Jeszcze go nie ma. Pippa powiedziała, że mieszka dość daleko.

Pomyślałem, że przyplynie pierwszy. W moim klubie jestem trenerem kajakarstwa pierwszego stopnia. Niestety nie mam tu zasięgu, a twój telefon chyba nie działa, prawda?

Ogarnia mnie panika. Kłamstwo i manipulacja przychodzą mu z taką łatwością.

– Od początku wiedziałeś, że tu jest, prawda?

– Tak, rozmawialiśmy o tym. Uznaliśmy, że to dobre, spokojne miejsce, żeby rozpoczęła kolejny etap.

„Etap?”. Mam ochotę roześmiać mu się w twarz, ale muszę być ostrożna. Głośne uderzenia mojego serca potwierdzają, do czego według mnie zdolny jest ten chłopak.

– O czym ty mówisz? – pytam, kucając przy Fay, aby ułożyć ją w bezpiecznej pozycji na wypadek, gdyby zaczęła wymiotować. Jeśli pozwolę mu przedstawić jego dziwną teorię, może mniej będzie się przejmował tym, co robię.

– We wszechświecie musi być równowaga, nie sądzisz?

Czas zwalnia i wkraczam w inną rzeczywistość, obserwując, jak Joe kładzie się na mokrych kamieniach, opiera na łokciach i wyciąga przed siebie nogi. W tej pozycji mógłby coś reklamować. Surfer w kombinezonie głęboko zamyślony na dzikiej, opuszczonej plaży w deszczu, z lasem w tle. Chłopak podnosi kamień, nieco większy od pozostałych, po czym obraca go w dłoniach, przyglądając się jego powierzchni.

Zmieniam lekko pozycję Fay i wyciągam spod jej ciała ostrzejsze kamienie, aby było jej wygodniej.

– Jeśli równowaga zostaje zakłócona, dzieją się złe rzeczy – kontynuuje Joe. – Tylko popatrz na ten nasz zakręcony świat. Dla jednych nadmiar jedzenia i konsumencki tryb życia, podczas gdy inni głodują. Każde działanie musi się spotkać z równą, ale przeciwną reakcją. Tak mówi niekwestionowane trzecie prawo dynamiki Newtona.

Muszę wziąć kamizelkę i spróbować przyciągnąć czyjąś uwagę. I to już. Tylko nie mogę zostawić Fay z Joem. Nie mam wyboru. Unoszę ją

najostrożniej, jak potrafię, ale Joe od razu do nas podbiega.

– Co robisz?

Ignoruję go.

Zagradza mi drogę i staje tak blisko, że czuję zapach jego kombinezonu i potu.

– Chyba czegoś nie rozumiesz – syczy, patrząc mi w twarz. – Fay potrzebowała pomocy w naprawieniu zła, które wyrządziła, powodując wypadek samochodowy taty. Po to, żeby oczyścić każdego i każdą z nas. Była pełna wstydu i mroku. Istniało jedno jedyne rozwiązanie. Oczyszczenie poprzez zniszczenie wstydu.

– Przedawkowując leki? – Omijam go. Fay ciąży mi w rękach. Joe mnie puszcza.

Czyli nie ma zamiaru w żaden sposób pomóc Fay, ale powstrzymanie mnie nie jest częścią jego planu. Przynajmniej nie teraz.

– Sama wybrała tę ścieżkę – stwierdza.

Zamierzam położyć Fay na zwalonym drzewie, jak najniżej, a potem przejść na drugą stronę i ją podnieść. Joe idzie za mną.

– Do niczego jej nie zmuszałem. Nie byłem nawet w pobliżu, gdy połknęła te pigułki. – Po raz pierwszy próbuje się tłumaczyć.

– Ale zrobiła to dla ciebie.

– Dla wszechświata. To nie jest śmierć. Fay będzie istniała na wieki. Uczy się i rozwija.

Wlepiam w niego wzrok, ale kątem oka dostrzegam jakiś ruch na jeziorze. Kajaki! Nadciąga pomoc. Otwieram usta, by krzyknąć, ale po chwili zamykam je z niedowierzaniem. Kajaki są puste.

– Silny wiatr od brzegu – mówi Joe z udawanym smutkiem. – Jaka szkoda, że nie zabezpieczyliśmy właściwie łodzi w tym całym chaosie związanym z poszukiwaniem Fay.

Jest teraz obok jej kajaka. Jednym płynnym ruchem wyciąga z niego wiosło i rzuca je w pokrzywy. Następnie podnosi kajak, zanosi go na brzeg i popycha z całych sił obiema rękami w wodę jeziora.

– Nie martw się, Fay nie będzie go już potrzebować – woła do mnie.

Fay wydaje z siebie charkot. Ma zamknięte oczy i bezwładne ciało. Idę dalej, ślizgając się po kamieniach. Zbliżam się do drzewa, choć nie mam czym pomachać w stronę brzegu, ponieważ kamizelka została w dryfującym po jeziorze kajaku.

Dla Joego, wyższego i silniejszego ode mnie, przeniesienie Fay ponad tym potężnym drzewem nie byłoby żadnym wysiłkiem. Muszę się upewnić, że dziewczyna leży równo na pniu, zanim sama będę mogła się wspiąć. Dwa razy prawie się ześlizguje. Jej twarz jest szara i lepka od potu, a półotwarte usta koszmarnie suche.

– Nie ma sensu ciągnąć jej po wyspie – woła Joe, krocząc powoli w moją stronę. – Nie zostało jej wiele czasu.

Próbuję sobie wyobrazić, że go tam nie ma, choć stoi uśmiechnięty tylko kilka metrów ode mnie. Prawie działa, do czasu aż ponownie się odzywa.

– Lubiałem cię. I wiesz co? Widziałem, że też miałaś w sobie wstyd i nienawidziłaś się za to. Mogłem ci pomóc. – Zbliża się i zmienia głos na łagodniejszy. – Ale pomyliłem się. Nie jesteś tego warta. Jesteś problematyczna, dlatego wybrałem Fay. Udowodniła swoją wartość. I teraz ma nagrodę.

Czyli nie jestem tak delikatna i potrzebująca, jak by sobie życzył? Ten dwuznaczny komplement daje mi siłę, której potrzebuję, by przejść na drugą stronę pnia. Krzyczę przy tym z bólu, gdyż zrywam strupek z rany, której się nabawiłam, gdy pierwszego dnia upadłam na basenie.

– Działasz wbrew temu, czego pragnie Fay. Mam nadzieję, że będziesz żyła dalej z tą świadomością. – Joe wskakuje na drzewo, zajmując swoją ulubioną pozycję na szczycie.

– Była pod twoim wpływem. – Opluwam go, ustawiając się tak, by móc ściągnąć Fay. – Podobnie jak Kyra, jak przypuszczam.

– Brakuje mi Kyry – odpowiada Joe, zeskakując tak, że uderza mnie w ramię i prawie przewraca.

„Wdech przez nos. Wydech przez usta”.

– Niestety wybrała złą ścieżkę. Ścieżkę wstydu. Nie chciałem, żeby tak się skończyło. Serce mi się krajało, ale tego wymagał wszechświat.

Przyciągam Fay bliżej siebie, trochę za mocno, ale tak się trzęsę, że z trudem panuję nad kończynami.

– Nagie zdjęcie? Czy to była jej ścieżka wstydu? A może to, że chciała z tobą zerwać?

Joe schyla się po spory kamień. Trzęsę się coraz bardziej, ale nie zatrzymuję się i mam nadzieję, że nie dostanę kamieniem w głowę. Rozlega się głośny plusk i zakładam, że kamień wylądował w jeziorze. Joe krzyczy:

– Dokonała złego wyboru. Wybrała kogoś innego zamiast mnie i ta osoba ją zawiodła.

Tam. Dostrzegam hangar, ale nawet wysilając wzrok i podchodząc do samego brzegu, nie widzę nikogo.

– Pomocy! – wołam. – *Pomocy!*

Słyszę spokojne kroki Joego.

– Krzycz sobie do woli. Twój głos nie poniesie się ponad jeziorem, a poza tym poszukiwania skupiają się teraz wokół wsi. To da Fay ostatnie chwile, których potrzebuje. – Spogląda na nią i nagle jej ciało staje się tak ciężkie, że muszę ją położyć tak jak stoję, na mokrych kamieniach.

Prawie nie jestem w stanie ułożyć jej w bezpiecznej pozycji, ale w końcu mi się to udaje. Powstrzymuję przy tym frustrację wywołaną jej zachowaniem i tym, że uległa czarowi Joego. Dziewczyna ostatkiem siły wyciąga do mnie rękę i postanawiam, że zrobię wszystko, by ją uratować.

– No dobra, wygrałeś – odzywam się. – Ułożę ją wygodnie i zaczekam.

Joe uśmiecha się tak, że muszę odwrócić wzrok.

– Grzeczna dziewczynka. Wiedziałem, że prędzej czy później pójdziesz po rozum do głowy. Mogłabym go walnąć z całą siłą, jaka mi pozostała, ale niedługo będę jej potrzebować.

– Chciała umrzeć na ręczniku taty – mówię. – Przyniosła go aż tutaj, a ja zostawiłam go w lesie. To niedaleko. Mógłbyś go dla niej przynieść?

– Ty wiesz, gdzie jest, więc sama go przynieś. – Ma oczy jak szparki.

Wzdycham przeciągle.

– Jestem wykończona, Joe. Proszę. Uszanujmy jej ostatnią wolę.

Zastanawia się przez chwilę.

– Gdzie to jest?

Opisuję pobieżnie drogę. Sam zobaczy podeptane rośliny w miejscu, gdzie Fay weszła do lasu, więc nie ma sensu kłamać, mimo że przyda mi się każda przewaga.

Przeżywam katusze, siedząc w bezruchu i czekając, aż Joe całkowicie zniknie mi z pola widzenia. Wtedy błyskawicznie zrzucam japonki, zdejmuję trampki Fay i biorę ją na ręce.

– Teraz przepłynę z tobą na drugą stronę jeziora – szepczę jej do ucha.

Pierwszy dotyk wody wokół kostki przynosi mi ulgę. Chłód koi ukąszenia owadów. Brodę coraz głębiej, uważając, by zbytnio nie hałasować. Ogarnia mnie strach przed nagłym atakiem paniki. Przypominam sobie, że jestem już mokra od deszczu. Dam radę.

– Płyniemy, Fay. Nic mi nie będzie. – Kładę ją na wodzie i jedną ręką podtrzymuję pod brodą. Wolna ręka będzie mi służyć do wiosłowania. Najlepszym stylem dla nóg, tak by nie uderzać Fay, będzie kombinacja żabki i kraula. Zwalczam zmęczenie, które już teraz odczuwają moje mięśnie, i wyobrażam sobie, że płynę przed własną publicznością w naszym klubowym basenie. Liczy się każdy metr wody między mną a Joem. Widziałam go w basenie. Jest niezłym pływakiem. Może z łatwością przeskoczyć przez zwalone drzewo i wejść do wody w innym miejscu, co da mu przewagę.

Odchylam głowę do tyłu i moje uszy wypełniają się dźwiękami plusków, czyli nienaturalnie pogłośnionym językiem wody. Czuję zapach chloru, który nadal utrzymuje się na mojej skórze. Krople wody wpadają mi do oczu. Kiedy je zamykam, widzę krew. Wszędzie. Woda w moich oczach nie pochodzi z jeziora, ale zamienia się w słone, krwawe łzy dla mojej pięknej, kochanej, głupiej siostry-dilerki, która umarła samotnie, podczas gdy ja byłam tak blisko.

Po chwili otwieram oczy, sprawdzam kierunek i patrzę na twarz Fay. Jej usta zrobiły się sine.

Próbuję przełożyć wzbierający we mnie gniew na siłę mięśni. Mogę być wściekła na tak wiele osób, łącznie z samą sobą.

– Trzymaj się – szepczę. – Proszę, trzymaj się.

Jej twarz jest biała. Mój mózg nakłada na nią twarz Luisy, spuchniętą, z otwartą raną.

Gdzie jest Tim? Wyobrażam sobie, że przypląwa motorówką i wyciąga nas z wody.

Deszcz nie przestaje lać. Przy kolejnym wynurzeniu głowy tracę oddech. Joe jest już w wodzie i płynie kraulem. Przyciągam Fay mocniej do siebie i wyteżam siły. Szybciej. Mocniej. Każdy mięsień mojego ciała jakby się rozrywał. Płuca mi puchną. Woda nie jest już zimna, ale gorąca jak w wannie. Będę wymiotować. To uczucie wzmacnia się i odwracam głowę. Robię jeszcze kilka silnych ruchów, aby tego uniknąć, a następnie tracę dwie cenne sekundy, ledwo łapiąc oddech.

Joe mnie doścignie. Nie ma innej możliwości.

– Już prawie jesteśmy, Fay – mówię, a w wyschniętych ustach czuję paskudny smak. A może tylko tak myślę? Albo mówię coś innego? Nie mogę już unosić głowy, a kiedy woda zmienia swój ruch, bardziej wyczuwam niż dostrzegam, że Joe prawie mnie dogonił.

Słyszę jakieś dźwięki, głosy innych ludzi, ale one też są dla mnie niezrozumiałe. „Płyniemy. Trzymajcie się”.

„Pomocy!” – krzyczę bezgłośnie w myślach.

Joe zrównuje się z nami. Brakuje mu tchu. Więc jest słabszy, niż myślałam.

– Skye, ja ją wezmę. – Nie rozumiem, co chce przez to powiedzieć.

Wyciąga ręce, ale robię unik, desperacko usiłując utrzymać głowę nad powierzchnią. Ostatkiem sił unoszę Fay. A więc tak to jest, gdy się tonie. Dzieje się to w ciszy, bo brakuje powietrza, by krzyknąć.

Znowu ruch wody. Nadal trzymam Fay. Obok widzę unoszące się na

powierzchni pozbawione życia ciało Luisy.

Woda jest płytka. Dotykam stopami dna.

Nagle silne ręce wyciągają mnie i Fay z jeziora. Nie mam pojęcia czyje. Trudno mi stać, więc kładę się na mokrej trawie. Słyszę swój głośny, charczący oddech. Wyczuwam zapach odrażającego ręcznika z hangaru. Czuję jego chropowatą fakturę. Widzę, jak Fay zostaje zabrana na noszach. Gdy następnym razem otwieram oczy, widzę nad sobą zielony kitel lekarza. A może strażnika miejskiego? Nie, zdecydowanie lekarza.

– Fay? – szepczę, gdy lekarz pomaga mi się podnieść i zastępuje ręcznik kocem. Mam sucho w ustach i boli mnie gardło.

– Jest w drodze do szpitala, złotko. Jest w dobrych rękach.

Chciałabym zapytać, czy Fay przeżyje, ale pewnie jest za wcześnie, by móc to stwierdzić. Kręci mi się w głowie i zapadam się w ciemność.

Kiedy się budzę, nie pada już deszcz. Leżę na boku, a na ramieniu mam ciasną opaskę, która się rozluźnia.

– Ciśnienie wraca do normy – mówi czyjś głos, a następnie słyszę rozdzierający uszy dźwięk odpinania rzepów. Po chwili w ręce robi mi się jeszcze luźniej. Przez koc czuję na sobie dotyk silnej dłoni.

– Jesteś cała i zdrowa, złotko. Zemdląłeś, więc musimy cię poobserwować. Poleż jeszcze chwilę i zaczekaj, aż miną zawroty głowy.

Kiwam lekko, a ręka na plecach klepie mnie z aprobatą.

Słyszę głos Joego:

– Gdy zorientowaliśmy się, że kajaki odpłynęły, nie wiedzieliśmy, co robić. Wiedzieliśmy, że Fay ma coraz mniej czasu, a my nie mieliśmy telefonów. Myślałem, że zabrałem swój, ale musiałem go zostawić w budynku.

Pippa komentuje:

– Wykazaliście się wielką odwagą, że tam popłynęliście.

– Ponieważ Skye jest lepszą pływaczką, powiedziałem, żeby to ona płynęła z Fay, a ja byłem obok w razie czego.

„Jak on może mówić takie kłamstwa?”

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko kaszlę. Woda wypływa mi z ust do miski przede mną. Ktoś trzyma mi włosy, żeby nie leciały do przodu. Teraz czuję na ramieniu czyjąś rękę, a moją twarz ociera chusteczka.

– Skąd wiedziałeś, że Skye dobrze pływa? – To głos Brandona. – Nigdy nie widziałeś jej w wodzie.

Chciałabym go teraz przytulić, tak z całych sił, i poczuć objęcia jego silnych ramion. To, że byłam na niego zła, wydaje mi się zamierzchłą przeszłością. Był zszokowany tym, co mu powiedziałam, ale może nie był aż tak zde gustowany moją postawą, jak to sobie wyobrażałam. Może wiedział, że stać mnie na więcej. Że gdybym dostała drugą szansę, nie zawahałabym się.

– Może sama mi to powiedziała? Nie pamiętam – odpowiada Joe.

– Nie rozumiem, dlaczego twój kajak odpłynął – Brandon nie odpuszcza. – Jesteś trenerem. Spodziewałbym się, że wiesz, jak go bezpiecznie zacumować.

– Stary, nie było cię tam. To była sytuacja kryzysowa. – Następnie dodaje coś przyciszonym głosem i Pippa odpowiada:

– Jasne, oczywiście. Czy ktoś mógłby przynieść Joemu kubek herbaty? Brandon, nie męcz go pytaniami, dopóki nie wydobrzeje.

„Dajcie mi mówić”. Ale kiedy otwieram oczy, zawroty głowy odbierają mi dech. Czuję, że spadam w ciemność, a rozmowy wokół mnie zlewają się w jeden szept, a potem w ciszę.

I znowu głos Pippy. Głośny, prawdopodobnie w rozmowie telefonicznej. Mówi komuś, że dowiedziała się od lekarzy, że Fay błyskawicznie otrzymała pomoc medyczną i prawdopodobnie szybko dojdzie do siebie.

Bliżej mnie rozbrzmiewa kolejna konwersacja.

– Rozmawialiśmy wcześniej. Jestem dyrektorem ośrodka. Chciałbym ci podziękować, młody człowieku, za to, co dziś zrobiłeś.

– Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pana. Moja była dziewczyna rok temu popełniła samobójstwo i bardzo mi zależało, żeby to się nie

powtórzyło. Fay i ja jesteśmy sobie bardzo bliscy. Jest szansa, żebym się z nią zobaczył w szpitalu?

Natychmiast otwieram oczy. Próbuję usiąść.

– On... – zaczynam, ale mój głos nie jest nawet szeptem. Straciłam głos od wołania o pomoc.

Jest obok mnie lekarz.

– O, podnosisz się. Ładnie. Usiądź na ławce.

Trzymam się za gardło.

– Boli cię? Przyniosę ci coś na to – mówi lekarz.

– Skye. – Głos Pippy. – Ty i Joe powinniście poczekać na Tima, zanim popłynęliście na wyspę, ale jesteśmy wam obojgu niesamowicie wdzięczni.

Wszyscy obracają się w moją stronę. Jest tu o wiele więcej osób, niż sądziłam. Szukam wzrokiem Brandona, ale go nie widzę. Gdzie on się podział?

Moje spojrzenie trafia na Joego, który jest otulony kocem. W dłoniach trzyma kubek herbaty. Patrzy mi prosto w twarz i uśmiecha się kątem ust.

– Już ci lepiej, Skye?

Myśli, że za bardzo się go boję, żeby się odezwać? Lekarz wręcza mi herbatę. Trzęsącymi się z wściekłości i frustracji dłońmi zbliżam kubek do ust. Gorący płyn daje mi ukojenie, jakiego chyba w życiu nie zaznałam.

– Odwaliliśmy razem kawał dobrej roboty, co? – mówi Joe.

– Kłamca – oznajmiam. Mój głos znów brzmi jak zwykły szept.

– Słucham? – pyta Pippa. Wzywam ją do siebie szybko, ale Joe mnie uprzedza i opowiada dalej:

– Znaleźliśmy Fay leżącą w lesie, na ręczniku jej zmarłego taty.

Wszyscy uwierzą jemu, nie mnie.

Ręcznik odwraca ich uwagę. Ktoś sugeruje, że Tim powinien popłynąć tam kajakiem i zabrać go dla Fay, skoro to dla niej taki ważny symbol.

W połowie dyskusji pojawia się Brandon. Brakuje mu tchu i macha jakąś kartką.

– Musicie... – woła, wpadając między zgromadzonych, po czym na chwilę się pochyla, żeby złapać oddech, i kontynuuje: – Musicie coś zobaczyć.

– Brandon? Co się dzieje? – niepokoje się Pippa.

Joe robi krok naprzód.

– Co tam masz?

Brandon się cofa.

– Zdjęcia. – Obraca się tak, by mnie widzieć. Jednym krótkim spojrzeniem daje mi do zrozumienia, że znalazł coś istotnego. – Oto zdjęcie Joego i Kyrę, jego dziewczyny, która zmarła tamtego lata. A to jest Fay i jej tata, jak sądzę.

Pierwsze zdjęcie to wydruk ulubionej fotografii Joego, na którym jest z Kyrą na plaży. Drugie zdjęcie to cenna pamiątka Fay, którą trzymała w swojej walizce. Została wyrwana ze srebrnej ramki. Brandon przewraca oba zdjęcia i na odwrocie każdego widać napis czarnym grubym markerem oraz taki sam symbol. Symbol, który wygląda mi dziwnie znajomo.

– Grzebałeś w moich rzeczach – mówi Joe spokojnym, chłodnym głosem. – Te zdjęcia wiele dla mnie znaczą, więc fajnie by było, gdybyś mi je oddał. To nie twój interes.

– Zaraz, zaraz – wtrąca się Pippa. Następnie wyciąga przed siebie rękę, blokując Joemu dostęp do Brandona.

Brandon mówi coraz szybciej:

– Na obu jest napisane „Spoczywaj w pokoju” i widać ten sam znak.

Joe kręci głową, udając ogromne zmęczenie.

– Właśnie przepłynąłem wpław jezioro. Do rzeczy.

– Rzecz w tym – ciągnie Brandon – że sprawdziłem ten symbol w internecie i okazuje się, że stosuje go pewna strona internetowa. Pozornie osoby ze skłonnościami samobójczymi mogą tam znaleźć wsparcie, ale ma też swoją ciemną stronę. Napisałeś to i umieściłeś ten symbol, zanim ktokolwiek dowiedział się o zaginięciu Fay, prawda?

– Nie wiem, o czym mówisz – wykręca się Joe. – Fay dała mi to zdjęcie w prezencie. Musiała to napisać wcześniej.

Kręcę głową. Fay nigdy nie zniszczyłaby zdjęcia taty w taki sposób, przyciskając marker tak niedbale, że tusz przebił się na drugą stronę, brudząc fotografię.

– Skoro tak, to wiedziałaś, co zamierzała – kwituje Brandon. – Musiałeś znać ten symbol, bo taki sam jest na zdjęciu Kyry. Chcesz mi powiedzieć, że twoja dziewczyna go tam umieściła?

– Tak, dokładnie tak. – Joe mówi spokojnie, ale oczy ma rozbiegane.

Widzę, że Pippa zerka na dyrektora ośrodka.

– Przestań. – Brandon się niecierpliwi. – Przecież to twoje pismo, prawda? Naszyjniki. To na nich widziałam ten symbol. Wstaję i oznajmiam szeptem:

– Joe zrobił dla Kyry i Fay naszyjniki z identycznym symbolem. W swoim telefonie ma zdjęcia, na których to widać.

Pippa podchodzi bliżej i powtarzam jej to samo do ucha.

– Gdzie twój telefon, Joe? – pyta Pippa, po czym bierze od Brandona fotografię.

– Co się dzieje? – Joe udaje głupiego. – O co mnie oskarżacie? – Ale w jego głosie nie ma już tego opanowania co wcześniej.

Próbując powstrzymać zawroty głowy, ściskam i rozluźniam palce u stóp.

– Skye sama uratowała Fay, prawda? – Brandon nie ustępuje.

Nogi mi się chwieją, ale nie siadam. Nie ruszam się, by nie przegapić odpowiedzi Joego.

– Nie – warczy chłopak. – Nie uratowała jej. Odebrała jej szansę na przywrócenie równowagi. Skye nie powinna się była wtrącać – mówiąc to, ciska kubkiem o ziemię, a herbata rozbryzguje się po trawie szerokim łukiem. – Mam dość tej rozmowy.

Joe biegnie ścieżką prowadzącą do bloków mieszkalnych. Dyrektor ośrodka podąża za nim, słyszę też, że Pippa wykonuje telefon i prosi o natychmiastową interwencję policjanta, który w tym momencie spisuje zeznania Danielle w pokoju dla personelu.

Stawiam swój kubek na oparciu ławki i podchodzę do Brandona. Obejmujemy się mocno i pozostajemy w tej pozycji przez długie, pełne pokrzepienia sekundy, aż w końcu pytam go szeptem:

– Skąd pomysł, by przeszukać jego torbę?

– Musiał coś ukryć. Tacy jak on zawsze zatrzymują pamiątki po swoich ofiarach. Trudniejsze było przekonanie jego współlokatorów, by pozwolili mi przejrzeć jego rzeczy. Powiedziałem, że poprosił mnie, bym znalazł mu jakieś cieplejsze ciuchy. Chwyta mnie za ramiona, a potem patrzy na mnie z poważną miną. – Posłuchaj, Skye, przepraszam za tamto popołudnie. Za to co było... między nami. Nie chciałem cię traktować protekcyjnie, jeśli tak to odebrałaś. A to, co mi powiedziałaś, ani trochę nie zmienia tego, co o tobie sędzę. Cieszę się, że zaufałaś mi na tyle, by wyznać prawdę.

Kiwam głową. To znaczy, że mnie też jest przykro. Chciałabym go pocałować, ale w ustach czuję potworny smak, dlatego wtulam się w niego jeszcze mocniej, wdychając sklepowy zapach jego koszuli.

Mój koc spada na ziemię, ale Brandon nie przejmuje się tym, że jestem mokra i śmierdzą chlorem połączonym z wonią jeziora.

Po krótkiej chwili patrzę na ciężkie, ciemniejące niebo i myślę:

„Uratowałam Fay, ale przykro mi, że nie potrafiłam uratować ciebie, Luiso”.

EPILOG

Brandon i ja siedzimy w parku przy serwisie komórek. Mamy jedzenie na piknik, ale w tej chwili nie jestem zainteresowana jedzeniem. Nachyłam się, by go pocałować. Jedną rękę trzyma na moich plecach, drugą gładzi moje włosy i czuję przyjemny dreszczyk. Ta rozkosz mnie zdumiewa.

Od czasu wyjazdu do Morley Hill mam mniej koszmarów. Gdy zamykam oczy, nie widzę już basenu wypełnionego czerwoną wodą. Miałam tylko jeden atak paniki. Kiedy się pojawił, przeraziłam się, ale szybko minął. Nadal zapisuję te epizody w pamiętniku. Może pewnego dnia nie będę pamiętała, kiedy miałam ostatni atak. A może zawsze będą się gdzieś czały. Ale ogólnie jestem teraz spokojniejsza i to mi pomaga.

Przestajemy się całować dopiero, gdy drętwieją nam usta. Leżymy obok siebie na trawie, trzymając się za ręce. Myślę o kilku osobach, które tego lata pojawiły się w moim życiu.

O Joem, którego już nigdy nie widziałam. Słyszeliśmy, że wymagał pilnej interwencji psychiatrycznej i że zostanie przeprowadzone śledztwo w sprawie przedawkowania Kyry i Fay.

O Fay, która nie umarła. Której uratowałam życie. Napisała do mnie liścik z podziękowaniem. Na kartce otoczonej ramką z żółtych kaczuszek. Przyznała, że popełniła błąd. Chciała żyć. Zamierzała zmienić szkołę, ale nadal planowała studia medyczne. Napisała, że jej mama wzięła wolne od pracy na resztę wakacji.

O Danielle, która pokazała mi filmiki z całego obozu, kiedy czekałam na swoją kolej, by złożyć zeznania policji, zanim przyjechał po nią tata ze swoim opiekunem. Niektóre były naprawdę artystyczne. Oglądając panoramę ośrodka, z wrażenia zatrzymałam nagranie. Przypadkowo nagrała nawet

Toby'ego, gdy przywiózł do kuchni skrzynie z warzywami. Był wtedy przygaszony i wyalienowany. Kiedy wróciłam do domu, skontaktowałam się z nim przez stronę internetową sklepu. Chciałam tylko powiedzieć, że możemy nadal utrzymywać kontakt. Nie jakoś regularnie, ale gdyby miał ochotę pogadać o Luisie, jestem na tak.

O Annice, której rodzice zaprosili naszą rodzinę do Pitford na grilla. Po drodze wjechaliśmy na drogę przed Cisowym Domkiem i mama płakała, ale było okej. Odwiedziliśmy też sklepik i kupiliśmy kilka sosów Farmy w dolinie, a tata mógł opowiedzieć Toby'emu o swojej nowej pracy w biurze na piętnastym piętrze. Annika i ja siedziałyśmy w jej sypialni, którą tak dobrze znałam, i kiedy cała reszta była w ogrodzie, opowiedziałam jej dokładnie, co się wydarzyło ubiegłego lata. Teraz potrafię o tym mówić głośno normalnym tonem. W środku cała nie drzę. Powiedziałam jej też o wydarzeniach w Morley Hill, a po tym poczułam się znacznie lepiej we własnej skórze. W drodze powrotnej postanowiłam, że bardziej się postaram, by zaprzyjaźnić się z kimś w nowej szkole.

O Brandonie, który mieszka wystarczająco blisko, byśmy mogli spotykać się w weekendy po rozpoczęciu roku szkolnego. W tygodniu będziemy rozmawiać na Skypie albo ma mi wysyłać wiadomości wideo. Kiedy trzymamy się za ręce, tak jak teraz, jestem szczęśliwa. Na tyle, na ile można się cieszyć szczęściem, gdy twoje życie jest pełne sińców. Niemniej to i tak ogrom radości.

Po chwili kończymy piknik i idziemy do serwisu po telefon. Wygląda jak nowy i naprawdę działa. Można to nazwać małym cudem. Idziemy dalej, do domu Brandona. Kładę się na macie edukacyjnej jego małej siostrzyczki i obserwuję świat z jej perspektywy. To bardzo bogate doświadczenie, pełne kolorów, dźwięków i faktur. Jego mama pyta mnie o klub biegacza, do którego się zapisałam. Mówię, że lubię biegać. Mogę wtedy oczyścić głowę, a jeśli biegam z kimś, kto mnie drażni, wkładam do uszu słuchawki i odpływam do innego świata.

Później, po spędzeniu trochę czasu w pokoju Brandona, gdzie siedzimy na jego łóżku i się całujemy, kopiujemy zdjęcia z mojego telefonu w kilka

różnych miejsc. Brandon odprowadza mnie na dworzec, gdzie robię nam selfie, rozpoczynając nową kolekcję.

Siedzę w pociągu i mam do przejechania jeszcze dwie stacje, kiedy widzę zachód słońca. Czerwono-różowy. Uderzający i dramatyczny. Kolory przypominają mi o połączeniu lakierów do paznokci Luisy i uświadamiam sobie, że jeśli się dobrze przypatrzeć, na każdym kroku napotykamy rzeczy, które kojarzą nam się z bliskimi ludźmi. Sięgam po telefon.

Otwieram aplikację MessageHound i wpisuję wiadomość.

SKYE: Żegnaj, Luiso. Kocham cię.

I usuwam aplikację.

PRZYPISY

- [1] Stara brytyjska gra przypominająca bejsbol (przyp. tłum.).
- [2] Sieć restauracji specjalizujących się w daniach z kurczaka (przyp. tłum.).
- [3] *Sposoby na głupią śmierć* (przyp. tłum.).